

BIBLIOTEKA  
*Przyjaciółki*



WIERA INBER

# OBLĘŻONE MIASTO

CZYTELNIK

# Obleżone miasto

---

*Wiera Inber*

## WIERY INBER - DROGA DO LENINGRADU

Było to w czasie Rewolucji Październikowej, po ewakuacji białogwardzistów. W wielkim, kiedyś dobrze urządzonej mieszkaniu, pozostała kobieta z kilkuletnią córeczką. Zajmowały jeden pokój, który ogrzewano tym, co było pod ręką. Utrzymywały się ze sprzedaży różnych wartościowych rzeczy. Kobieta pisała liryczne wiersze i nic nie rozumiała z wielkiego dramatu, który rozgrywał się za oknami jej dobrze urządzonego niegdyś mieszkania.

Pewnego dnia pojawiło się dwóch marynarzy z nakazem zarekwirowania wolnych pokoi. Pani domu wprowadziła ich do salonu o szybach pokrytych grubą warstwą szronu; stał tam fortepian. W gabinecie szafa biblioteczna była otwarta i „półka Szekspira ziała bezkrwawą, lecz śmiertelną raną”.

Jeden z marynarzy, o oczach jasnoniebieskich i spokojnych „jak spirytus w barometrze, który wskazuje burzę” przyjrząwszy się szafie zrozumiał od razu, o co chodzi.

- Książki palicie? - spytał. - Palicie książki? Rozgrabiacie narodowe mienie? Jakiego to pisarza spaliliście?

- Szekspira - odparła - Wiliama. Żył w XVI wieku.

- Tak. - Schylił głowę, z boku odczytując tytuły na grzbietach książek. - Aleksandra Puszkina nie palić. Mikołaja Gogola nie palić. Michała Lermontowa także nie palić. Zrozumiano? - spytał odwracając się od niej szerokimi, sukiennymi plecami.

- Zrozumiano - odpowiedziała.

Na odchodnym marynarz wypisał swój rozkaz na kartce papieru, dodając jeszcze, aby fortepian stojący w zimnym salonie przykryć kołdrą lub dywanem. „Dalej było powiedziane, że fortepian to mienie narodowe i że za każdą pękniętą strunę odpowiadam przed republiką, podobnie jak za cały mój majątek”.

Tę scenę opisała Wiera Inber w swojej autobiografii zatytułowanej „Miejsce pod słońcem”.

Zarówno spotkanie z marynarzem, jak i tytuł książki mają symboliczne znaczenie. Od chwili bowiem tego spotkania, dzięki któremu inteligencka poetka zetknęła się po raz pierwszy z przedstawicielem Rewolucji, zaczęło się jej poszukiwanie miejsca w nieznanym dotąd świecie.

Już w zakończeniu wymienionego utworu autorka decyduje się, na zlecenie redakcji jednej z radzieckich gazet, wyruszyć w podróż po kraju, aby pisać korespondencje o nowym życiu nowych ludzi.

Twórczość Wiery Inber dobrze znał radziecki czytelnik w okresie międzywojennym. Najbardziej pociągającą cechą tych wierszy i opowiadań była serdeczność, z jaką odnosiła się autorka do swych bohaterów i do otaczającej ją rzeczywistości. Pewien krytyk wyraził się, że Wiera Inber całym swoim dziełem stara się dać światu więcej ciepła.

Lecz mimo to autorka, której talent rozwijał się przed rewolucją w ciepłarnianej, pokojowej atmosferze, której pełne liryzmu spojrzenie na rzeczy małe zostało zmaćcone wtargnięciem w jej życie

nowej, rewolucyjnej epoki, we własnym- odczuciu była wciąż poza głównym nurtem spraw rodzących się dokoła. Czuła się tu trochę jak gość, który nie wniósł nic do wspólnego dzieła.

Stąd z jej międzywojennych utworów przebija ton „poczucia niższości” w stosunku do opisywanych ludzi proletariatu. Radziecki krytyk, Helena Usijewicz, w swoim studium o Wierze Inber („Knigi i żyzn”, Sowietskij Pisatel, 1949) określa ten stosunek jako spojrzenie „z dołu ku górze”. Takie spojrzenie, słusznie podkreśla krytyk, jest równie niewłaściwe jak traktowanie tematu z wysoka.

W międzywojennych utworach Wiera Inber nie potrafiła oddać całej skomplikowanej prawdy nowego człowieka. Jej proletariaccy bohaterowie są przeważnie z jednej bryły, nie przeżywają ani rozterek, ani załamań, są nieludcy, bo jednostronnie potraktowani. Proletariusz Wiery Inber jest - jak to określa Helena Usijewicz - „dobrym wujaszkiem”, który nie tylko potrafi urządzić swoje życie, ale bez trudu rozwiązuje wszystkie powikłania, w jakich znaleźli się po Rewolucji „bezradni i dziecinnie naiwni rosyjscy inteligenci”.

Helena Usijewicz cytuje, niedoceniony jej zdaniem przez krytykę radziecką, wiersz Wiery Inber napisany w latach trzydziestych, w związku z rocznicą Rewolucji. Utwór nosi tytuł „Półgłosem”. Autorka w bardzo prosty i trochę naiwny sposób wyraża żal, że w Rewolucji nie brała udziału, że podczas gdy inni walczyli z bronią w rękę, ona pisała poezje „lirycznie tkliwym piórem”.

Bardzo osobisty ton tego wiersza, jego ideologiczny sens i świadomość nie wypełnionego obowiązku, nie pozwalająca autorce mówić pełnym głosem o Rewolucji, jak to czynił Majakowski - rzuca jasne światło na obywatelską i twórczą działalność pisarki w okresie ostatniej wojny.

Podczas oblężenia Leningradu Wiera Inber napisała poemat „Południk Pułkowo” oraz pamiętnik noszący tytuł „Prawie trzy lata”.

Wraz z nową tematyką wtargnął do twórczości autorki zupełnie nowy ton. Fakt, że przeżycia ludzi radzieckich stały się w czasie wojny jej bezpośrednimi przeżyciami, że ich walka była równocześnie jej najbardziej osobistą walką, dał pisarce niejako „pełne prawa obywatelskie” w rewolucyjnej literaturze.

Wiera Inber przybyła do Leningradu z końcem sierpnia 1941, a więc w momencie, gdy już nie ulegało wątpliwości, że miasto i jego mieszkańcy stoją w obliczu wielkiej próby. Krok poetki był krokiem świadomym, zdecydowała się na trudne doświadczenia, chociaż mogła być ewakuowana na wschód, w miejsce zupełnie bezpieczne.

Od tych dni zaczyna się heroiczny okres w jej życiu, opisany na przestrzeni prawie trzech lat. Pióro Wiery Inber straciło tu swoją tkliwość, kreśli ono obraz miasta w czasie głodu, kilkudziesięciostopniowego mrozu, nieustającego bombardowania i ostrzału artyleryjskiego, nieustępliwej walki orężnej.

Dojrzała w walce radziecka autorka zrywa teraz z całą świadomością więź łączącą ją z dawnym, pełnym cieplarnianej urody życiem. Przykład: Na jeziorze Ładoga, które zimą 1941/42 było jedynym pomostem łączącym oblężone miasto z Wielką Ziemią - ruszyły lody. Leningrad został teraz całkowicie odcięty od świata - oto twarda, wojenna rzeczywistość. „Jakże abstrakcyjnie - pisze autorka pod datą 9 kwietnia 1942 roku - brzmiały słowa: «Łód ruszył na Ładodze» w połowie maja zeszłego roku, kiedy wychodziliśmy z jasnego, ciepłego, pełnego muzyki teatru, gdzie czarowała nas powiewna Ufanowa w

„Romeo i Julii” i triumfowała Bałabina w „Don Kichocie”! Wychodząc z teatru, pijani muzyką, rozgrzani ciepłym wdziękiem ruchów, zaczynaliśmy marznąć w oczekiwaniu tramwaju, otulaliśmy się płaszczami i ustawiali plecami do wiatru. Dokoła wszyscy mówili: «Łód ruszył na Ładodze. Dlatego tak zimno». W naszej wyobraźni pojawiał się jakiś wytworny, baletowy łód, cały w srebrze i kolorowych błyskotkach. Łód ten płynął kołysząc się i ginął w niebieskich falach. A teraz...”

Wojenny los tak całkowicie wchłonął autorkę, że gdy podczas blokady przybywa na krótko do Moskwy i ma możliwość nawiązania kontaktu ze swoim przedwojennym życiem, notuje w pamiętniku o Leningradzie: „Dopiero tu poczułam, jak jest mi drogi i bliski... Chcę w nim mieszkać, dzielić z nim jego losy, oddać mu wszystkie siły”.

W obłączonym mieście istniały - nazwijmy to - dwa kręgi rzeczywistości. Pierwszy krąg - to głód i mróz. Pióro Wiery Inber potrafi z wielką plastyką i prawdą oddać bohaterskie i trudne życie tych wielkich dni Leningradu.

„Co dzień przywożą tu na sankach osiem - dziesięć trupów i kładą na śniegu. Coraz mniej trumien: nie ma ich z czego robić. Trupy - w prześcieradłach, obrusach, w zszytych z gałganków lub bajowych kocach, a czasami nawet w portierach. Pewnego razu widziałam niewielkie, widocznie bardzo lekkie zwłoki dziecka, owinięte w papier do pakowania i przewiązane szpagatem.”

W innym miejscu: „Na ulicach widuje się albo twarze błyszczące o nienaturalnie napiętej skórze (to obrzęki), albo zielonkawe i guzowate. Pod skórą nie ma ani odrobiny tłuszczu. Mróz ogryza te wyschnięte szkielety. Piszę te słowa i słyszę, jak koło mych nóg, w koszu na papiery, do którego wyrzucaliśmy przedtem okruchy chleba, szpera oszalała z głodu mysz...”

A oto drugi krąg życia - rzeczywistość zwycięstwa: „Siadam do pisania wierszy dla „Prawdy Leningradzkiej” o partyzanckim taborze kołchozowym, który przebił się do nas przez wszystkie niemieckie ekspedycje karne. Przyszło ponad dwieście wozów z żywnością. Wszystko to potajemnie przedostawało się przez linię frontu „ W czasie swoich wyjazdów autorskich na pierwsze linie obrony - Wiera Inber szkicuje sylwetki bohaterskich kierowców, którzy pod ogniem niemieckich bomb przewożą po lodzie Ładogi żywność dla głodującego miasta; notuje wiadomość o fryzjerze, który, przydzielony do golenia sztabowców, nie wytrzymał i „uciekł na front”, aby wziąć udział w boju; a oto słowa asa lotnictwa: „Odwaga... bohaterstwo... nigdy o tym nie myślę. Latam, żeby bić Niemców. Oto, o czym myślę. I biję ich.

Jakże się różnią ci radzieccy ludzie z pamiętnika leningradzkiego od „dobrych wujaszków” z międzywojennych utworów poetki. W pewnym miejscu pamiętnika czytamy o kobiecie-pilocie, z którą leciała autorka. Pilot na pożegnanie nie przyjął papierosów ani wina, lecz gdy Wiera Inber ofiarowała mu nie napoczętą kredkę do ust, „ ... mój pilot nie mógł się oprzeć i wziął kredkę, uśmiechając się z zażenowaniem.”

Heroiczna rzeczywistość Leningradu opierała się nie tylko na ludziach walczących z bronią w rękę; w pamiętniku spotykamy naukowców i artystów, dzieci, studentów, z których każdy na swój sposób przebija się do zwycięstwa. Profesor Dżanelidze przeprowadza pokazową operację. Gdy niemieckie bomby zaczynają padać zbyt blisko i wśród zaniepokojonych studentów robi się zamieszanie, profesor przywołuje ich do porządku słowami: „Operacja jeszcze się nie skończyła”. Młodzi naukowcy robią doktoraty w schronach. Studenci zdają egzaminy. Pewien profesor skarżył się na nich: „Trzeba

nosić drzewo na opał, a oni zajmują się analizą ilościową.” Filharmonia leningradzka jest czynna przez cały czas blokady, w oblężonym mieście Szostakowicz komponuje leningradzka symfonię, późniejszy laureat Nagrody Stalinowskiej, Wiszniewski, pisze wraz z kolegami komedię muzyczną. Kilkuletni chłopczyk, płacząc z przerażenia, własnoręcznie gasi bombę zapalającą.

Ci ludzie z ich sprawami stają się nam w czasie lektury książki bardzo bliscy. I oto wśród nich wyrasta postać autorki pamiętnika. Nastąpiło zrównanie pomiędzy nią a otoczeniem. Pisząc o swoich ludziach pisała o sobie, i na odwrót. Jej postać, odczytana w pamiętniku, nie jest monolitem, jest to żywy, prawdziwy człowiek, przeżywa jacy lęki, upadki, ale odnoszący ostatecznie zwycięstwo nad sobą samym, nad swoim dawnym losem, nad swoją twórczością.

Charakterystyczna jest pierwsza próba ogniowa, której poddaje się autorka na terenie Leningradu:

„Kilka dni temu siedziałam na stołku na środku sali szpitalnej i czytałam opowiadanie Gorkiego. Nagle zawyły syreny i zenitówki pokryły pociskami całe niebo. Wybuchła bomba, zadźwięczały szyby. Siedziałam na stołku bez oparcia: nie miałam nawet do czego przyłgnąć. Ze wszystkich stron okna, okna... Ranni, ludzie bezradni, mimo woli patrzą na mnie, zdrowego człowieka: co będę robić. Wytężyłam całą swoją wolę; zaczekałam, aż ucichnie łoskot i czytałam w dalszym ciągu, pilnując się tylko, żeby głos mi nie drgnął.”

W ciągu trzech lat poetka wyjeżdża wiele razy na pierwsze linie frontu, przemawia na wiecach, czyta wiersze rozgrzewające żołnierzy do walki, naraża się na wiele niebezpieczeństw: dostaje się pod huraganowy ogień, w czasie przejazdu przez Ładogę o mało nie zamarza, ratując się od śmierci ciepłem motoru samochodowego. W okopach, w zakładach pracy nawiązuje bliski kontakt z ludźmi walczącymi, jej przemówień radiowych słucha cały Związek Radziecki. W dniach głodu i wściekłych ostrzałów - pisze reportaże dla zagranicy, zaznajamiając świat z heroizmem miasta, pisze wiersze, pracuje nad poematem, pragnie, by „Południk Pułkowo” przemówił do ludzi prawdą i prostotą.

Odgrodzona przed laty od rzeczywistego nurtu życia - w dniach walki Wiera Inber notuje wypadki na froncie na równi ze swoimi bardzo osobistymi sprawami, antyfaszystowski front stał się linią i sensem jej pracy. Zwycięstwo armii staje się jej zwycięstwem.

Autorka głęboko odczuwa tę prawdę: w dniach stalingradzkiej ofensywy pisze pod datą 17 grudnia 1942 r.: „Dzisiaj wracając ze Związku Pisarzy spytałam I. D., czy myśli, że mogę już teraz starać się o przyjęcie do partii.”

Pod datą zaś 29 grudnia następnego roku - autorka, która w tym dniu została rzeczywistym członkiem partii, zanotowała: „W drodze powrotnej z komitetu dzielnicowego zadawałam sobie pytania: jak naprawdę upłynął rok mego stażu kandydackiego? Jakie zmiany zaszły we mnie w ciągu tego okresu?... Nie tak łatwo to sformułować, ale różnica jest. Przedtem było tak: napiszę, przypuścmy, udatną rzecz - cieszę się z tego. Niepowodzenia przysparzały mi wiele goryczy. Były to jednak moje osobiste smutki i wyłącznie moje radości. Obecnie natomiast zastanawiam się nad tym, w jakim stopniu to, co piszę, jest pożyteczne dla sprawy literatury radzieckiej, która z kolei jest częścią wielkiej sprawy - rozkwitu mego państwa, pierwszego socjalistycznego państwa na świecie. Każdy utwór literacki, rozumując logicznie, powinien, a przynajmniej może, przeistoczyć się w czyn. Staram się badać rozumowo linię prowadzącą od utworu do czynu, odgadnąć, co się dzieje za skrajem urwiska na końcu stronicy, tam gdzie zaczyna się życie. Jak oddziałują teraz na czytelników moje

wiersze? Jak pracowało moje pióro - mój oręż, w oblężonym Leningradzie? Czy potrafiłam w jakimkolwiek stopniu być potrzebna miastu? Odpowiadam za to. Poruczyła mi to partia. To moje zadanie partyjne.”

Na ostatnich stronicach autorka, wkraczając wraz z miastem w życie pokojowe, pisze o leningradzkich zegarach: ich wskazówki zatrzymały się w początkach blokady, wiosną zaś 1944 roku przy jednym z zegarów stanął człowiek na drabinie, powoli naprawia mechanizm. „Wskazówki niezdecydowanie, jakby uczyły się na nowo chodzić, ruszają z miejsca. Idą, idą, idą... Czas powraca. Już powrócił.”

We wzruszającym opisie uwolnionego miasta autorka zaczyna myśleć kategoriami pokojowymi, jej liryczne pióro (ale jakże nowy jest dziś ten liryzm!) powraca do szczegółów dnia powszedniego, do opisu malowania ławek w parku i wstawiania szyb w okna. Lecz dziś za tymi pozornie małymi sprawami kryje się wielka, humanistyczna dojrzałość pisarza.

Jej wojenne utwory przemówiły do czytelnika pełnym głosem.

Czołowy stachanowiec jednego z leningradzkich zakładów po wysłuchaniu wierszy Wiery Inber powiedział: „Przecież to nie wiersze. To prawda...”

„Towarzyszko Inber - pisał pewien oficer radziecki - przeczytałem właśnie Wasz pamiętnik w „Znamia”. Tak, wiele przeżyliśmy w Leningradzie i my, i Wy. I jak pięknie i prosto opisaliście to wszystko! Dzięki Wam za to. Przyjadę i za „Południk” podziękuję osobiście. Tę książkę my, leningradzcy oficerowie, czcimy i czytamy.”

I tu mimo woli przychodzi na myśl spotkanie Wiery Inber z rewolucyjnym marynarzem sprzed wielu lat. List oficera jest jakby zakończeniem tamtej sceny.

ALEKSANDER JACKIEWICZ



*22 sierpnia 1941 roku*

*Rozjazd Nr 1*

Dwie wyrwy po bombach, które utworzyły razem jeden olbrzymi lej, rozwalona cysterna, ziemia brunatna od nafty, spalona lokomotywa pod nasypem. Obok przedwojenna tablica: „Palenie wzbronione pod odpowiedzialnością sądową!” Zwrotniczy - zapłakana kobieta w ciąży, wyglądająca, jakby miała rodzić za chwilę - ponuro trzyma chorągiewkę...

Znowu stoimy. Zamaskowane brzołowymi gałęziami platformy towarowe, wyładowane maszynami i częściami maszyn, idą w przeciwnym kierunku: to ewakuacja fabryk leningradzkich. Po świeżości gałęzi można określić, jak długo pociągi znajdują się w drodze.

Koła zamachowe, obrabiarki, duże i małe koła zębate, jakieś płaszczyzny, trójkąty. Części maszyn są wysmarowane tłuszczem i opakowane w papier impregnowany. Za platformami - „ciepłuszki”, w których jadą rodziny robotnicze. W jednej z „ciepłuszek” - dzieci na pryczach. Główki dziecięce, przytulone mocno do siebie, wyglądają przez okno. Ani jednego uśmiechu.

W Moskwie opowiadano mi, że podczas pospiesznej ewakuacji jednego ze żłobków dziecięcych na rączce każdego dziecka wypisano chemicznym ołówkiem jego imię i nazwisko. Jednakże po przybyciu na miejsce, w czasie kąpieli nazwiska zmyły się. Trzeba było wezwać z Moskwy matki, żeby rozpoznały swoje dzieci.

Jedno dziecko nie zostało jednak rozpoznane.

O! Moskwo!... Nie pozostawiasz mnie samej, podążasz za mną i ranisz serce. Ciągłe stoi mi przed oczami mój półroczny wnuczek Miszeńka, w chwili gdy wnoszono go do pociągu, w płóciennym kapturku, nazbyt wielkim na jego główkę, w koszulinie i bluzeczce.

Leżał spokojnie w wagonie dla dzieci, przypatrując się wszystkim błyszczącymi oczkami i trzymając się ręką za własną nóżkę.

Zabrakło mi sił, by raz jeszcze wejść do wagonu i spojrzeć na niego. Tak odjechał...

Nasz pociąg ruszył nareszcie. Towarowy - również. My - do Leningradu, tamten - z Leningradu. Długo odprowadzaliśmy się nawzajem wzrokiem.

*23 sierpnia 1941 roku*

*Nieznana stacja*

Zatrzymaliśmy się o świcie. Stoimy. Stacja nieznana, do dworca daleko. Ani jednego samolotu w powietrzu, ani jednego wystrzału na ziemi. Niechby już lepiej grzmiało i huczało, zawsze byłoby lżej.

Nasz wagon jest prawie pusty i małomówny. W jednym z przedziałów już od dawna grają zawzięcie w preferans, gra toczy się jakby cichaczem. Generał-lejtnant, pogwizdując w zamyśleniu, ogłasza atu.



Inżynier wojskowy co chwila wystukuje fajkę o brzeg stolika - cichy stuk przypomina kucie dzięcioła. Dymek z fajki wypływa na korytarz, układa się w warstwy, wydłuża się i zawisa w promieniu słonecznym. Niekiedy nastaje taka cisza, jak gdyby pociąg sunął po mchu.

Przez cały ten czas tylko w Wołchowie przeleciały nad nami dwa „jastrząbki” i przemaszerował obok nieduży oddział piechoty morskiej - w słońcu błysnęły złote kotwiczki... To wszystko.

Po obu stronach toru - leje pełne wody, która szybko się do nich przesącza. Wzdłuż słupów telegraficznych także widać leje - nieco mniejsze. Niemcy zrzucili tu bomby oszczędnie, po swojemu, ciężkich bomb kruszących używali tylko do niszczenia torów, na linie przewodów telegraficznych przeznaczali mniejsze bombki.

Wymarły las, osmalony wybuchami. W jednym miejscu wszystkie drzewa wyrwane z korzeniami. Na skraju lasu - brzoźka. Kora jej, pokryta kropkami, nawiasami, kreskami i przecinkami, przypomina stenogram. To historia życia brzoźki, historia, która urwała się w pół słowa: wszystko jest zwęglone, zdruzgotane, martwe...

Przed chwilą dowiedziałam się nazwy stacji. Mga. Przed wojną przecież w ogóle nie znaliśmy tej drogi, jeździliśmy stale Październikową Linią Kolejową. Teraz między Bołogoje i Tosno są już Niemcy.

Jakie tu leśne, pachnące żywicą nazwy: Mga, Budogoszcz, Chwojna...

## *24 sierpnia 1941 roku*

### *Leningrad*

Pierwszą rzeczą, którą ujrzeliśmy w Leningradzie, jeszcze na placu przed dworcem - była rozklejona na ścianach domów i skąpana w porannym słońcu odezwa, podpisana przez Żdanowa, Woroszyłowa i Popkowa: „Towarzysze leningradczycy, drodzy przyjaciele!...”

Odezwa ukazała się 21 sierpnia, a Ilija Dawydowicz wyjechał po mnie do Moskwy 13. W ciągu tych dni sytuacja Leningradu znacznie się pogorszyła. Mimo to mąż mój postąpił słusznie. Zawsze mówił: „Jeśli wybuchnie wojna, musimy być razem.” I oto jesteśmy razem.

## *26 sierpnia 1941 roku*

Nasze mieszkanie na Piesocznej, na piątym piętrze - wysokie, jasne, na wpół puste.

Tylko półek na książki i talerzy na ścianach jest tu pod dostatkiem. Nie więdnące róże z czasów Elżbiety i Katarzyny, nikołajewski - niebieski ze złotą obwódką - ornament. Szarawobiały fajans. Kruche gospodarstwo. Na cóż się teraz przyda?

Okna sypialni i balkon wychodzą na Ogród Botaniczny. Mimo że jest jeszcze ciepło, niektóre drzewa przygotowują się już do jesieni: wystroili się całe w złoto i purpurę. A cóż dopiero będzie we wrześniu!

Z balkonu widać dobrze olbrzymią oranżerię palmową - cała ze szkła. Zielone gazony, aleje... Ludzi w ogrodzie mało. Nie byłam tam jeszcze ani razu. Pójdziemy w niedzielę.

W domu, w którym mieszkamy, mieści się Instytut Farmaceutyczny. Obok nas za ścianą - bursa dla studentek. Całkiem blisko, tuż za rzeczką Karpowką, znajduje się Pierwszy Instytut Medyczny wraz ze swą kliniczną „bazą” - byłym szpitalem Pietropawłowskim, obecnie szpitalem im. Erismana.

Erisman - był to człowiek wielkiego serca i światłego umysłu. Uczony-higienista, który wiele zdołał dla Rosji.

Szpital jego imienia i Pierwszy Instytut Medyczny - to całe miasteczko: mnóstwo dużych i małych budynków wśród pięknych starych drzew, które pamiętają jeszcze czasy „gaju archierejskiego”. Niegdyś było tu „archierejskie podworze”<sup>1</sup>), a jeszcze wcześniej - w okresie zakładania Petersburga - rezydencja letnia Teofana Prokopowicza. Miejsca bogate we wspomnienia.

Przed wojną I. D. miał w Instytucie jedną z katedr, obecnie został mianowany jego dyrektorem.

## *27 sierpnia 1941 roku*

Sekretarz odpowiedzialny tutejszego Związku Pisarzy - Kietlińska, zobaczywszy mnie ucieszyła się i natychmiast zatelefonowała do radia. Poszłam tam wprost ze Związku i umówiłam się, że będę przemawiała nazajutrz.

Audycja nazywała się: „Moskwa przemawia do Leningradu”.

Zaczęłam tymi słowami:

„Towarzysze! Mieszkańcy Leningradu! Obywatele miasta Lenina! Przemawiając dziś do was, chcę przekazać wam pozdrowienie od Moskwy, mego miasta, które w tych groźnych dniach jest równie mężne i niezłomne jak Leningrad. Równie dobrze zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które zawisło nad krajem, i tak samo wierzy, że niebezpieczeństwo będzie przezwyciężone, a wróg - rozbity. Moskwa i Leningrad, jak siostra i brat, podają sobie ręce i mówią: „Nasze będzie zwycięstwo”.

Zacytowałam Hercena:

„Opowiadania o pożarze Moskwy, o bitwie pod Borodino, o Berezynie, o zdobyciu Paryża były moją kotyśką, moimi bajkami lat dziecińczych, moją Iliadą i Odyseją” - pisze Hercen. „A teraz myślimy o tym, dla ilu następnych pokoleń dzisiejsze noce moskiewskie staną się eposem bohaterskim, rosyjską Iliadą i Odyseją”.

---

<sup>1</sup> Archierejskie podworze – posiadłość należąca do zamiejscowego biskupa, w której zatrzymywał się chwilowo; stała siedziba jego zastępców (przyp. tłum.).

Zakończyłam tak:

„Hitleryzm zostanie zmiażdżony, starty z powierzchni ziemi. A ty, Moskwo ukochana, wielka stolico, serce ojczyzny i kolebko bohaterów, i ty, Leningradzie, miasto noszące imię Lenina, chlubno i dumo kraju - będziecie trwać niewzruszenie, jak trwałyście dotychczas przez wieki.”

Tej mojej audycji słuchało wielu ludzi. Ola Cz. usłyszała ją stojąc w kolejce przed sklepem. Dowiedziała się w ten sposób, że jestem w Leningradzie.

## *28 sierpnia 1941 roku*

Dzisiaj L D. spotkał znajomego lekarza z pewnego szpitala wojskowego, który tydzień temu miał się ewakuować z Leningradu.

W ciągu tego czasu szpital, rozmieszczony w wagonach, stał beczynnie na torach pod miastem i nie mógł wyjechać. Teraz powrócił.

Niemcy przecięli drogę przez Mgę - naszą ostatnią linię kolejową. Stacja Mga została zajęta niemal nazajutrz po naszym przyjeździe.

## *1 września 1941 roku*

Częste alarmy lotnicze: dziesięć, piętnaście razy dziennie. A właściwie - jeden wielki alarm z krótkimi przerwami. Mimo to w tej chwili panuje cisza, nie słychać nawet zenitówek. Wszystko odbywa się gdzieś daleko, za horyzontem. Widocznie Junkersy krążą na przedpolach Leningradu i nie mogą się przedrzeć do miasta. Może jednak nadejść taki dzień, że przedrą się, tak jak to było w Moskwie.

A moskiewskie wieczory były wówczas, jak na złość, wyjątkowo piękne. Purpurowa kula słońca zwolna opadała ku zachodowi i w miarę tego, jak zbliżała się do horyzontu, wznosiły się ku górze balony zaporowe, tak jakby jeden mechanizm kierował tymi ruchami.

Pamiętam, jak pewnego razu wzeszedł olbrzymi, nienaturalnie różowy, jakby ulepiony z wosku księżyc i wypełnił sobą całe okno. Wklęsłości na powierzchni księżycy przypominały odciski palców; wydawało się, że ktoś trzymał go przed chwilą w gorących dłoniach.

Wzięłam maszynę do pisania i zaczęłam schodzić do schronu. Idę po schodach, a przede mną obłąkana staruszka. Mąż jej umarł, a ona myśli, że został w mieszkaniu. Idzie i płacze:

- Cały czas byliśmy razem i nagle pozostał sam. I do tego włożyłam jego palto. Jak on sobie teraz poradzi bez palta?

Zeszłam na dół. Jakaś nieznajoma kobieta z innego domu szuka rozpaczliwie swego kilkumiesięcznego dziecka i rozpytuje wszystkich, czy go kto nie widział. A dziecko, zawinięte w chustę, spoczywa w jej ramionach.

Podczas nalotów nie zamykałam swego moskiewskiego mieszkania na wypadek pożaru od bomb zapalających: mieszkałam na ostatnim piętrze. Poza tym dyżurni MPWO<sup>2</sup> przychodzili czasami do mnie, aby napić się wody.

Pewnego razu wróciłam do siebie na górę nie czekając na odwołanie alarmu. Przy otwartym oknie stali dwaj mieszkańcy naszego domu i rozmawiali półgłosem. Gwiazdy, niezwykle jasne przed świtem i jakby pokryte rosą błyszcząły nad murami Kremla. W oddali niebo było purpurowe od pożarów.

Podeszłam do nich; długo staliśmy we trójkę przy oknie i patrzyliśmy na daleką łunę.

#### *4 września 1941 roku*

Byłam właśnie w redakcji gazety wojskowej, gdy kierownik redakcji, dwaj pisarze moskiewscy i szofer wrócili z pierwszej linii okopów.

Wchodzą do pokoju. Wszyscy w płaszczach wojskowych, z granatami za pasem. Szofer, idący z tyłu, ma ich aż cztery. W ręku niesie ręczny karabin maszynowy, stawia go w kącie między kanapą i szafą. Maszynistka, która przyszła po kalkę, z łoskotem przewraca erkaem. Całe szczęście, że był zabezpieczony!

Przybyli kładą granaty na stół, wyjmują mapę i pogrążają się w studiowaniu jej. Nastrój ponury. Wyprawa była nieudana, nasi zostali odepchnięci. Niemcy bombardowali sztab armii. Na domiar złego wszyscy są głodni.

Nagle dzwoni telefon: jedna z naszych baterii przeciwlotniczych zestrzeliła piętnaście nieprzyjacielskich samolotów. Niebywała liczba!

Wszyscy, zapominając o głodzie, chwytają granaty, zabierają karabin maszynowy i rzucają się do drzwi: jadą do baterii.

#### *5 września 1941 roku*

Wzmianka w „Prawdzie Leningradzkiej” o tym, jak pracują obecnie spółdzielnie pracy. Kierownik techniczny jednej z nich zjawił się w centrali i położył na stole nowiutkie żelazko elektryczne, a obok niego jeszcze jakiś przedmiot. „Wszyscy szanujemy to żelazko - powiedział. - To dzieło naszych rąk. Ojczyzna jednak potrzebuje teraz innych fabrykatów. Dlatego chcemy skończyć z żelazkiem - ludność

---

<sup>2</sup> MPWO - Miejskowa Obrona Przeciwlotnicza (przyp. tłum.).

chwilowo da sobie jakoś bez niego radę - i zająć się tą właśnie „sztuczką”. Wszystkośmy już omówili i rozważyli, pozwólcie nam tylko przystąpić do pracy. Otrzymali pozwolenie i teraz spółdzielnia produkuje „sztuczkę” - niepozorną część karabinu, bez której broń jest martwa: nie strzela

### *7 września 1941 roku*

Kiedy rozpoczyna się alarm, na naszą klatkę schodową wychodzi dyżurny student-farmaceuta i puszcza w ruch domową syrenę, która przypomina młynek do kawy z długą korbą...

Linia budowy okopów przebiega w pobliżu Peterhofu<sup>3</sup>.

Niemcy, rzecz jasna, będą walić w fontanny.

Widziałam w rękach młodziutkiego czerwonoarmisty zdobyty na Niemcach kordelas.

### *8 września 1941 roku*

Zadziwiająca, niezwykła jesień. Deszcze nie padają. W suchym i łagodnym ciepłe drzewa żółkną całkowicie, nie tracąc liści. Stoją nietknięte - purpurowe, bursztynowe, cytrynowo-żółte.

I. D. cały dzień spędza w Instytucie. Jestem sama w naszych wysokich, aż nazbyt jasnych pokojach. W czasie alarmu wychodzę na balkon. Ulica Piesoczna, która i tak jest bardzo spokojna, wyludnia się wówczas całkowicie. Tylko dyżurni MPWO stoją w hełmach przed bramami i patrzą w niebo. Czasami przez ulicę przebiegnie uczeń ze szkoły rzemieślniczej. Bursa ich znajduje się w jednym z budynków na terenie Ogrodu Botanicznego.

Dobrze powiedziała o nich konduktorka w tramwaju:

- Noszą się jak gospodarze. Wisi to na stopniach, pcha się na platformach, ale już ich nie ruszam. Przecież niedługo pójdą na front, rowy kopać.

W pasie umocnień obronnych, przy których budowie pracują studentki medycyny, zleciał na spadochronie wprost na ręce dziewcząt lekko ranny nasz lotnik. Walka powietrzna odbyła się nad ich głowami.

---

<sup>3</sup> Peterhof - miejscowość w pobliżu Leningradu. Pałac barokowy z XVIII wieku; park nad Zatoką Fińską, w którym znajduje się słynna aleja fontann (przyp. tłum.).

## 9 września 1941 roku

Wczoraj był pierwszy wielki nalot na Leningrad.

W dzień jak zwykle było kilka alarmów, ale mimo to postanowiliśmy wszyscy pójść do „Muzkomedii” - na „Zemstę nietoperza”. Oprócz nas byli jeszcze Nikołaj Iwanowicz Ozierecki z żoną Aloną i Fiedia P., który jest dla mnie zawsze tym samym Fiedia P., mimo piątego krzyżyka i tytułu radcy prawnego jednego z narkomatów<sup>4</sup>. Fiedia nie chciał wyjechać i pozostał w Leningradzie. Trzyma go tu wygodne mieszkanie, do którego się bardzo przyzwyczał, dywany i książki.

Nikołaj Iwanowicz jest zastępcą I. D. w Instytucie, psychiatra, mądry chłop. Ma niesłychanie zabawną wymowę.

W przerwie między pierwszym a drugim aktem zaczął się kolejny alarm. W foyer zjawił się administrator i takim samym tonem, jakim zapewne zawiadamiał publiczność o zmianie w obsadzie ról z powodu choroby jednego z aktorów, powiedział wyraźnie: „Uprasza się obywateli, aby zechcieli stanąć jak najbliżej ścian, ponieważ w tym miejscu, (wskazał ręką na ogromny otwór przelotowy w suficie) nie ma wiązań dachowych.<sup>44</sup>

Posłusznie stanęliśmy pod ścianami i staliśmy tak ze czterdzieści minut. Gdzieś daleko strzelały zenitówki. Po odwołaniu alarmu przedstawienie odbywało się w dalszym ciągu, co prawda - w przyspieszonym tempie: pominięto drugorzędne arie i duety.

Gdy wyszliśmy z teatru, noc jeszcze nie zapadła. Niebieskie światło wieczorne zlewało się z czerwonymi odbłaskami. Na placu tańczyły jasnopurpurowe refleksy ognia. Nie zrozumieliśmy nawet na razie, co się stało.

Wtem widzimy - szofer Kowrow macha do nas ręką, a przecież samochodu nie zamawialiśmy. Kowrow mówi:

- Postanowiłem zjechać po was, lepiej jak najprędzej być w domu.

„Twarz ma zmienioną i bladą w odbłaskach luno. Gdy samochód minął plac, ujrzeliśmy nagle czarne, kłębiące się góry dymu, rozświetlone u dołu płomieniami. Wszystko to piętrzyło się w górę, pęczniało, układało się w budzące grozę zwoje i odnogi. Kowrow odwrócił się do nas i powiedział zdławionym głosem:

- Niemiec rzucił bomby i podpalił składy żywnościowe.

W czasie jazdy złapał nas jeszcze jeden alarm. W domu długo staliśmy na balkonie i patrzyliśmy na płonące składy. - O jedenastej poszliśmy spać. Jednak o drugiej w nocy trzeba było (po raz pierwszy w Leningradzie) zejść do schronu. Zbyt, groźnie huczały niemieckie samoloty wprost nad naszymi głowami. Zenitówki waliły bez przerwy. Od czasu do czasu rozlegał się huk, znany nam już z Moskwy.

---

<sup>4</sup> Narkomaty - komisariaty ludowe, przekształcone 15. III. 1946 r. w ministerstwa (przyp. tłum.).

Schron jest długi, wzdłuż ścian - ławki. Na ścianie, na półce – głośnik radiowy. Tuż obok - apteczka domowa. Na ławkach siedziały drzemiąc kobiety i dzieci. Rozmawiano tylko półgłosem i szeptem przy drzwiach, gdzie stał posterunek MPWO.

Wtem jakieś dziecko, chłopczyk, wstaje i na tłuściutkich nóżkach przechodzi między ławkami przez całą piwnicę. Wszyscy przygadają mu się w milczeniu. Bierze stołeczek, stawia pod ścianą, gdzie jest radio, włazi na stołeczek -- wszystko to robi niczyjej pomocy - zdejmuje z półki głośnik i przyciskając go do ucha przysłuchuje się ze wszystkich sił, stara się wniknąć do głębi, czy nie rozlegną się tam upragnione słowa „alarm odwołany”.

## *10 września 1941 roku*

Spalone składy Badajewskie - to największe spiżarnie Leningradu, jego „serce żywnościowe”. Złowieszczy dym, tłusty, ciężki i układający się w warstwy, był płonącym cukrem, masłem, mąką ...

Od dwóch dni nocujemy w Instytucie. Przedwczorajsza ciepła, księżycowa noc była tak jasna, że na pewno całe miasto widać było z niemieckich samolotów jak na dłoni.

Pielęgniarkom zabroniono przebiegać przez podwórze w białych fartuchach. Budynek szpitalny są tak białe, jakby również były w fartuchach. Nie można ich jednak ukryć pod narzuconą na plecy chustką. Wybuchy pocisków przeciwlotniczych robią wrażenie bezbarwnych w blasku księżyca. Reflektory próżnują. „Junkersy” nadchodzą falami. Przelecają, na jakiś czas robi się cicho, a potem - znowu.

Wczoraj I. D. chciał sprawdzić, jak odbywa się przenoszenie chorych do schronu. Poszłam z nim. Wyszliśmy właśnie z kliniki położniczej, a tu nagle - gwizd bomby. Przestraszyłam się, pobiegliśmy przed siebie, ale wybuch nastąpił, zanim zdążyliśmy dobiec do drzwi frontowych głównego budynku szpitalnego. Zgięłam się we dwoje w oczekiwaniu, podmuchu. Podmuchu jednak nie było, a może poszedł w innym kierunku.

W naszym sztabie powiedziano mi potem, że jedna bomba upadła koło ZOO. Podobno słonica została przysypana ziemią. Następnej nocy – znowu bomby. Wybuchy – znów w tych samych miejscach. Niemcy celują w zakłady chemiczne, a trafiają w ZOO. Opowiadają, że małpy zostały zabite, oszalały ze strachu soból biega po ulicach.

A jak nieznośnie wyją podczas nalotów psy doświadczalne w Instytucie! Biedactwa - i bez nalotów ciężko im żyć na świecie z „pawłowowskimi” przetokami<sup>5</sup>.

## *11 września 1941 roku*

---

<sup>5</sup> Przetoka – tu: wytworzony w celach doświadczalnych wąski kanalik, łączący powierzchnię ciała z głębiej leżącymi tkankami lub organami (przyp. tłum.).



Wiszniewski, Tarasienkow i Braun zdążyli jeszcze wziąć udział w wydaniu ostatniego numeru gazety w dniu, w którym Niemcy wkraczali już do Tallinnu.

Otoczona Flota Bałtycka z trudem zdołała się przebić. Niemieckie bombowce nurkujące prześladowały nieustannie nasze okręty: były tam transportowce wojskowe, torpedowce, ścigacze, parowce... Bombardowanie trwało dzień i noc bez przerwy. Ludzi, którzy zdołali się uratować, bomby dosięgały na drugim, a czasami nawet na trzecim statku (Braun).

Jak to dobrze, że Wsiewołod Wiszniewski jest tutaj!

### *23 września 1941 roku*

Wczoraj, koło dziesiątej wieczorem jadąc samochodem, ugrzęźliśmy w kolumnie ciężarówek wojskowych niedaleko Ogrodu Botanicznego.

Księżyc jeszcze nie wzeszedł. Noc była parna, ciemna i pochmurna. Samochód przyjechał po nas, aby zawieźć część naszych rzeczy do Instytutu: mieszkamy tam przecież jedną nogą.

Zanim wyruszyliśmy w drogę, zapadły egipskie ciemności. Ciężarówki w niesamowitym nieładzie zatarasowały całą ulicę. Stały wzdłuż, wszereż, na ukos, na chodnikach, na jezdni... Dowódca kolumny gdzieś zniknął.

Nasz szofer spróbował na chwilę zapalić reflektory, lecz natychmiast jakiś wściekły głos wrzasnął:

- Tylko twojej latarni brakowało! Migiem gaś!

Szofer odpowiedział nieśmiało:

- Wiem, że nie brakowało, ale przecież nic nie widać.

W dodatku, jak to zwykle bywa w takich wypadkach, rozpoczął się alarm. W ciemnościach zawyły i zajęczały syreny. Jednocześnie w niskich chmurach rozległ się złowieszczy warkot. Nie ma dokąd uciekać: z boku i z tyłu pchają się na nas potężne ciężarówki, słychać tylko trzask dokoła. Wreszcie na przodzie coś poruszyło się, zahuczało i ciężarówki ruszyły z miejsca. Po dwóch czy trzech metrach - „stój!” Prosto na nas pakuje się chłodnicą jakiś inny samochód osobowy. Zaczęliśmy się cofać, zaczepiliśmy o coś. W końcu jednak - pojechaliśmy.

Skręciliśmy na lewo nabrzeżem Karpowki. Szofer mówi: - Nie widzę mostu przez rzeczkę. Żeby tylko nie wpaść do wody! Tego jeszcze brakowało...

Znowu skręciliśmy, tym razem na ślepo i trafiliśmy wprost na mostek (w tym miejscu, gdzie Karpowka wpada do Newki). Jadąc ulicą Lwa Tołstoja znowu na chwilę zapaliliśmy reflektory. Patrol żąda od nas przepustki. Odpowiadamy: „Jest”. Papiery samochodu są rzeczywiście w porządku, tylko ja nie mam przepustki nocnej, a jest już po dziesiątej. Teraz nie patrz na to przez palce.

Pojechaliśmy dalej: nie możemy znaleźć naszej bramy. Znowu zapalamy reflektory. A tu milicjant:

- Jeszcze raz zapalicie - będę strzelać! Widać, że nie żartuje.

Powrót do domu trwał prawie godzinę. Szofer był ledwie żywy.

Mówi:

- Aż mi się koszula przylepiła do grzbietu - taka ciężka jazda.

Coś bardzo groźnego i niepokojącego było w tym beładnym nagromadzeniu samochodów w środku miasta.

Komunikat był dziś niepomyślny: oddaliśmy Czernihów.

Pociski artyleryjskie spadają bez przerwy na miasto. Wczoraj w nocy trzy upadły na Wieriejskiej, koło kanału. To gorsze od bombardowania. Bez uprzedzenia, bez alarmu. Od razu śmierć lub rany.

### *16 września 1941 roku*

Zrobiło mi się jakoś dziwnie, gdy usłyszałam młody kobiecy głos: „Telefon zostaje wyłączony do końca wojny...” Próbowałam coś odpowiedzieć, protestować, ale szybko doszłam do wniosku, że to bezcelowe. Po kilku minutach telefon zabrzączał i zamilkł... do końca wojny.

Mieszkanie od razu zamarło, stało się chłodne i obce, zamknęło się w sobie. Wszystkie telefony w mieście zostały wyłączone o tej samej godzinie. Tylko nieliczne są nadal czynne: w urzędach (szczególnie ważnych), w klinikach i szpitalach.

### *17 września 1941 roku*

Przyszła do mnie krewna Puszkina (jej babka była siostrą cioteczną Aleksandra Siergiejewicza). Podobna jak dwie krople wody do przodków Puszkina po kądzieli: czarne, kędzierzawe włosy, murzyńskie oczy, grube wargi, które układają się w jakiś niezwykły uśmiech. Jaka żywotna krew!

Wiera Kaetanowna nigdzie się jeszcze nie urządziła. Urząd, w którym pracowała, ewakuował się, a ona nie wiadomo dlaczego została w Leningradzie. Córka jej uciekła z Puszkina<sup>6</sup> przed Niemcami. Chory syn, artysta-malarz, jest przykuty do łóżka.

Krewna Puszkina, która uciekła z Puszkina przed Niemcami...

Nawet bardzo doświadczony powieściopisarz nie mógłby tego wszystkiego tak łatwo wymyślić.

Zostaliśmy ostatecznie „skoszarowani” w Instytucie.

---

<sup>6</sup> Puszkina - miejscowość pod Leningradem (przyp. tłum.).

Nasz nowy pokój jest bardzo mały: biurko przy oknie, dwa żelazne łóżka, etażerka, fotel i dwa krzesła. Jeśli chcemy się umyć, musimy przynosić miednicę i stołek.

Na ścianach – portrety uczonych: Claude Bernard, Bichat, Pasteur, Virchow, Koch i sztych: „Lekarz angielski Jenner dokonuje po raz pierwszy szczepienia ospy ośmioletniemu Jamesowi Phippsowi”.

W pokoju stoi także okrągły piecyk żelazny, w którym co rano pali Eufrosinja Iwanowna. Za oknem potężne topole. Wmawiamy sobie, że uchronią nas przed odłamkami. Nasz pokój jest zresztą dobrze ulokowany – w głębi litery „U”, między dwoma skrzydłami budynku..

Pokój ten nabiera szczególnego uroku o zmierzchu, gdy ciemności zalegają miasto i szpital, -Człowiek idzie i nie chce nu się wierzyć, że w ogóle istnieje światło. Pierwotny mrok wyrasta przed nim jak ściana. Noce są teraz ciemne pojawia się rąbek umierającego księżyca.

Idąc do mieszkania, trzeba przejść przez podwórze i zimny kamienny przedsionek głównego gmachu. W przedsionku pali się niebieska lampka, dyżurna siedzi nad książką. Gdzieś daleko wali artyleria. Na horyzoncie niebo bucha ogniem: toczą się tam walki powietrzne. Na podwórze przywieziono właśnie rannych. Wczoraj nieśli jednego na noszach po schodach. Z noszy spływała krew - ze stopnia na stopień. Postawili na chwilę nosze, podnieśli - została kałuża krwi. Ranny - młody chłopak, blady jak ściana - prosto z frontu. Przywieźli - i od razu na stół operacyjny. Amputowali mu nogę.

Po przejściu pełnego rannych podwórza, chłodnej klatki schodowej i ciemnego korytarza wchodzę do naszego pokoju, gdzie jest jasno i spokojnie. Okno szczelnie zasłonięte. Na biurku pali się mała lampka elektryczna, którą przywiozłam ze sobą z Moskwy; ten krąg światła wydaje mi się cichą przystanią, rajem. Pokój jest moim schronieniem i ostoją.

Złudzenie, oczywiście. Ale jedno z takich złudzeń, które pomagają człowiekowi żyć.

Wczoraj późnym wieczorem jeszcze podczas nalotu weszliśmy do izby przyjęć, dokąd przywieziono właśnie ofiary bombardowania.

Młodziutka robotnica z fabryki konserw czekała na operację. Siódmy miesiąc ciąży. Siedziała w metalowym fotelu owinięta w prześcieradło. Twarz rozpalona gorączką, podłużne niebieskie oczy na wpół przymknięte, błyszczące i jakby wilgotne, włosy w; lokach spadają na ramiona. Fałdowana koszula szpitalna nieco rozchylona na piersiach.

Pocisk wpadł do drewnianej hali fabrycznej i zabił osiemnastu ludzi z dwudziestu obecnych. Przy życiu pozostała tylko ona i jeszcze jedna robotnica. Ranną położono na stół. Drżała. Dano jej narkozę. Odłamek utkwiał głęboko w nodze, w okolicy pięty. Na zdjęciu rentgenowskim widać go było wyraźnie.

Rozpoczęła się operacja. Rozcięto stopę i przystąpiono do wyciągania odłamka szczypcami; początkowo szukano go także za pomocą igieł, a znalazłszy, wyciągnięto dopiero po pewnym czasie: trudny był do uchwycenia. W przerwach między wybuchami pocisków przeciwlotniczych słychać było, jak szczypce zgrzytają o metal.

Operacji dokonała Zinaida Wasiliewna Ogłoblina, jeden z najstarszych tutejszych lekarzy.

Uczyła się tutaj jeszcze w tych czasach, gdy Pierwszy Instytut Medyczny był jedynym w Rosji Żeńskim Instytutem Medycznym. Dziś jest ona niestrudzonym chirurgiem. Całymi tygodniami nie opuszcza szpitala, nieraz po kilka dni z rzędu nie odchodzi od stołu operacyjnego.

Wyszliśmy przed końcem operacji, jednak lekarz naczelny - Borys Jakowlewicz Szapiro przyniósł mi potem odłamek; prosiłam go o to. Był to maleńki kawałek metalu, w środku stalowy, na zewnątrz miedziany.

Nasza Dzielnica Piotrogradzka uważana jest za najbezpieczniejszą: ewakuuje się tu ludzi z innych dzielnic. Ewakuowani przyjeżdżają tramwajem, z tobołami, kołyskami, wanienkami, garnkami, kwiatami w doniczkach, książkami.

Środkowa Rogatka - przejeżdżałam tamtędy niedawno samochodem „Izwestii”. przy czym dotarliśmy niemal do samego Pułkowa - to obecnie nasze pozycje czołowe. Niemcy znajdują się tuż obok.

### *18 września 1941 roku*

Poszliśmy wczoraj do bursy studenckiej. Było ciemno. Na horyzoncie - dwie łuny. Bursa mieści się w byłych Koszarach Grenadierskich. Mieszkał tu niegdyś Aleksander Błok, ojczym jego był wojskowym.

Spokojna ulica nad brzegiem Newki, obok Most Grenadierski. Budynki na przeciwległym brzegu (zwłaszcza jeden, o spadzistym dachu), ich różowe i szare odbicia w wodzie, zatopiona barka - to wszystko ma w sobie coś holenderskiego. Przypomina mi to jeszcze ten kącik w porcie kopenhaskim, gdzie stoją stare spichrze zbożowe, a lśniące, ociążałe gołębie dziobią rozsypane ziarno.

Na lewo od koszar, wzdłuż Newki - wciąż ten sam Ogród Botaniczny.

Koszary - to potężny budynek o niezwykle mocnych murach. Piwnice koszarowe (spotkaliśmy tam wówczas tylko zdziczałego czarnego kota) są jak gdyby specjalnie przygotowane na wypadek bombardowania.

Jedna myśl, jedno pytanie: czy Leningrad wytrzyma?

### *19 września - 1941 roku*

Noc była przerażająco spokojna. Wydawało się, że miasto nie oddycha: leży w ciemnościach i czeka. Rankiem zaczęło się.

Słuchałam przez radio felietonu Erenburga o froncie zachodnim. I felieton dobry, i sprawy tam dobrze stoją. Au nas!...

Erenburg pięknie powiedział: „Zwycięstwo przedstawiają jako uskrzydloną postać; ma ono jednak ciężkie stopy i chodzi po ziemi we krwi i błocie. Zdobywa się je z wysiłkiem”. Tak to brzmiało mniej więcej.

W moim mózgu powstały jakby „pola minowe”, do których nie wolno się zbliżyć, Żanna i Miszeńka - to „pole”. Drewniany dom w Pieriediełkino, wśród brzoź i sosen, również jest „polem”. Mimo wszystko nie chciałabym tam teraz być... Wolałabym być na froncie. Ale tam, gdzie zwyciężamy.

U nas w szpitalu każdego wieczoru ciężko ranni proszą: „Zanieście nas do schronu”. Denerwują się bardziej niż ci, którzy nigdy nie byli na froncie.

Na dworze wciąż ta sama złota jesień. Żółte liście opadają ze starych drzew na dróżki szpitalne. Dzisiaj przynosi się do nas jeszcze jeden szpital: morski.

Wczoraj ktoś nazwał naszą Dzielnicę Piotrogradzka „głębokimi tyłami”. Gdybyśmy byli nawet „tyłami” dla artylerii, to w żadnym wypadku nie dla lotnictwa: dowodem tego jest dzisiejszy poranek.

Męstwo jest tak samo zaraźliwe jak tchórzostwo.

## *20 września 1941 roku*

Wczoraj był bardzo ciężki dzień. Wiele ofiar i zniszczeń. Zewsząd słychać było huk i łoskot.

Pojechaliśmy samochodem do Loli, która mieszka na Rozjzdowej, w pół godziny po tym, jak upadły tam dwie bomby: jedna na jezdnię Wielkiej Moskiewskiej, druga - w podwórzu. Dom, w którym mieszka Lola, ucierpiał od obydwu bomb. Dokoła wszystko leżało w gruzach, wynoszono rannych i zabitych.

Podwórze zasypane szkłem i cegłami. W samym mieszkaniu, na podłodze tynk, błoto, wapno, jak podczas remontu. W pokoju sąsiadującym z pokojem matki Loli - Diny Osipowny, runął piec. Mieszkanie- wygląda okropnie.

Lola również pochodzi z Odessy. Znamy się od wczesnego dzieciństwa. Pamiętam, jaka piękna, wesoła i elegancka była jesienią 1913 roku w Paryżu. Wybraliśmy się całym towarzystwem na spacer: jeździliśmy na karuzeli, przygrywała muzyka. Potem usiedliśmy rzędem na murku, jedliśmy kasztany patrząc na Paryż w opadających liściach; zapalały się pierwsze światła wieczorne.

Teraz Lola ma córkę Innę - piękną, poważną dziewczynę, która pragnie zostać szturmanem żeglugi dalekomorskiej.

Kiedy przyjechaliśmy na Rozjzdową, Lola była przy pracy. Dina Osipowna brnąc po gruzach, wyszła na nasze spotkanie.

Widziałam dziś pewnego majora, który przyleciał z Moskwy i jeszcze dzisiaj odlatuje z powrotem. Opowiadał o wszystkim i zakończył tymi słowami: „Leningrad pozostanie nasz, nie podobna, żeby mieli go oddać”. Wytłumaczył dlaczego. I chociaż były to rzeczy znane, wielokrotnie przedyskutowane i

przemyślane, to jednak potwierdził je człowiek, który był pod Jelenią. Jakie to pokrzepiające, niezbędne w naszym życiu, niezwykle ważne!

Wczoraj od bomb zapalających wybuchły pożary w szpitalach: Kujbyszewskim, Aleksandrowskim i w dwóch wojskowych.

Ze -szpitala wojskowego na Radzieckim Prospekie buchał taki dym jak gdyby paliła się nafta.

Wczoraj spadły bomby w Nowej Dieriewni na rynku. Przywieziono stamtąd pięćdziesięciu ludzi. Ranna siedmioletnia dziewczynka skarżyła się ciągle, że sprawia jej ból przepaska gumowa zaciskająca nogę. Pocieszono ją, że ból niedługo przejdzie, potem uspio i amputowano nogę. Gdy obudziła się, powiedziała: „Teraz dobrze, wcale nie boli”. Dziewczynka nie wiedziała, że jest już kaleką.

## *22 września 1941 roku*

Oddaliśmy Kijów. Ciężko na duszy.

W ciągu wczorajszego dnia było kilka alarmów. Pojechaliśmy do miasta - alarm. Postanowiliśmy przeczekać go u Oziereckich i wstąpiliśmy do nich. Mieszkają w dawnym pałacu Kiriłła Razumowskiego. Wyższe, olbrzymie i zimne pokoje. Wszystko technicznie minionym XVIII wiekiem. A nad pałacem lata wiek XX w postaci „Junkersa”, obładowanego bombami lotniczymi.

Pojechaliśmy dzisiaj do miasta, do redakcji gazety Floty Bałtyckiej, gdzie pracuje T. Za ledwie weszliśmy na górę - alarm. Wchodzi marynarz i mówi: „Wszyscy muszą zejść do schronu”. Wyszliśmy na korytarz. W tej samej chwili dom zadrział: bomba upadła tuż obok.

W schronie - T. rozesał w kącie płaszcz wojskowy. Usiedliśmy. T. wyjął z kieszeni plik listów od żony i zaczął mi je czytać. Było to dziwne i wprost nieprawdopodobne - wśród łoskotu i wybuchów pocisków słuchałam tkliwych i kochających słów.

Pojechaliśmy do domu nie mogąc się doczekać końca alarmu. Zajeżdżamy przed Instytut, a przy wejściu mówią nam, że dwadzieścia minut temu bomba trafiła w bursę studencką. Jedziemy tam natychmiast.

Zbliżając się wypatrujemy z daleka, czy budynek jeszcze stoi. Stoi. Nawet nie ze wszystkich okien wyleciały szyby. Bomba (przypuszczalnie niewielka, pięćdziesięciokilowa) spadła na podwórze. Lej był już pełen wody i błota. Ale nawet od tej niewielkiej bomby gmach zarysował się. Duże kawały tynku pospadały na łóżka studentów. Gdyby ktoś leżał na nich podczas nalotu, zginąłby na miejscu.

Wielkie wrażenie zrobił na mnie fakt, że w takich czasach, w oblężonym mieście, pod gradem bomb Szostakowicz pisze symfonię. Co najważniejsze - „Prawda Leningradzka” donosi o tym między komunikatami z frontu południowego, między epizodami o „sępach faszystowskich” i o butelkach z płynem zapalającym. A więc sztuka nie zginęła, żyje jeszcze i ogrzewa nam serca.

## *23 września 1941 roku*

Na Puskarskiej widziałam sześciopiętrowy dom, który bomba przebiła od dachu do fundamentów. Stoi tak, pęknięty przez całą wysokość. Dach odgiął się ku górze, jak skórka w bochenku nie dopieczzonego chleba.

Przechodząc obok widzieliśmy, jak z wysokości szóstego piętra spuszczano na dół kanapę na ukośnie przeciągniętej linie. Kanapa powoli spełzała na dół, zawieszona w próżni.

Niemcy stosują nową taktykę: rzucają najpierw bomby burzące, a kiedy budynek jest już rozwalony i bezbronny, obsypują go bombami zapalającymi. Tak było ze szpitalem wojskowym, w którym zginęło wielu rannych.

Nasz lekarz naczelny otrzymał dzisiaj rozkaz: przy każdym łóżku ciężko rannego stać mają nosze. W każdej sali, szpitalnej powinny znajdować się drabiny sznurowe.

Mamy bardzo niepokojące sąsiedztwo: Koszary Grenadierskie. Tylko część koszar została przeznaczona na bursę studencką, w pozostałych budynkach stacjonuje oddział wojskowy. Przywożą tam często, niestety niezbyt często, skrzynie z pociskami. Czasami pociski przywozi tramwaj, niekiedy barka po rzece Karpowce. Tuż obok, niedaleko od naszego prosektorium, stoi bateria przeciwlotnicza. Niemcy widzą to wszystko z powietrza.

Naprzeciwno, wśród drzew, ukryty jest balon zaporowy wraz z balonem zapasowym. Również niebezpieczne sąsiedztwo dla szpitala. A zresztą, jaką gwarancję daje szpital?... Przecież Niemcy bombardują szpitale ze szczególną systematycznością.

Zresztą, gdy chłopiec na podwórzu koszarowym pokazał mi lej od bomby oraz miejsce, gdzie stał podczas wybuchu, i powiedział: „Byłem tam” - zrozumiałam, że żadna obrona nie jest skuteczna.

Wszystko zależy od przypadku. Trzeba tylko wystrzegać się szyb - to wszystko, co można zrobić.

## *24 września 1941 roku*

Dzisiejszego poranku (cudowny, cały w złocie), mniej więcej o dziesiątej, na kilka sekund przed alarmem, na terenie szpitala upadła bomba, ale nie wybuchła. Dotychczas leży głęboko zaryta w ziemię...

Bomba upadła koło polikliniki, obok żelaznej fontanny. Przez cały dzień bezskutecznie pracowała przy jej wydobyciu drużyna saperów. Odłożyli do jutra. Bomba jest bardzo duża - widać to z kawałka lotki, który oderwał się przy upadku. Tramwaje nie przejeżdżają koło nas, przechodni nie puszczają. Jesteśmy otoczeni posterunkami. Oddział ginekologiczny i „pierwsza chirurgia”, które znajdują się najbliżej miejsca upadku, zostały przeniesione do innych budynków.



Co najdziwniejsze, nie odczułam niemal uderzenia. W pierwszej chwili wydało mi się, że gdzieś daleko zatrzasnęły się ciężkie drzwi. Budynek zadrżał, ale nie tak mocno. Mówią, że w innych budynkach wstrząs był silniejszy.

Lola z Inną i Diną Osipowna, przeprowadziły się ze swego zbombardowanego mieszkania do nas, na Piesoczną. Teraz będę się z nimi często widywać.

Co dzień chodzę do rannych na „drugą chirurgię” i czytam im na głos. Mam dwie sale. Czytam Gorkiego, Niekrasowa i Twaina. Bardzo podobają się opowiadania Marka Twaina i Niekrasowa „Komu na Rusi dobrze się żyje”.

Niekiedy wielu ciężko rannych śpi lub myśli o swoich sprawach. A jednak jest im przyjemnie, że ktoś przychodzi i rozmawia z nimi.

Z goryczą mówią o niemieckiej technice, o tym, że mamy za mało samolotów i czołgów. Jeden z nich mówi z wysiłkiem. Powtarza bez przerwy gorączkowym szeptem:

- Żebyśmy mieli trochę więcej czołgów, jeszcze troszeczkę! Inny, oficer bez nogi, ranny pod Kingisepp, powiedział:

- Godzę się na nowe rany, żeby tylko wojna dobrze się skończyła.

Trzeci, też ranny w nogę, z medalem „Za odwagę”, wzruszająco przypiętym agrafką do nocnej koszuli, mówił:

- Żeby tylko tę szarańczę przepędzić! - to o niemieckich samolotach.

Czwarty powiedział o schronach i okopach:

- Nie dają ziemi spokoju.

## *26 września 1941 roku*

Podczas alarmów ranni są spokojni, chociaż jednocześnie posepnieją. Przytłacza ich świadomość własnej bezradności i niemocy. Przecież większość z nich nie jest w stanie zrobić ani jednego kroku.

Kilka dni temu siedziałam na stołku pośrodku sali szpitalnej i czytałam opowiadanie Gorkiego. Nagle zawyły syreny i zenitówki pokryły pociskami całe niebo. Wybuchła bomba, zadźwięczały szyby.

Siedziałam na stołku bez oparcia: nie miałam nawet do czego przylgnąć. Ze wszystkich stron okna, okna... Ranni, ludzie bezradni, mimo woli patrzą na mnie - zdrowego człowieka: co będę robić. Wytężyłam całą swoją wolę; zaczekałam, aż ucichnie łoskot; i czytałam w dalszym ciągu pilnując się tylko, żeby głos mi nie drgnął.

Jednakże po powrocie do domu, po przeżytych strachu siły opuściły mnie od razu tak, że musiałam się nawet na pół godzinki położyć.

Żołnierze wiedzą o bombie, ale prawie wcale nie rozmawiają na ten temat. Czy wiedzą, że dotychczas leży w ziemi, że nie wybuchła?

### *27 września 1941 roku*

Bomba wciąż leży w ziemi. Saperzy gonią resztkami sił, a ona, jak zaklęty skarb, nie daje się wziąć do rąk i coraz bardziej zagłębia się w ziemię. Co zrobią, przez dzień, idzie na marne w nocy.

Ziemia w naszym ogrodzie cała jest rozkopana. „Nie dają ziemi spokoju”.

### *28 września 1941 roku*

Odbył się dzisiaj wiec kobiet leningradzkich. Przez całą noc siedziałyśmy z Wasiliewą, redaktorką „Zmiany”, u niej w domu i pisałyśmy odezwę. Podczas kolejnego nocnego nalotu sąsiedzi z górnych pięter zeszli do mieszkania Wasiliewej, które znajduje się na dole. Siedzieli żałośnie z dziećmi w przedpokoju pod wieszakiem: do schronu jakoś nie poszli.

W obcym domu nalot jest daleko straszniejszy niż we własnym.

### *29 września 1941 roku*

Bomba wciąż leży. Zapomnieliśmy już prawie p niej, chociaż jeszcze jest groźna.

### *4 października 1941 roku*

Trzeba było wykopać chodnik podziemny, jak w prawdziwej kopalni, wbić drewniane kliny i w ten sposób zatrzymać bombę na określonej głębokości.

Dzisiaj nareszcie pozwolono nam ją obejrzeć.

Poszliśmy z I. D. do wydzielonej części ogrodu, gdzie przez cały czas nie puszczano nikogo.

Ciężka bomba krusząca leżała w całej swej okazałości: olbrzymia, pomalowana na niebiesko w żółte plamy, z zaostrzonym ryjem i płaskim tyłem. Zapalnik był wykręcony i saperzy za pomocą długiej

łopatki, zamoczonej w wodzie, wydostawali z głębi bomby zielonkawą glinę, wyglądającą niewinnie. Był to materiał wybuchowy - trotyl.

Teraz bombę odwieziono do muzeum wojskowego. Schowałam na pamiątkę kawałek lotki.

### *5 października 1941 roku*

Nie przestaję myśleć o bombie. Zaczęłam o niej pisać tym samym metrum co „Pamiętnik z podróży”.

Otrzymałam list z Czystopola, z 13 sierpnia. Żanna pisze o synku:

„Schudł bardzo, ale wyrósł. Je już kaszę i kisiel”. Co za szczęście, że są tam!

### *10 października 1941 roku*

Oddaliśmy Orzeł.

Na odcinku Wiaźmy i Briańska sytuacja wciąż jest groźna. Niemcy znów atakują.

Ziemia pod Moskwą jest płaska: ani gór, ani dolin, ani morza. Jak na takiej równinie zatrzymać lawinę niemieckich czołgów?

Serce zamiera na myśl, że mogą przerwać się i zacząć tratować moskiewskie ulice.

### *14 października 1941 roku*

Zażarte walki pod Odessą. Tak dawno wyjechałam stamtąd! Wydawało mi się, że jest takim samym miastem jak inne, że przestała być już miastem rodzinnym. A teraz czuję, że jest mi tak samo droga i bliska jak dawniej..

Napisałam wiersz „Wezwanie do Odessy”. Przepuszczalnie będą go jutro nadawać przez radio, żeby usłyszano mnie także w Odessie.

### *15 października 1941 roku*

Nie zdążyłam przeczytać wiersza przez radio. W Odessie są już Niemcy.

### *26 października 1941 roku*

Byliśmy w Filharmonii. Kamieński grał koncert fortepianowy Czajkowskiego. Na bis - walca „Prater”. Sala koncertowa nie jest już tak wytworna jak dawniej. Ogrzewanie nie działa. Trzeba siedzieć w paltach.

Bardzo dużo wojskowych.

### *5 listopada 1941 roku*

Ciężko przychodzi mi czytanie opisów walk podmoskiewskich.

Niemcy są pod samą Moskwą. Dziś w „Prawdzie Leningradzkiej” czytałam korespondencję: „Bitwa na szosie Możajskiej”.

Ileż razy jeździliśmy po tej szosie samochodem? Teraz są tam niemieckie czołgi i piechota.

W komunikatach pojawił się „małojarostawiecki odcinek frontu”.. Miasto N. to chyba Nara: szły tam pociągi podmiejskie, które zatrzymywały się w Pieriediełkino.

Niemcy nie wejdą do Moskwy. To niemożliwe.

O Moskwę!. Nierosyjskim miastem być nie możesz!  
Jak bez oddechu nie może człowiek żyć!

### *6 listopada 1941 roku*

Wczoraj po raz pierwszy w życiu zrozumiałam, co oznacza wyrażenie „ugięły się nogi”.

Byłam sama na dużych, bardzo akustycznych schodach, pod olbrzymim oknem, gdy nagle bomba upadła zupełnie blisko. Odróżniłam pierwszy potężny łoskot podobny do uderzenia piorunu od późniejszych, dodatkowych grzmotów. Ziemia zadrżała i zakotłowała się jak woda. Dom nasz zachwiał się.

Nie wiedząc, co się ze mną dzieje, wbiegłam do schronu, gdzie już byli wszyscy nasi. Nogi były jak z waty. Potem mi przeszło.

Był to najsilniejszy wybuch od początku wojny. W licznych budynkach szpitalnych wyleciały szyby z okien. W naszym domu również, z wyjątkiem pokoju, w którym mieszkamy. Znajduje się on naprawdę w doskonałym punkcie.

Schron, w którym mieści się posterunek ochrony wojskowej Instytutu i szpitala - to małeńki pokoik, a ściślej rzecz biorąc, część dużego schronu, oddzielona od reszty przegrodką z desek. Pośrodku stół, przy którym ludzie czytają, szyją i śledzą na mapach Inie frontów. W kącie - piecyk, a pod ścianą - dwie kanapy. Jest także telefon, z którego korzystają I. D. i Borys Jakowlewicz dla rozmów z oddziałami szpitalnymi.

Dolatują tu przytłumione wybuchy bomb. Jeśli słyhać tylko jedno tępe uderzenie, oznacza to, że bomba nie wybuchła od razu. Człowiek siedzi i liczy sekundy.

Moja przyjaciółka Marietta, Maria Ignatiewna Palczewska, podczas nalotów robi bukieciki z jedwabnych supełków. Gdy bomba pada i wszyscy oczekują wybuchu - supełek zawisa w powietrzu. Po wybuchu - praca znów toczy się gładko.

Marietta jest farmakologiem. Jej laboratorium na naszym piętrze zachowało po dziś dzień zapach królików i morskich świnek. Na korytarzu stoją jeszcze klatki, lecz nie ma w nich ani królików, ani świnek.

Na dworze, przed drzwiami do schronu, leży zwykle, drżąc na całym ciele i tuląc się do ściany, pies należący do żołnierzy obsługujących działo przeciwlotnicze, owczarek Dinka. Pies rozumie wszystko i wpada do schronu przy pierwszym odgłosie syreny.

Dowództwo baterii zenitówek znajduje się tuż obok, za następną przegrodką. Dowódca baterii, utrzymujący łączność telefoniczną z punktem obserwacyjnym na dachu uniwersyteckiego prosektorium i ze wszystkimi pozostałymi punktami obserwacyjnymi w naszej dzielnicy, otrzymuje zewsząd meldunki o zbliżaniu się niemieckich samolotów i o kierunku, w którym lecą. Dowódca kieruje ogniem, a my rozmawiamy szeptem, żeby mu nie przeszkadzać.

Mimo wszystko, mimo niebezpieczeństwa grożącego co dzień, co godzina, mimo że nie wiem, czy zobaczę Żannę i wnuczkę, mimo złego stanu zdrowia, od dawna już nie czuję takiego przyptywu sił duchowych, takiej żądzy pracy. Mogę teraz wiele zdziałać. I zdziałam, jeśli tylko bomba nie upadnie nieco bliżej niż wczoraj.

Jeśli pozostanę przy życiu, uczynię wszystko, aby strzec drogiego pola pracy i nie rozpraszać się na drobiazgi i głupstwa. Oby zachować tylko jasny umysł, żeby można było pisać do końca. To wszystko, czego pragnę dla siebie.

## *7 listopada 1941 roku*

Wczoraj wieczorem słuchaliśmy przemówienia Stalina z Moskwy. Zimny jak lód pokój postanowiliśmy ogrzać na tę godzinę. Okazało się, że jest to niemożliwe. Siedzieliśmy w paltach. A jednak garstka węgla w piecyku jarzyła się, promieniowała żarem i blaskiem. Nie mogliśmy oderwać wzroku od ognia.

Za oknami była czarna, nieprzenikniona noc, wyły syreny, salwami biły zenitówki, samoloty z rykiem przelatywały nad naszymi głowami.

Przez radio dwa razy ogłaszano alarm, jednak niezwłocznie powracano do transmitowania przemówienia Stalina. Słowa płynęły ponad alarmem, ponad ciemnością, ponad nocą. Były silniejsze ponad wszystko.

Śluchaliśmy zapatrzeni w ogień. Wszystko to było dla nas jedną wielką, promienną pociechą.

### *10 listopada 1941 roku*

Byliśmy wczoraj w Filharmonii na IX Symfonii Beethovena. Więcej już chyba nie pójdziemy na koncert. Staje się to nazbyt skomplikowane i niebezpieczne.

Gdy wracaliśmy do domu, noc była tak czarna, ciemność tak nieprzenikniona, jak w zamkniętym pokoju bez światła.

Nie mieliśmy latarki. Jakimś cudem doszliśmy do przystanku tramwajowego. Na przystanku o mały włos nie wpadliśmy pod ciężarówkę. Poczułam nagle, że o mój policzek otarł się zimny i mokry bok samochodu.

Filharmonia staje się coraz bardziej ponura. Na sali panuje podbiegunowy chłód.

Po raz drugi zmniejszono rację chleba.

### *15 listopada 1941 roku*

Obok prosektorium upadła wczoraj duża bomba krusząca. Druga wybuchła w Ogrodzie Botanicznym. W oranżerii wyleciały od razu wszystkie szyby i wdarło się tam zimne powietrze. Palmy zmarzły do rana.

Kiedy upadła druga bomba, drzwi w naszych schronie zatrzęsły się tak gwałtownie, jak gdyby targnął nimi oszalały ze strachu człowiek. Zerwałam się i chciałam je otworzyć: nie mogłam uwierzyć, że to podmuch. Otworzyłam drzwi - nie ma nikogo. Tylko owczarek Dinka leży na podłodze i drży. Kobiety na ławach siedzą nieruchomo, tuląc do siebie dzieci.

### *16 listopada 1941 roku*

Alarm. Dużo rakiet świetlnych. Cały teren szpitala zalany jest w nocy światłem.

## *21 listopada 1941 roku*

Wczoraj, gdy wracaliśmy z miasta, złapały nas po drodze dwa długie alarmy lotnicze. Siedzieliśmy w dwóch schronach i staliśmy w dwóch bramach. W przerwach robiliśmy „skoki”.

Skoro trochę ucichnie - w drogę. Znow zaczynają się przeloty nad naszą głową i widać odbłyски wybuchów - wyczekujemy w bramie.

Bardzo groźnie wyglądają wśród mroku ostre, czerwone gwiazdy pocisków przeciwlotniczych. Odłamki ich są niebezpieczne. Pierwszy alarm złapał nas przed gmachem giełdy. Biaława, śnieżna mgła, prześwietlona blaskiem księżyca, dziwacznie zniekształcone przez śnieg kontury; rostralne<sup>7</sup> kolumny zaledwie widoczne. Nad tym wszystkim unosi się jęk syreny i huk wybuchającej opodal bomby.

Zeszliśmy do piwnicy pod giełdą, pod potężne, stare sklepienia.

Siedziały tam z nami konduktorka i motornicza. Ucieszyliśmy się wszyscy - tramwaj nie odjedzie bez nas.

Drugi schron na Wielkim Prospekcie miał zupełnie inny charakter.

Schowali się tam ludzie, którzy stali w kolejce po mleko sojowe przed sklepem w tym samym domu. I tak się dziwnie złożyło, że spotkali się tam była robotnica i były majster z fabryki cukrów, „którzy pracowali w niej Jeszcze przed rewolucją.

Zaczęły się wspomnienia. Były szef opowiadał o „czekoladowej ewangelii”, którą fabryka przygotowała na wystawę do Paryża i za którą fabrykant otrzymał nagrodę w wysokości 25 000 rubli; robotnikom przypadły z tego marne grosze. Co najciekawsze, paryska komisja (tak przynajmniej twierdził szef) uznała, że „ewangelia” była zrobiona na maśle śmietankowym, podczas gdy „prawdę powiedziawszy, była na margarynie.

Oto w pełnym tego słowa znaczeniu „słodkie” wspomnienia. Cały schron słuchał jak urzeczoną, nie zwracając uwagi na groźne huki dochodzące z zewnątrz.

Na placu Lwa Tołstoja nie szliśmy już, lecz biegliśmy pod nieprzerwanym ogniem zaporowym. Nagle koło piekarni na rogu, na oblodzonym chodniku usłyszeliśmy drżące błaganie:

- Kochani, drodzy, pomóżcie!

Staruszka. Upadła po ciemku. W niebie, nad jej głową warczą samoloty, błyska ogień, a na ziemi - ani żywej duszy, tylko my. Podnieśliśmy ją i chcieliśmy już biec dalej. Staruszka w krzyk:

---

<sup>7</sup> Rostralne (od łacińskiego słowa „rostrum”) – dziób okrętu. W Rzymie używano tego motywu jako ornamentu kolumn. Takie ozdobne kolumny upiększają gmachy Leningradu (przyp. tłum.).



- Kochani! Swoje kartki na chleb zgubiłam. Co teraz pocznę? Pomóżcie, drodzy moi! - i szuka w ciemnościach swych stugramowych kartek dla członków rodziny.

Mówię, całkowicie oziębiała ze strachu i zmęczenia:

- Szukajcie sami. My nie możemy.

I. D. nic nie powiedział, puścił moją rękę, schylił się, poszukał i znalazł zgubione kartki. Odprowadziliśmy potem staruszkę na Pietropawłowską ulicę i pobiegliśmy dalej.

### *25 listopada 1941 roku*

Wczoraj, podczas podwójnego ostrzału z ziemi i powietrza, Borys Jakowlewicz, lekarz naczelny szpitala, bronił w schronie swej rozprawy doktorskiej.

Doktorant przyszedł do schronu w watowanej kurtce prosto z kotłowni, gdzie już od szeregu dni usiłuje wspólnie z palaczem uruchomić pralnię, uszkodzoną przez pocisk.

W schronie nie było elektryczności. Rada naukowa zasiadała przy lampie naftowej.

Podczas obiadu wypiliśmy rozcieńzonego spirytusu za zdrowie nowego doktora nauk medycznych.

Staruszka modli się o przerwanie oblężenia:

„Boże, przebij drogę naszym żołnierzom!”

### *28 listopada 1941 roku*

Evakuacja mieszkańców Leningradu drogą powietrzną trwa w dalszym ciągu.

Odleciało wielu naszych pisarzy. Z instytutu - profesorowie Z. i K. To nie jest takie proste: dużą rolę odgrywa tu strach przed dniem jutrzejszym, przywiązanie do miasta (jakże je opuścić w takiej chwili!) i wiadomość, że jeśli człowieka wywożą, to jest on potrzebny ojczyźnie. I jak tu nie odlecieć, jeśli proponują?

Przyszłość Leningradu niepokoi mnie. Spalone składy Badajewskie - to nie żarty. Tłusty i ciężki dym - to były węglowodany i tłuszcze, niezbędne do życia. Białka, tzn. mięsa - również prawie nie oglądamy. Niedawno profesor Z. powiedział mi:

- Moja córka spędziła wczoraj cały dzień na strychu, szukała kota.

Chciałam się rozczulić z powodu tak wielkiej miłości do kotów, gdy Z. dodał:

- My jemy koty.

Kiedy indziej tenże Z., namiętny myśliwy, powiedział:

- Życie moje zakończy się w tym dniu, kiedy zabiję mego ostatniego cietrzewia. Zdaje mi się, że już go zabiłem.

W listopadzie dwukrotnie obniżono już rację chleba - dwa niechybne stopnie w dół.

### *30 listopada 1941 roku*

V Symfonia Beethovena w Filharmonii została odwołana z powodu silnego ostrzału artyleryjskiego.

### *1 grudnia 1941 roku*

Dzisiaj na ulicy Wulfowej ludzie widzieli, jak przewożono trupa na saneczkach, bez trumny, owiniętego białym całunem, pod którym wyraźnie uwydatniały się kolana. Pierś mocno skrępowana. Biblijny, egipski sposób.

Widać zarysy postaci ludzkiej, nie można jednak odróżnić, czy to mężczyzna, czy kobieta. To już „ciało”, które należy do ziemi.

### *6 grudnia 1941 roku*

Żanna pisze:

„Chłopczyk zrobił się teraz taki ładny, prawdziwe чудо. Zaraz po przyjeździe na nowe miejsce, gdy tylko trochę odetchniemy postaram się go sfotografować i przysłać Ci zdjęcie”.

### *7 grudnia 1941 roku*

V Symfonia Beethovena i uwertura Czajkowskiego „Rok 1812”. Filharmonia coraz bardziej ponura. Piekielny ziąb. Żyrandole ledwo się żarzą. Członkowie orkiestry - jedni w watowanych kurtkach, inni w kożuszkach. Skrzypkowie muszą mieć nieskrępowane i lekkie ręce - stąd watowane kurtki.

Wiolonczeliści i kontrabasiści mogą nosić kożuszki: ruchy ich rąk skierowane są ku dołowi. Grającym na bębnie jest najcieplej - rozgrzewają się uderzeniami. „Pierwsze skrzypce” były okropnie nie ogolone: zapewne nie można było zagrzać wody lub nie było światła.

Wczoraj radio podało ważną wiadomość: Anglia wypowiedziała wojnę Węgrom, Rumunii i Finlandii.

### *8 grudnia 1941 roku*

Japonia napadła na Amerykę bez wypowiedzenia wojny.

### *9 grudnia 1941 roku*

Oddychamy. Oddychamy nieco lżej. Odbiliśmy Tichwin. Może stąd nadzieje ocalenie Leningradu.

### *13 grudnia 1941 roku*

Pod Moskwą jest dobrze. Odpędzono Niemców, ale sytuacja Leningradu wciąż jeszcze groźna.

Pociski padały dziś na Kirowskim Prospekcie.

Zbliżając się do domu dostaliśmy się pod ostrzał. Pocisk wybuchł przed bramą, koło budki, w której mieści się biuro przepustek, akurat w chwili, gdy zatrzymaliśmy się przed drzwiami frontowymi i wychodziliśmy z samochodu.

Całą ulicę zasnuło jakimś kwaśnym, prochowym dymem. Uszkodzona została instalacja wodociągowa i kanalizacyjna. Zostaliśmy pozbawieni wody.

Koło budki przed bramą - duży oblodzony lej. Jezdnia pokryła się lodem, języki lodu ciągną się daleko.

### *14 grudnia 1941 roku*

Sukcesy wojenne pod Wołchowem.

## *21 grudnia 1941 roku*

Postanowiliśmy wczoraj odwiedzić Eugenię Osipownę R., żeby zobaczyć, czy żyje i czy mąż jej żyje również. To moi wielcy przyjaciele.

Eugenia ma katedrę pedagogiki w Instytucie im. Hercena. Obecnie pracuje w pobliskim szpitalu jako pielęgniarka. Praca jest ciężką. Eugenia zżółkła, oczy przygasty, siwizna włosów zlewa się z kolorem futra starej czapeczki.

Tramwaje kursują teraz nieregularnie, z przerwami. Wiele linii zostało uszkodzonych. Postanowiliśmy jednak przejechać choć kawałek drogi. Doszliśmy Wielkim Prospektem do Wwiedzińskiej i wsiedliśmy w 12-kę. Nie był to co prawda odpowiedni tramwaj, lecz mógł nas przewieźć przez most, a o to właśnie chodziło.

Zaledwie ruszyliśmy, rozpoczął się ostrzał. Pociski padały z prawej i z lewej strony. Nasza 12-ka jechała huczącą ulicą, jak po dnie wąwozu. Wszyscy pasażerowie milczeli.

Dojeżdżaliśmy do strefy ognia. Najstraszniejsze było to, że ludzie biegli po chodnikach właśnie stamtąd, dokąd zbliżaliśmy się z każdą chwilą. Motornicza powiedziała nagle:

- Dalej nie jadę. Boję się.

- Nie zatrzymujcie tramwaju! - zaczęli krzyczeć pasażerowie. - Jedźcie naprzód. Jakoś przeskoczmy.

Motornicza początkowo usłuchała i jak huragan przelecieliśmy jeden przystanek. Jednakże na drugim przystanku (akurat na Sitnym Rynku) pocisk upadł tak blisko, że motornicza rzuciła korbę. Wagon stanął.

Nie pamiętam już, w jaki sposób wyskoczyliśmy z tramwaju, przebiegli ulicę i wpadli do piekarni na rogu. W tej samej chwili, kiedyśmy przekraczali próg, pocisk trafił w nasz tramwaj.

Przesiedzieliśmy w schronie przylegającym do piekarni chyba z godzinę - już nie pamiętam. Jak to ze mną często bywa w chwilach niebezpieczeństwa lub bezpośrednio po nim - ogarnęła mnie okropna senność.

Schron był wilgotny, z góry kapłała woda. Ludzie wciąż zmieniali miejsca w poszukiwaniu suchego kąta. Płakało dziecko. Chciało mi się strasznie spać: oddałabym rok życia za poduszkę.

Kiedy się uciszyło, wyszliśmy na ulicę. Nasz rozwalony tramwaj wyglądał strasznie. Jakiś człowiek machnął ręką w stronę tramwaju i powiedział:

- Tam pełno trupów.

A więc wszyscy, którzy nie wysiedli, zginęli.

Po powrocie do domu dowiedzieliśmy się, że Niemcy specjalnie ostrzeliwali skoncentrowanym ogniem Sitny Rynek. Na rynku znajdowało się dużo ludzi - był to dzień świąteczny. Do naszego szpitala przywieziono 72 rannych.

## *22 grudnia 1941 roku*

W ciągu nocy z wczorajszych rannych zmarło dziesięciu.

## *25 grudnia 1941 roku*

Dziś rano, kiedy Eufrosinja Iwanowna przyniosła drzewo na opał, poznałam po jej twarzy, że wydarzyło się coś niezwykłego. Opowiedziała mi, że gdy poszła jeszcze po ciemku, „skoro świt”, do piekarni, spotkała na placu Lwa Tołstoja nieznanego człowieka, który idąc płakał, śmiał się i chwycił za głowę.

- Postoi trochę, postoi i dalej się wlecze, jakby nie wiedział, co z sobą robić. Pomyślałam sobie: albo podpity (ale jakim cudem zdobył wódkę?), albo na rozum mu się rzuciło.

Dopiero w piekarni Eufrosinja Iwanowna zrozumiała, o co chodzi: zwiększono rację chleba. Człowiek ten był jednym z pierwszych, którzy się o tym dowiedzieli. Radio nie działa z powodu braku prądu, gazeta zjawia się na ścianach domów dopiero na drugi lub trzeci dzień. Toteż o zwiększeniu racji chleba ludzie dowiadawali się bezpośrednio przy ladzie. Tak było z nieznanym. Tak było również z Eufrosinją Iwanowną.

Wszyscy chodzą rozpromienieni. Zewsząd rozlega się tylko jedno słowo:

- Zwiększyli!

Robotnicy otrzymują teraz 250-300 gramów. Urzędnicy - 250. My z I. D. będziemy mieli na dwoje 600 gramów dziennie.

## *26 grudnia 1941 roku*

Strach bierze człowieka, kiedy wyjdzie rano przez naszą tylną bramę i znajdzie się pod ścianą prosektorium, nad brzegiem Karpowki. To - trupiarnia całej dzielnicy, pod gołym niebem.

Co dzień przywożą tu na sankach osiem-dziesięć trupów i kładą na śniegu. Coraz mniej trumien: nie ma ich z czego robić.

Trupy - w prześcieradłach, obrusach, w zszytych z gałganków lub bajowych kocach, a czasami nawet w portierach. Pewnego razu widziałam niewielkie, widocznie bardzo lekkie zwłok dziecka, owinięte w papier do pakowania i przewiązane szpagatem.

Wszystko to złowieszczo pstrzy się na śniegu. Czasami widać jakąś sterczącą rękę lub nogę. W tych różnobarwnych szmatach kryją się jeszcze jakieś pozory życia, choć jednocześnie czuje się w nich bezwład śmierci. Wszystko to przypomina zarazem pobożowisko i dom noclegowy. Samo prosektorium przepełnione. Nie starcza ciężarówek do przewożenia trupów na cmentarze - nie tyle nawet ciężarówek, co benzyny. A przede wszystkim żywi mają za mało sił, żeby móc grzebać zmarłych.

Powstał problem rejestracji zmarłych. Postanowiono nie rejestrować w ZAGS-ie<sup>8</sup> każdego zmarłego osobno, jak dotychczas i w ogóle - uprościć formalności. Przedstawiciel ZAGS-u b urzędował na miejscu, w prosektorium i prowadził po prostu rejestr ilościowy. Przecież tyle jest trupów bezimiennych.

### *30 grudnia 1941 roku*

„Niedawno ktoś chciał wymienić 27 proszków kwasu askorbinowego (witamina „C”) na żywego psa do jedzenia. Marietta powiedziała poważnie:

- No cóż, jeśli duży pies - to warto.

### *1 stycznia 1942 roku*

Nowy Rok witaliśmy wczoraj dwukrotnie. Najpierw - o piątej po południu w Związku Pisarzy, gdzie odbył się wieczór literacki, a później kolacja na talony wycięte z naszych kartek żywnościowych.

Szliśmy do Związku wymarłymi, zlodowaciałymi ulicami, obok zajezdni tramwajowej, z której nie wyjeżdża żaden wóz, obok piekarni mechanicznej, która dostarcza nam tak mało chleba, obok przebitego na wylot odłamkami i tonącego w zaspie śnieżnej autobusu. Szliśmy wzdłuż wybrzeża, gdzie stoją dwa tragiczne, milczące okręty, których budowa nie została doprowadzona do końca. Przed nimi - lodowaty ogrom miasta, za nimi - pokryta lodem Newa.

Wieczór literacki Związku Pisarzy odbywał się w „czerwonym salonie”. Na kominku paliły się cienkie szczapki, a na stole - świeca. Było bardzo zimno.

Gdy przyszła kolej na mnie, usiadłam bliżej świecy i zaczęłam czytać z rękopisu pierwszy rozdział poematu (nie ustaliłam jeszcze ostatecznego tytułu). Po raz pierwszy czytałam go publicznie. W tym miejscu, gdzie przeklinam Niemców, zabrakło mi tchu. Trzykrotnie musiałam przerywać i zaczynać od początku.

Po „kolacji” wracaliśmy do domu tą samą drogą. Było niemal zupełne ciemno.

---

<sup>8</sup> ZAGS - Urząd Stanu Cywilnego (przyp. tłum.).

Wieczorem I. D. poszedł do piekarni. W drodze powrotnej złapał go alarm. Bomby znowu padały w okolicy. I. D. schował się z chlebem w jakiejś bramie, a ja w domu drżałam o niego.

O dwunastej zeszliśmy na dół, do gabinetu lekarza naczelnego ostatnią butelką skwaśniałego Rislingu. Naleliśmy do kieliszków i wypiliśmy w milczeniu. Zamierzaliśmy posiedzieć dłużej, lecz zadzwonił telefon. Lekarz dyżurny z izby przyjęć zawiadomił, że na korytarzach i w łazience leży czterdzieści trupów. Nie wie, co ma robić. Lekarz naczelny udał się do izby przyjęć, a my poszliśmy do siebie na górę i położyliśmy się spać.

## *2 stycznia 1942 roku*

W szpitalu umiera dużo ludzi, przeważnie w ambulatorium, na cmentarzu wykopano długie rowy, do których składa się trupy. Osobne groby grabarze kopią wyłącznie za chleb.

Na ulicach widzi się dużo trumien. Wożą je na saneczkach. Jeśli trumna jest pusta, kołysz się na wszystkie strony i często zjeżdża na chodnik. Pewnego razu taka trumna uderzyła mnie w nogę. Trumnę z nieboszczykiem wiozą zazwyczaj dwie kobiety. Sznury głęboko wpijają się im w ramiona, nie dlatego jednak, że nieboszczyk jest ciężki, lecz dlatego że kobiety są wycieńczone.

Niedawno widziałam, jak wieziono trupa bez trumny; na jego piersi, owiniętej całunem, leżały - widocznie dla przyzwoitości - wióry. Znać było w tym wszystkim rękę człowieka doświadczonego, a nie jakiegoś tam partacza. Najstraszniejsza była właśnie ta techniczna sprawność. Bardzo możliwe, że za to wszystko zapłacono chlebem.

Innym razem dwie pary saneczek zaczepiły się płozami. Na jednych sankach do wieka trumny były starannie przywiązane: łopata i łom. Na drugich - leżały wiązki drzewa. Było to spotkanie Życia i Śmierci.

Często na saneczkach wiozą również żywych. Koło Mostu Aniczковского - skąd dawno już wywieziono spiżowe konie Klodta, aby uratować je przed bombami i pociskami - dwie kobiety z wysiłkiem ciągnęły saneczki, na których siedziała trzecia z martwym dzieckiem, zawiniętym w kołderkę.

Widziałam również, jak wycieńczona młoda kobieta z trudem dawała sobie radę z saneczkami, na których leżała duża bieliźniarka w stylu „moderne” ze sklepu komisowego - przeznaczona na trumnę.

Pewnej niedzieli wyszliśmy z naszej bramy w kierunku placu Lwa Tołstoja. Na niewielkim odcinku widzieliśmy osiem dużych i małych trumien oraz kilka trupów w prześcieradłach. Spotkaliśmy także dwie kobiety, które prowadziły trzecią na poród do naszego szpitala. Położnica o żółtej twarzy z nabiegłymi krwią szkorbutowymi woreczkami pod oczyma, z wypiętym brzuchem, szła, ledwie powłócząc nogami. Chuda była jak szkielet.

Innym znów razem dwie kobiety - z wyglądu nauczycielki, bibliotekarki lub coś w tym rodzaju - wiozły na saneczkach starszego mężczyznę w palcie, futrzanej czapce i w okularach. Mężczyzna leżał w



niewygodnej pozycji, bokiem na krótkich saneczkach, podpierając się jedną ręką. Nogi wlokły się po ziemi. Na każdym wyboju jęczał:

- Ostrożniej! Nie możecie ostrożniej!

Obie kobiety mimo czterdziestostopniowego mrozu były zlane potem.

Dwie inne znowu kobiety prowadzą pod rękę „dystrofika” (dopiero w Leningradzie poznaliśmy to słowo), który stawia obute w walonki nogi sztywno, jak protezy. Oczy wychodzą mu z orbit, jak u epileptyka. Skóra na twarzy - napięta. Usta na wpół otwarte, tak że widać zęby, które z głodu jak gdyby się wydłużyły. Nos zaostriął się, stał jak gdyby, pokrył się całą rankami, a koniuszek zagiął się nieco na bok. Wiem już, co znaczy wyrażenie „trawiony głodem”.

Na ulicach widuje się albo twarze błyszczące, o nienaturalnie napiętej skórze (to obrzęki), albo zielonkawe i guzowate. Pod skórą nie ma ani odrobiny tłuszczu. Mróz ogryza te wyschnięte szkielety. Piszę te słowa i słyszę, jak koło mych nóg, w koszu na papiery, do którego wrzucaliśmy przedtem okruchy chleba, szpera oszalała z głodu mysz - nazywamy ją „księżna Myszowska”. Jest zbyt osłabiona, by się cieszyć, że wszystkie koty zostały zjedzone...

Nie mogę znieść ostrego zapachu odwaru sosnowego, którym przesycone jest powietrze na ulicach. Zapach ten oznacza, że albo niedawno przewieziono ciężarówką trupy oblane tym płynem, albo przejechała pusta ciężarówka (przeważnie gazogenerator), która niedawno woziła trupy. W mroźnym powietrzu ciągle wisi ten zabójczy odór.

## *Wieczorem*

Dziś rano, gdy schodziliśmy na dół na śniadanie do naszej lodowatej stołówki, spotkaliśmy sanitariuszy niosących człowieka. Był to znajomy Borysa Jakowlewicza, zdaje się, również lekarz. Przyszedł prosić, żeby jego zagłodzoną żonę przyjęto do szpitala. Prosząc o to, stracił z głodu przytomność. Jego to właśnie niesiono do ambulatorium.

Wczoraj wieczorem, w kącie za drzwiami, pod szafką do kluczy gdzie zwykle siedzi dyżurna, zobaczyliśmy na krześle nieznanego człowieka. Siedział z pochyloną głową i opuszczonymi, zmartwiałymi rękami. Wszystkie jego mięśnie rozluźniły się. Jeden kalosz poniewierał się obok krzesła.

B. J. dotknął jego skroni w miejscu, gdzie wyczuwa się puls i powiedział:

- Są jeszcze słabe oznaki życia.

Po wielokrotnym dzwonieniu przyszli opadający z sił sanitariusze i zanieśli go do ambulatorium. Czy żyje jeszcze - nie wiadomo.

Był to robotnik z pobliskiej fabryki, który dostał skierowanie do szpitala. Wszedł do głównego gmachu wejściem frontowym, którego teraz prawie wcale nie pilnują, dowlóknął się do krzesła. Po chwili

rozpoczęła się już agonía. Umierał cicho, jak umierają teraz tysiące „dystrofików”. Pogrążył się w lodowatej otchłani.

### *3 stycznia 1942 roku*

#### *Wieczorem*

Człowiek, którego widzieliśmy wczoraj na noszach na korytarzu, nie był lekarzem, lecz fizykiem. Umarł w izbie przyjęć po upływie pół godziny. Człowiek, który siedział w kącie pod kluczami, zmarł również.

Nasze sprawy na froncie pod Moskwą stoją znakomicie. Leningrad goni ostatkiem sił. To krańcowe napięcie daje się wyczuć wszędzie. Tramwajów nie ma. Wycieńczeni ludzie robią dziennie po kilka, a niekiedy po kilkanaście kilometrów. Tracą na to ostatnie kalorie.

W wielu dzielnicach (w naszej również) aparaty radiowe stoją i nieczynne; oszczędza się prądu. Woda - tylko na niższych piętrach albo w ogóle jej nie ma. Co będzie na wiosnę, kiedy stopnieje śnieg?

Dzisiaj powinni byli przywieźć do miasta cysterny z benzyną. Nie przywieźli jednak, ponieważ nie było węgla do lokomotywy. Opowiadają (jest to zresztą prawdą), że na wszystkich stacjach: - w Tichwinie, w Wołchowie, w Murmańsku, zwłaszcza w Murmańsku - stoją transporty żywności. Mówią o tym z zachwytem, z pożądlivością i z rozczuleniem. Niektórzy milczą - brak im sił.

Utrzymują, że transporty zawierają dosłownie wszystko, do bananów włącznie. O bananach słyszałam po raz pierwszy w naszej stołówce, której ściany pokryte są grubą warstwą szronu i w której zawsze panuje temperatura poniżej zera. Banany?!

Milicjantów przynoszą do ambulatorium wprost z posterunku. Umierają, zanim się jeszcze zdążą rozgrzać. Pewnego razu łączniczka-studentka podniosła na ulicy milicjanta, który zemdlął z głodu i któremu ukradziono kartki na chleb. Dziewczyna ta dowlokła milicjanta na plecach do piekarni i kupiła mu chleba na jutrzejszy numerek swojej kartki A co pocnie sama nazajutrz?

Ludzie zaczęli niedbale zaciemniać okna. Może dlatego, że dawno już nie było nalotów, a może sił już zabrakło. Zastony są spuszczone byle jak. Przecież prawie nigdzie nie ma elektryczności. Mróz pokrywa okna lodowymi tarczami. Zresztą niesamowicie zielony, okrutny księżyc i tak zaćmiewa swym blaskiem nasze kaganki.

Ludzie cieszyli się tego dnia, kiedy norma chleba została podniesiona o 75 gramów; było to jednak dawno. Teraz o tym zapomniano. Człowiek, który ze szczęścia płakał i śmiał się na ulicy, prawdopodobnie umarł już dawno. Sama Eufrosinja ledwo żyje. Mąż jej, były kucharz, umiera. Prześladują go w malignie wizje przygotowywanych niegdyś dań; pommes saufflées, boeuf Strogonoff, sosy - ich wygląd, aromat, skwierczenie masła na patelni. Mówi o tym głośno, ku udręce własnej i otoczenia. Eufrosinja i płacze i narzeka:

- Zadręczył nas całkiem.

Co będzie, jeśli w najbliższym czasie nie dowiozą żywności? A zima jeszcze długa, straszna.

Noce są teraz niewypowiedzianie ciche. Nie słychać gwizdu pociągów ani zgrzytu tramwajów, ani szczekania psów, ani miauczenia kotów. Nie gra radio; miasto zasypia w ciemnych, lodowatych mieszkaniach. Wielu zasypia snem wiecznym.

Bardzo dawno nie miałam już listu od naszych z Czystopola. W jaki sposób mogą się do nas przedostać listy?

#### *4 stycznia 1942 roku*

Wczoraj w nocy wybuchł pożar w bursie studenckiej: nieszczęśliwe miejsce - już dwukrotnie zostało zbombardowane.

Początkowo przypuszczano, że pożar powstał z powodu wadliwie zainstalowanego piecyka. Później jednak wyjaśniło się, że od zapałki, którą ktoś rzucił na kupę śmieci w kącie.. Niechcący czy umyślnie... ktoś może wiedzieć? Możliwe, że to drugie, ponieważ w rozgardiaszu zaczęły ginąć rzeczy.

Jeden ze strażników spisał się wyjątkowo dobrze, w dymie bez maski: nie było tlenu. Postanowiono dać mu nagrodę, a on, dowiedziawszy się, że gasił budynek, który ma coś wspólnego z medycyną, powiedział:

- Dajcie mi chociaż ze sto gramów tranu dla żony. Żadnej innej nagrody nie chcę.

Strażak otrzymał ów drogocenny tłuszcz, najlepszą z witamin.

Nasza mysz (inaczej - „księżna Myszowska”) ucichła, zapewne na zawsze. Szkoda. Ruszało się przynajmniej coś żywego. Teraz i tego nie ma.

Wydaje mi się, że jeśli w ciągu dziesięciu dni blokada nie zostanie przerwana, miasto nie wytrzyma. Wojna niczego nie oszczędziła Leningradowi. Oby taki sam los spotkał Niemców na froncie leningradzkim.

ZSRR nazywają obecnie wybawicielem ludzkości: to prawda.

Napawa mnie dumą to, że posiadam „purpurową książeczkę”<sup>9</sup>, która jest teraz oliwkowa i skromna, ale mimo to promieniuje.

O, gdyby wiadano, jak cierpi Leningrad.

A zima jeszcze długa. Mrozy trzaskają. Dzisiaj jest trochę cieplej, ale za to wieje silny wiatr, za miastem na pewno zamieć.

---

<sup>9</sup> Aluzja do znanego wiersza Majakowskiego o radzieckim paszporcie. Radzieckie paszporty zagraniczne mają czerwoną okładkę, paszporty krajowe oliwkową (przyp. tłum.).

Nie można bez wzruszenia patrzeć, jak to głodne, ciemne, marznące miasto cieszy się z mrozów, które są zabójcze dla Niemców na naszym froncie.

Blokadę Leningradu nazywają zazwyczaj „pierścieniem ogniowym”. Nie, to raczej pierścień lodowy.

- Dobrze im tak! - powtarzają zsiniałymi wargami ludzie stojący podczas ostrzału w bramach.

Zaczęłam drugi rozdział poematu. Spróbuję opisać w nim jedną z leningradzkich nocy.

### *5 stycznia 1942 roku*

Ostrzał artyleryjski naszego rejonu, a nawet terenu szpitalnego. Pociski wybuchały tak blisko, że kazano nam wszystkim opuścić frontowe pokoje w głównym budynku.

Niedawno śniło mi się, że ja i jeszcze jacyś ludzie, niewidoczni w ciemnościach, stoimy w bramie, oczekując, aż skończy się ostrzał. Przelatują puste w środku, świecące kule. Ktoś krzyczy: „Strzeżcie się odprysków. To bąki iperytowe!” Obudziłam się ze ściśniętym sercem.

Opowiadają, że odbiliśmy Mgę. Któż jednak mógł to słyszeć? Przecież radio nie działa teraz niemal u nikogo,

### *6 stycznia 1942 roku*

Byłam dziś po raz pierwszy w izbie przyjęć.

Przeszłam najpierw przez dwie łazienki, w których stały wanny z czystą wodą. Nikt jednak w nich się nie kąpał.

W pierwszej łazience na podłodze leżał na szpitalnych noszach trup mężczyzny. Nawet szkielet nie może być bardziej chudy. Na noszach leżało coś takiego, co chyba nigdy nie było ciałem, nie miało mięśni i krwi. W głębokim dołku pod żebrami leżała, jak w filizance, karteczka: imię i nazwisko zmarłego. Nie przeczytałam jej.

Nieboszczyk miał oczy otwarte, twarz pokrytą owym charakterystycznym „trupim zarostem”, z którym nie może się uporać żadna brzytwa. Nos sterczał przeraźliwie.

W następnym pokoju stało kilka par noszy, ustawionych w rząd: były to trupy kobiet i mężczyzn. Jednakowa u wszystkich, nieludzka chudość pozbawiła ich wieku, a nawet płci.

Uderzyło mnie, że na nodze pierwszego trupa, poniżej kolana, widać było ślady krwi.

Prawdopodobnie upadł albo czymś go potrącono. Pomyślałam sobie:

„Jak to? A więc w tym ciele była jednak krew? Było życie?”

We wszystkich pozostałych pokojach i na korytarzach - na ławkach, noszach lub po prostu na podłodze siedzą lub leżą takie same właściwie trupy - tylko w ubraniach. Jedynie oczy żyją w ich twarzach. Siedzą tak od wielu godzin. Wśród nich chodzą dwie kobiety-lekarki, które same wyglądają jak trupy.

Tutaj nikogo się nie leczy, tylko karmi. Wszyscy cierpią na to samo - na głód. Na jednej ławce leży robotnik. Żyje. Ledwie porusza językiem i powtarza wciąż to samo zdanie:

- Siedemnaście lat... siedemnaście lat przy pracy...

Na drugiej ławce - stara kobieta. Może nawet nie stara - pół trup. Tylko oczy żyją. Wargi liliowe. Leży na boku. Koło niej jakiś kij czy kostur i pusta torba: pewnie prosto z „ogonka”.

Wśród tych okropności spotyka się także oszustów i symulantów, również głodnych, lecz nie śmiertelnie. Dla talerza zupy wloką się na piechotę przez całe miasto i odbierają kąsek lub łyk pokarmu tym... z łazienki.

Czy starczy sił na przetrwanie blokady? Ilu pozostanie przy życiu, by cieszyć się z tego, że żyją?

## *7 stycznia 1942 roku*

Wczoraj przestały działać telefony miejskie w całym naszym skrzydle - nie wiem, jak jest w innych budynkach. Prawdopodobnie - wszędzie. Na pierwszy ogień poszły mieszkania prywatne, a teraz przyszła kolej na urzędy. A jednak miasto trzyma się: musi się trzymać.

Byłam na odczycie profesora Tuszyńskiego o chorobie „głodowej” - taka jest jej prawdziwa nazwa.

Ciało składa się z tłuszczu i mięśni. Tłuszcz, podkład tłuszczowy - to nasze futro. Mięśnie - fabryka ciepła. Kiedy znika „futro” i przestaje pracować „fabryka”, następuje śmierć. Zjadamy wówczas nasze mięśnie, naszą „żelazną porcję”. Spadek wagi odbywa się skokami. Temperatura jest równomierna, obniżona w ciągu całego dnia.

Wątroba - to skład żywnościowy. Wątroba normalnego człowieka waży 1500 gramów. Wątroba głodującego - 700 g.

Zewnętrznymi objawami choroby głodowej są obrzęki lub całkowite wyschnięcie. U chorego, który puchnie, następuje rozrzedzenie krwi. Puchnie nawet krew.

Skóra jest sucha, pozbawiona potu i wydzielin gruczołów łojowych. Apatia. Charakterystyczny wyraz twarzy.

Cudownie przywraca siły glukoza w postaci zastrzyków dożylnych lub po prostu, jeśli się ją przełknie. Nie na próżno artyści baletu po wyczerpującym numerze solowym zjadają 50 gramów glukozy.

Zauważono, że głodujący gwałtownie odczuwają potrzebę węglowodanów, tzn. chleba. Już akademik Pawłow powiedział kiedyś: „Nasz organizm jest mądry. Domaga się tego, czego potrzebuje”.

Dowiedziałam się wielu ciekawych rzeczy, między innymi, dlaczego nie ma w Leningradzie epidemii tyfusu plamistego. Okazuje się, że... dzięki blokadzie. Do miasta nie przedostają się nowe wirusy, a stare są już osłabione, „na wymarciu”. W ten sposób blokada, która zabija miasto, broni je przed epidemią.

Mówią, że oddziały generała Mierieckowa będą mimo wszystko dziesiątego stycznia w Leningradzie. Niechby już nie dziesiątego, lecz piętnastego, dwudziestego, a nawet w końcu stycznia, byle tylko przyszły. Nic bardziej wstrząsającego niż to spotkanie miasta i armii nie było i nie będzie w historii.

Najgorsze jest to, że nie ma radia ani gazet. Ostatnio - nawet telefonów. Nikt nic nie wie. Nasi nie dają o sobie znaku życia. Widocznie znowu zostały zniszczone przewody telegraficzne. Czy żyją jeszcze? Czy są zdrowi? Czy otrzymali ode mnie pieniądze?

27 stycznia Miszeńska kończy roczek. Żeby chociaż w tym dniu (jeśli nie wcześniej) została przerwana blokada!

## *Wieczór Za kwadrans siódma*

Ostrzał. Początkowo wydawało się, że ktoś rzuca na podłogę kawałki drzewa i to bardzo szybko - polano za polanem. Potem pomyślałam: „Skądby się wzięło tyle drzewa?” I od razu zrozumiałam - ostrzał.

## *8 stycznia 1942 roku Okolo jedenastej rano*

Wczoraj był ciężki dzień. Przed południem zgasło światło. Prądu nie było do dzisiejszego ranka. Jedliśmy dopiero nad ranem (namiastka kawy i namiastka mleka, ale jakie smaczne!). Zjadłam trochę kaszy jaglanej, lecz... (pocisk gdzieś blisko) I....schodzę na dół. Silny ostrzał artyleryjski.

Wpół do dwunastej. Wróciłam. Ostrzał się skończył. Był krótki, ale za to huraganowy, jak wtedy w tramwaju, na Sitnym Rynku...

Mój reportaż poszedł do Kujbyszewa, do Sowinformbiura<sup>10</sup>, a stamtąd do Ameryki. Dziś upłynął ostatni termin wysłania reportażu, za który otrzymałam od Afinogenowa<sup>11</sup> zaliczkę. Jeśli otrzymam teraz potwierdzenie, że reportaż doszedł i nadaje się do druku, będę pisać regularnie trzy razy na miesiąc.

---

<sup>10</sup> Sowinformbiuro – Radzieckie Biuro Informacyjne (przyp. tłum.).

<sup>11</sup> Aleksander Afinogenow – dramaturg radziecki (przyp. tłum.).

Do wysłania reportażu zaczęłam się przygotowywać przed paroma dniami. Przede wszystkim przepisałam go tak, jak tego wymagają na pocztce: „Przesyłam pierwszy reportaż pod tytułem cudzysłów tak żyjemy cudzysłów stop akapit istnieją dwa leningradzkie fronty dwukropek wojskowy i cywilny stop pierwszy myślNIK na przedpolach miasta gdzie walczy nasza Armia Czerwona stop drugi myślNIK to samo miasto stop”. I tak dalej.

Wczoraj znów zacerowałam I. D. wełniane skarpetki i rękawice. Wyprałam szalik, żeby zrobił się bardziej puszysty i ciepły: mróz trzyma. Zostawiłam chleb dla I. D. na drogę: miał przed sobą długą pieszą wędrownkę przez całe miasto, do głównego urzędu pocztowego. Tylko tam przyjmują korespondencje telegraficzne- i to, kiedy jest elektryczność. Dałam mu na wszelki wypadek świecę dla telegrafistki.

I. D. wstał o świcie, wyszedł i powrócił dopiero teraz. Największą przykrość sprawia mi to, że nie ma prądu i wieczorami nie można pracować. Wieczór zaczyna się teraz o czwartej, a nawet i we dnie jest ciemnawo, chociaż dni są mroźne i pogodne. Dziś także.

Wczoraj wieczorem, w przewidywaniu dzisiejszej „wyprawy telegraficznej”, przy świetle „nietoperza”<sup>12</sup> (resztki nafty) urządziliśmy z mojej inicjatywy luksusową kolację: połówka małej surowej cebuli (drugą połowę zjemy dzisiaj) drobno posiekana, obficie posolona i polana olejem słonecznikowym. Posmarowałam tym chleb; wypadło po trzy kanapki dla każdego. Okruchy zsyпалиśmy na talerz. Gdy nasiąknęły resztkami oleju, podzieliliśmy je po połowie. Oprócz tego wypiliśmy resztki wina: portwejn „Ararat”, najlepszy gatunek. Potem położyliśmy się spać, niebywale szczęśliwi. W ciemnościach zjawiła się natychmiast „księżna Myszkowska” (okazuje się, że jeszcze żyje), biegła po stole i wydziobywała jak ptaszek okruchy. Później wpadła z piskiem do pustego - oczywiście, że do pustego - dzbanka od mleka. Zapaliliśmy zapałkę, a „księżna” ostatkiem sił wygramoliła się z dzbanka (ile ją to musiało kosztować) i uciekła.

Światła nie będzie. Prąd będą dawać przez trzy-cztery godziny w ciągu doby, o najrozmaitszej porze; możliwe, że w nocy.

## *9 stycznia 1942 roku*

### *Okolo 2 po południu*

Silny ostrzał artyleryjski. Do I. D., który siedzi za ścianą w drugim pokoju, przyszli studenci i zdają kolokwia. Jestem spokojna...

Żanno, dziewczynko moja! - Staram się nie myśleć o niej, ale nie potrafię. Listy jej są dla mnie straszniejsze od najstraszniejszego ostrzału. Jakże się miota na wszystkie strony, biedactwo! Oddała dziecko do żłobka, myślała, że tak będzie lepiej. Teraz chce je odebrać, ponieważ dostało tam wietrznej ospy. Żanna zapewnia, co prawda, że w lekkiej formie, ale to przecież takie maleństwo.

Żanna pisze:

---

<sup>12</sup> „Nietoperz” – rodzaj lampki naftowej (przyp. tłum.).

„Twarzyczkę ma bardzo ładną, widać, że jest już duży, że niedługo skończy roczek, ale ciało ma chudziutkie i ząbki jeszcze się nie wyrzynają - wprost serce się kraje. Wszystkie koszulki i kaftaniki z niemowlęcej wyprawki są jeszcze na niego dobre. Zrobiły się tylko za krótkie, ale na szerokość - w sam raz...”

Czytam i myślę:

„Leżał sobie w kapturku... Dlaczego się zgodziłam, żeby go zabrali ze sobą? Cóż jednak mogłam poradzić?”

I. D. pociesza mnie. I zaczyna mi się wydawać, że gdy tylko minie zima, od razu będzie lepiej.

Wszyscy zauważyli, że I. D. bardzo schudł. Oddaję mu w miarę możliwości swoje porcje - mniej mi przecież potrzeba. Nie wystarcza mu to jednak, rzecz prosta.

Ukazała się nota Mołotowa do naszych sojuszników o okrucieństwach niemieckich na terenach okupowanych. Nie czytałam jej jeszcze, a radio nie działa. Przed chwilą wydało jakiś dźwięk: okazało się, że to była próba miejscowego radiowęzła.

Ostrzał zakończył się.

### *13 stycznia 1942 roku*

Zmierzch. Nie ma światła. Muszę jednak natychmiast zapisać to, co słyszałam na własne uszy: gwizd parowozu. Słaby, lecz dźwięczny i wyraźny. Pierwszy gwizd od początku blokady.

Wybiegliśmy wszyscy na podwórze, chcąc się przekonać, czy to prawda. Cisza. Mróz. Dokoła śnieg. Stoimy i nasłuchujemy. Obok mnie doktor Pożarska. Przypomina mi moją zmarłą matkę - nie tyle nawet z rysów twarzy, co z sylwetki. Przysłuchiwałyśmy się razem, a potem spojrzaliśmy na siebie. Tak, to był gwizd jadącego parowozu.

### *14 stycznia 1942 roku*

#### *4 po południu*

Trzaskający mróz. Siedzę w palcie i rękawicach. Czytam Timiriaziewa. Znałam to nazwisko, szanowałam, czciałam: światowej sławy uczonego, wspaniałego popularyzator. W gruncie rzeczy jednak nie miałam pojęcia, kim jest. Jeśli mam być szczerą, był on dla mnie tylko nieudanym, moim zdaniem, pomnikiem koło Nikitskiej Bramy: szczupła czarna postać, ociosana z boków, w długim płaszczu. Ręce złożone grzecznie, jak u ucznia na egzaminie.



Pomnik ten został jeszcze przed moim odjazdem zwalony podmuchem podczas jednego z pierwszych nalotów na Moskwę. Jednakże po kilku dniach Timiriaziew, jak gdyby nigdy nic, stał znów na starym miejscu ze złożonymi rękami. Odbudowano go nadzwyczaj szybko.

Przeczytałam książkę Timiriaziewa o chlorofilu, zielonej substancji roślin.

„Życie rośliny - pisze Timiriaziew - to stała przemiana energii promienia słonecznego w napięcie chemiczne; życie zwierzęcia polega na przemianie napięcia chemicznego w ciepło i ruch”. Timiriaziew mówi dalej, że na słońcu jak gdyby „zostaje nakręcona sprężyna”, która rozkręca się na ziemi. Ta rozkręcająca się sprężyna jest właśnie życiem.

„Ziarenko chlorofilu - to ogniwo, które łączy wspaniały wybuch energii na naszym centralnym ciele niebieskim z wszystkimi niezwykle różnorodnymi przejawami życia na zamieszkałej przez nas planecie”.

Timiriaziew cytuje Boltzmana i Newtona. Newton pisał: „Natura widocznie lubi przemiany”. I dalej: „Dlaczegożby więc natura, wśród tak wielorakich i dziwnych przemian, nie miała przekształcać ciała w światło i światła w ciało”.

Newton zaledwie domyślał się tego, o czym wiedział już Timiriaziew.

Boltzman pisał: „Rośliny wystawiają na działanie słonecznych promieni niezmiernie wielką powierzchnię liści i zmuszają energię słoneczną, zanim jej temperatura zrówna się z temperaturą ziemi, do wywoływania nie zbadanych jeszcze dokładnie syntez chemicznych, które nie są na razie znane w naszych laboratoriach”.

„Niezmiernie wielka powierzchnia liści...” Kiedy czytam te słowa, zdaje mi się, że widzę kołyszący się ocean zielonego listowia i cząstki światła, lecące ku nam poprzez lodowate przestrzenie wszechświata.

*25 stycznia 1942 roku*

*9,15 wieczorem*

Wczoraj w nocy paliło się prosektorium. Przywieźli tam na wpół zwęglone trupy z fabryki, w której wybuchł pożar (pożary są teraz prawdziwą plagą). Trupy były w watowanych kurtkach, które tliły się jeszcze, ale nikt tego nie zauważył.

Ogień, ukryty w wacie, przedostawał się stopniowo na zewnątrz i w końcu ogarnął stare, drewniane skrzynie, przeznaczone na trumny. Dym napełnił cały budynek.

Przybiegł nasz komendant straży pożarnej i zaczął rękami odciągać trupy.

Nie było wody. Ogień gaszono śniegiem. Mimo to udało się uratować prosektorium.

Gdy stłumiono ten pożar, wybuchł od razu nowy, na drugim brzegu Karpowki, wzdłuż sztachet Ogrodu Botanicznego, gdzie stała kolumna wojskowych samochodów ciężarowych.

Od nieostrożnie rozpalonego ogniska zajął się samochód-cysterna z benzyną. Najpierw jeden, potem drugi. W trzecim samochodzie zapalił się motor. Z narażeniem życia odczepiono od niego cysternę. Z drugim samochodem żołnierze nie mogli sobie poradzić i zepchnęli go do Karpowki. Spadł przebijając łód, a słup ognia, który trysnął przy upadku, wzniósł się ponad czterdziestometrowy komin naszej kotłowni. Siła ognia - olbrzymia. W naszym pokoju można było czytać...

Byłam bardzo zajęta w ostatnich czasach. Dni są takie krótkie, a światła nie ma. Chociaż nie mogę powiedzieć, że prowadzę dom, to jednak co dzień trzeba coś uszyć czy zacerować. Mania porządku drogo mnie kosztuje. Z drugiej strony, teraz właśnie należy dbać o czystość.

Mimo to udało mi się wiele dokonać: wczoraj napisałam 7 strof.  $7 \times 6 = 42$ . Jak na mnie, to dużo. Dlatego nie od razu napisałam o A.

A. - nasz znajomy z Moskwy. Pisze teraz (o ile zrozumiałam) „traktat filozoficzny” - „Duch Wojny”. W związku z tym postanowił, że musi obejrzeć Leningrad. Poza tym, ma tu krewnych żony, którzy, rzecz prosta, głodują.

Nie wiem, która z tych przyczyn jest ważniejsza, lecz jakkolwiek by było, A. dokonał rzeczy prawie niemożliwej: przyleciał samolotem wojskowym, wiozącym order i banknoty.

A. otrzymał od Kietlińskiej mój adres i zjawił się u mnie wieczorem. Zadzwoniono do mnie przez telefon wewnętrzny z gabinetu Borysa Jakowlewicza, że chce się ze mną zobaczyć „pisarz z Moskwy”.

Pisarz z Moskwy? O, Boże! Otuliwszy się chustką, zbiegłam na dół, w lodowate ciemności.

W świetle kaganka ujrzałam A. Twarz jego była mi znana. Jednakże, jak to mi się często zdarza, nie pamiętałam jego nazwiska. Mimo to, jakże drogi był mi ów prawie nieznanomy człowiek- Był to człowiek stamtąd. Ucisnęłam go. Nie posiadałam się z radości. Posadziłam go na kanapie.

- Proszę mówić, proszę mi wszystko opowiedzieć - powtarzałam bez przerwy. A. patrzył na mnie z tkliwym współczuciem. Zmieniałam się na pewno.

Podczas rozmowy A. wspomniał, jak gdybym już o tym wiedziała, o śmierci Afinogenowa w Moskwie.

- To niemożliwe! - krzyknęłam przypominając sobie oczy Afinogenowa, wesoły i figlarny dołeczek na policzku. Tak lekko szedł przez życie, wszystko mu się udawało. - Zginął... Nieprawda! To niemożliwe!

- W tej samej chwili jednak pochyliłam głowę.

- Nie, to prawda. To na pewno prawda.

A. przyszedł do mnie następnego dnia. Obeszliśmy we dwójkę podwórze szpitalne. Przyglądał się naszym budynkom, oblodzonym drzewom i twarzom ludzi. Nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Był oszołomiony.

Teraz odleciał już do Moskwy.

## *17 stycznia 1942 roku*

Pół godziny temu był krótki, lecz bardzo silny ostrzał artyleryjski. Kiedy skończył się wreszcie, I. D. poszedł na pocztę główną wysłać pieniądze swojej rodzinie i Żannie. Dzielnicowe urzędy pocztowe są nieczynne: brak światła, a o ogrzewaniu nie ma co mówić. W pewnym urzędzie, gdzie podobno były świece, nikt nie stawiał się do pracy - urzędnicy zachorowali lub zmarli. Z powodu braku światła zamknięty jest również bank. Jeśli chodzi o mnie, nie mogę z tej racji otrzymać honorariów z radia. Mówią, że będą płacić w trzeciej dekadzie stycznia.

Dobre nowiny z frontu. W radio powiedziano mi, że Fieduninowski rozpoczął generalną ofensywę. Mówiono także, że w rejonie jeziora Ilmen toczą się walki, które, jak piszą sami Niemcy, przewyższają swoimi rozmiarami walki pod Moskwą. Ale próby ogniowe, których doświadcza teraz Leningrad, są może najcięższe ze wszystkich, jakie były dotychczas.

Na domiar złego - mrozy.

Lola P., którą umieściliśmy jako siostrę-intendentkę w szpitalu wojskowym, zachorowała na zapalenie płuc i leży obecnie u nas. Odwiedzam ją.

## *20 stycznia 1942 roku*

### *Ranek*

Jestem do tego stopnia zajęta swoim poematem i gospodarstwem, że po prostu nie starcza mi czasu na codzienne pisanie pamiętnika, jakbym tego chciała.

W ciągu ostatnich dni poprawiłam i przebudowałam pierwszy rozdział. Miejsca, o których sądziłam, że są mocne, wypadło przestawić, ponieważ nowe strofy przytłaczają je zupełnie. Ustęp o humanizmie napisałam na nowo. Nigdy jeszcze nie pracowałam z taką namiętnością. Nawet w nocy piszę, leżąc w łóżku, i nie mogę przerwać. Umieram ze zmęczenia, lecz mimo to nie przestaję rozmyślać i wszystko wydaje się takie ważne.

Cokolwiek zobaczę, dla wszystkiego znajduję miejsce, jak w przygotowanym gnieździe. To pierwsza oznaka, że świadomość jest całkowicie zaabsorbowana pracą i wszystko sobie przyswaja.

W niedzielę - znów pod ostrzałem - poszliśmy na Piesoczną. Mieszkanie wygląda okropnie. Chaos lodowy. Temperatura - minus 5.

Marfusza - pracownica Loli (kartka żywnościowa dla nie pracujących) - zmarła trzynastego.

W jadalnym pokoju - brudne łóżka, śmiecie, puste butelki po oleju, kaganek, siekiera, drzazgi. Na ścianach, pokrytych kopciem, wiszą, jak dawniej, talerze: porcelana i fajans.

W trzecim pokoju, gdzie podczas niedawnego bombardowania wypadły szyby, poniewierają się zmiętoszone, lodowate i brudne prześcieradła. Woda, nalana do wanny, zamarzała.

Bursę studencką przeniesiono na niższe piętro. Tam cieplej.

Dina Osipowna i Inna wychodzą w nocy na klatkę schodową i siedzą tam, tuląc się do ciepłych kaloryferów. Ogarnia je wtedy, jak powiadają, „radosny nastrój” i marzą o przyszłości.

Od Żanny dawno już nie mam wiadomości. Ostatni list, wysłany jeszcze w listopadzie, był niepokojący. Chłopczyk śmiertelnie zachorował. Żanna pisała:

„Nie rozbieraliśmy się z Jurą wcale i po kolei dawaliśmy Miszy tlen. Misza, jak ptaszek, otwierał buzię, kiedy podawaliśmy mu rurkę. W ogóle przez cały czas był wielkim zuchem (jeśli można tak powiedzieć o dziesięciomiesięcznym maleństwie), znosił cierpliwie bańki i plastry z gorczycy, brał lekarstwa”.

Pocieszam się tylko tym, że później wysłany został drugi list, donoszący, że Misza czuje się lepiej.

Dzisiaj mamy 28 stopni mrozu.

## *20 stycznia 1942 roku*

### *Wieczorem*

„Południk” znakomicie posuwa się naprzód. Nawet w nocy nie daje mi spokoju: żąda, bym go pisała. Żeby tylko starczyło zdrowia i sił!...

## *21 stycznia 1942 roku*

Ważna nowina: dają więcej chleba. Robotnikom o 50 gramów, urzędnikom - o 100.

Duże sukcesy na kalinińskim froncie: zdobyliśmy Chołm. Mrozy bezlitosne - prawie 35 stopni.

## *25 stycznia 1942 roku*

Wczoraj, jak się okazało, było 40 stopni, a i dzisiaj, zdaje się, mróz nie zelżał. Pojutrze Miszeńka kończy rok. Jego pierwsza grzechotka (celuloidowy bębenek z kuleczką w środku) wisi na wstążeczce u mego wezglowia.

Czytałam wczoraj chorym w naszej klinice ocznej.

## *Siódma wieczór*

Katastrofalna sytuacja. Przed chwilą tłum rzucił się na drewniany płot szpitalny i rozebrał go na opał.

Nie ma wody. A jeśli jutro przestanie pracować piekarnia mechaniczna, choćby na jeden dzień - co wówczas? Nie było dziś zupy - tylko kasza. Rano dali nam kawę, ale żadnych płynów już więcej nie będzie.

Cały nasz zapas wody to pół czajnika (trzymamy go w gorącym piasku), pół dzbanka - do mycia i czwarta część karafki - na jutro. To wszystko.

## *26 stycznia 1942 roku*

Po raz pierwszy zapłakałam ze złości i żalu: przewróciłam niechący do piecyka rondel z kaszą. Mimo to I. D. przełknął kilka łyżek kaszy z popiołem.

Chleba nie ma dotychczas. Napisałam za to trzy bardzo dobre strofy: zakończenie rozdziału „Światło i ciepło”.

Pisanie idzie mi jak nigdy przedtem, chociaż źle sypiam po nocach: wciąż drętwieją palce u rąk. Z początku małe igielki, potem coraz większe i coraz radsze. W końcu całkowite zdrętwienie. Ręce obumierają..

## *27 stycznia 1942 roku*

Piekarnia mechaniczna mimo wszystko nie przestała pracować, czegośmy się tak obawiali. Kiedy wodociąg już nie działał, 8 tysięcy komsomolców - wyczerpanych głodem i zziębniętych jak wszyscy - utworzyło łańcuch od Newy do samej piekarni i podawało wodę wiadrami, z rąk do rąk.

Kolejki przed sklepami z pieczywem były wczoraj olbrzymie. Chleb przywieziono dopiero pod wieczór. W każdym razie chleb był.

Dzisiaj (nawet dokładnie o tej właśnie godzinie, o północy) Miszeńka skończył rok.

## *29 stycznia 1942 roku*

„Gospodarstwo” zabiera coraz więcej czasu. Piecyk, czajnik, zmywanie naczyń, podgrzewanie zupy lub kaszy, cerowanie i przepierki - na tym upływa połowa dnia.

Dzisiaj zrobiłam gruntowne porządki, o których już dawno marzyłam. Większą część ubrania ułożyłam starannie w dużym plecaku. Do lepszych czasów, kiedy będzie woda, światło, a może nawet - do końca blokady. Resztę - rzeczy niezbędne - oddałam Eufrosinji Iwanownie, która po wielu błaganiach obiecała je wyprać w sławetnej wodzie rzeczki Karpowki, która nas teraz myje i poi. Filtrujemy ją przez osiem warstw gazy, ale nawet po tym procederze woda jest okropna.

Eleganckie suknie schowałam na samym dnie walizki. Gumowe boty, pomięte i na wpół popękane, wyprostowałam, wypchałam papierem i owinęłam w szmaty - jak na wyprawie podbiegunowej.

Maszynę do pisania schowałam: taśma szybko wysycha na zimnie. Lampę elektryczną, jako rzecz całkowicie bezużyteczną, zdjęłam ze stołu.

Wszystko jest teraz we wzorowym porządku, ale przez dwa dni nie pracowałam.

Z chlebem ciężko. Przywożą go w niewielkich partiach z piekarni mechanicznej - mokry i zgnieciony. Duże kolejki.

### *30 stycznia 1942 roku*

W ciągu tych kilku dni zmieniły się nie tylko twarze - zmieniło się oblicze samego miasta. Zniknęły płoty, w tej liczbie i nasz. Piękne stuletnie lipy i brzozy pozostały jednak nietknięte.

Powstała jakaś nowa topografia: przejścia, zaułki, skrócone drogi, przechodnie podwórza.

Dziś odbyła się uroczystość żałobna przed pogrzebem profesora A. A. Lichaczewa. Ciało bez trumny (przywieźli ją potem) leżało w sali konferencyjnej na owalnym stole, na arkuszu dykty.

Zmarły owinięty był w prześcieradło. Dokoła stołu w lodowatym pokoju stali profesorowie i asystenci. I. D. wygłosił mowę. Patrzałam na niego. Zdjął futrzaną czapkę, pozostawił jednak na głowie czarną jedwabną czapeczkę - było zbyt zimno. A sam był taki chudy i żółty.

Mowa utrzymana była w dobrym tradycyjnym stylu, z łacińskim „Sursum corda” na zakończenie.

### *31 stycznia 1942 roku*

Rury wodociągowe, biegnące pod ziemią, pękają, ponieważ woda, której nie przetłaczają pompy, zamarzała. Bieżąca woda ratuje się jak gdyby ucieczką od mrozu. Teraz nie płynie, mróz ją dopędza i woda zamarzając rozsada rury.

## *2 lutego 1942 roku*

Czasami człowiek pragnie pisania jak pokarmu. W nocy, zamiast spać - pracuję. Gdy tylko się położę, mam wrażenie, że mózg mój odzywa się: „Teraz nadeszła moja godzina. Zaczynamy!” I zaczynamy pracować.

Śpię tak lekko, tali powierzchownie, że wystarcza, bym się tylko na wpół ocknęła, a już odnajduję w świadomości wiersz lub strofę. Tak jak gdyby wiersze stały w nocy przed drzwiami i czekały, żeby je wpuścić. Jeśli się tylko utworzy najmniejsza szparka - są już w pokoju.

Natasza widziała przed wejściem do jakiejś kliniki dwa obejmujące się trupy.

Wiadomo już na pewno, że Łapin i Charcewin zginęli w Kijowie.

## *3 lutego 1942 roku*

### *Wieczorem*

Nigdy jeszcze nie było mi tak ciężko jak teraz. Dwa kaganki doprowadziły mnie do stanu ostatecznego wyczerpania. Pragnę światła, jak pragnie się chleba lub powietrza. Na domiar złego przewróciłam znowu ronderek, tym razem z zupą, kiedy wyjmowałam go z piecyka. Miałam dużo kłopotu z zimną, tłustą podłogą (całe szczęście, że jest kamienna).

Tak mi ciężko na duszy, że prawie wcale nie mogę pisać. Mimo to udało mi się dziś cokolwiek zrobić.

Lola bardzo trafnie powiedziała, że gdyby mogła dotknąć psa lub kota - żywej i ciepłej istoty („zwierzaka”, jak się wyraziła), od razu by jej ulżyło. A nawet, gdyby usłyszała szczekanie lub miauczenie.

Czasami cisza doprowadza mnie do obłądu. Chociażby teraz: ani jednego dźwięku, ani szelestu.

Za ścianą śpi w futrze Sofia Wasiliewna, laborantka I. D. Nie myje się i nie rozbiera już chyba ze trzy miesiące. Znajduje się na pograniczu obłądu z obawy przed zgubieniem kartek żywnościowych: I gubi je rzeczywiście trzeci miesiąc z rzędu. Nie mam pojęcia, z czego żyje. Przecież to śmierć głodowa.

(Piszę, piszę... Żeby chociaż nasi wrócili prędzej z komitetu dzielnicowego!) Lodowate, czarne korytarze. Przychodzą mi co chwila na myśl matka i córka - postacie wzięte żywcem z Dostojewskiego. Matka-emerytka i szesnastoletnia córka, Lula: nieledwie dziecko, w kapturku i z mufką. Szeroko otwarte, zdziwione oczy. Jakaś oszustka, której wpadły w oko w kolejce, podeszła do nich, zawarła znajomość, zdobyła zaufanie, zaczęła przychodzić do domu i wreszcie obiecała znaleźć dla Luli posadę pomywaczki w szpitalu wojskowym nr 21. Przyniosła podanie z wnioskiem komendanta szpitala o zatrudnienie (wszystko było sfalszowane). Nie wiadomo nawet, czy szpital taki

w ogóle istnieje. Na początku miesiąca (akurat kiedy wydają kartki żywnościowe) „dobrodziejka” przysłała po matkę i córkę. O ósmej wieczorem, w ciemnościach, zaprowadziła je do naszego głównego budynku szpitalnego, (pewnie sama tu pracuje jako sanitariuszka czy coś w tym rodzaju). Wzięła od dziewczyny obie kartki, Luli i matki, na cały miesiąc, i czterdzieści pięć rubli, które matka pożyczyła od kogoś - rzekomo w celu zakupienia produktów. I natychmiast zniknęła w ciemnościach.

Dziewczyna słyszała jej głos: „Tutaj jestem. Tutaj. Idźcie za mną”. Zupełnie jak w „Szczerołapie” Grimma. I na tym się skończyło.

Nie mogę zapomnieć tej matki i córki. Matka powtarzała bez przerwy rozdzierającym głosem:

- Lulu, Lulu, coś ty narobiła! Za życia wpędziłaś mnie do grobu!

A Lulu, przyciskając kurczowo mufkę do piersi, ze wzrokiem utkwionym nieruchomo w jeden punkt, szeptała:

- Jaka noc nas czeka! Jaka noc!

Bała się widocznie, że matka zamęczy ją w nocy płaczem. Od razu zaczęliśmy pisać doniesienie do milicji. Cóż jednak znaczy dzisiaj takie doniesienie? I co może zrobić milicja? Nie wiemy dotychczas, co się z nimi obiema stało.

## *5 lutego 1942 roku*

Wszyscy nasi pojechali do Smolnego. Znowu zaczął się jakiś ruch w związku z ewakuacją. Możliwe, że i my wyjedziemy. Dokąd? Zdaje się, że do Irkucka.

## *9 lutego 1942 roku*

Tyle najrozmaitszych spraw, a tu, jak na złość, mam ogromną ochotę do pisania. Byłam na naradzie pisarzy bałtyckich.

Zaproszenie przysłał mi Wiszniewski. Obrady miały potrwać dwa dni na Wyspie Wasiliewskiej, daleko od nas. Była to więc prawdziwa wyprawa z noclegiem.

Przedyskutowałam całą sprawę z I. D. i postanowiliśmy, że trzeba będzie pójść. Znowu zaczęto się wielkie cerowanie wełnianych pończoch i rękawic oraz zaopatrywanie się w prowiant na drogę. W głównej kuchni dali mi, w zamian za obiady i śniadania, dwa prawie świeże jajka i osełkę topionego sera. I. D. ze swej strony wydzielił mi ćwierć tabliczki czekolady z „żelaznej porcji”. Byłam więc obficie zaopatrzona.

Obrady miały się rozpocząć o godzinie 10 rano, punktualnie, jak na okręcie.



Wstaliśmy tego dnia o szóstej: sama droga miała trwać przynajmniej dwie godziny, a chodzimy teraz powoli.

Ranek był niezwykle piękny. Im większy mróz, tym piękniejsze jest niebo - to znana rzecz.

Wyszliśmy z domu o wschodzie słońca..

Na Wielkim Prospekcie, gdzie szyny tramwajowe są zagrzebane głęboko w śniegu, dopalał się dom. Gaszono go widocznie przez całą noc. Co nas najbardziej zdziwiło - była tam woda. Ciekła jeszcze z hydrantu zalewając całą ulicę. Utworzyło się duże, różowiejące w zorzy polarnej jezioro, nad którym unosiły się białe opary.

W czarnych oknach wypalonego domu widać było poprzecinane belkami, olbrzymie, purpurowe słońce w różnych fazach: to jako sierp, to znów półksiężyc, to wreszcie jako ognistą pełnię.

Zapatrzyłam się na słońce i wpadłam jedną nogą po kolano w gęstą masę, mieszaninę wody, lodu i śniegu. Utworzył się jak gdyby lodowy but, który uciskał mi nogę. Szłam tak przez całą drogę.

Dopiero podczas obrad zaczęły odpadać z wołoku kawałki lodu. W końcu pierwszego dnia, po referacie i dyskusji, poproszono mnie o przeczytanie poematu. Przeczytałam . „Światło i ciepło” - nie dokończony jeszcze drugi rozdział.

Jako kobiety i goście, nocowałyśmy z Kietlińską w komfortowych warunkach: na łóżkach, w tym samym pokoju, w którym odbywały się obrady. W pokoju było niebiesko od dymu z papierosów i fajek, ale za to ciepło od ludzkich oddechów i maleńkiego piecyka.

Nad ranem zbudził mnie dotkliwy chłód; zrozumiałam, że piecyk zgasł. W tej samej niemal chwili usłyszałam soczysty trzask, jak gdyby ktoś rozciął kawon. Jak się okazało, Z. porąbał siekierą krzesło, na którym wczoraj siedział. Widziałam, jak wrzucił je do piecyka. Nieszczęsne krzesła leningradzkie! Znowu zrobiło się ciepło. Zasnęłam.

Niektóre przemówienia pisarzy bałtyckich były interesujące. Zdarzały się zdania wyjątkowo precyzyjne. Zapisalam coś niecoś.

»Wyjścia», »wypadki» i »wypełnienia» na pozycje czołowe. To ostatnie o czołgających się zwiadowcach.

»Poezja» dokładnego wykonania regulaminu wojskowego.

»Galopująca sytuacja».

»Okręty dopłynęły przede wszystkim na polityczno-moralnym stanie załogi, kotły bowiem już nie pracowały». »Spokojne życie w schronach».

»Wyprowadził ludzi bez strat, z wyjątkiem samego siebie». »Łódź podwodna lubi głębiny. Przy brzegu - nie może». »Trawlerzy - oracze morza». »Łódź podwodna nie lubi białych nocy».

Nasze ulotki przierzucano do okopów nieprzyjacielskich za pomocą łuku. Dwóch ludzi napinało cięciwę, a trzeci wypuszczał strzałę nadzianą ulotkami.

Drugiego dnia pod wieczór odwieziono mnie samochodem do domu.

## *12 lutego 1942 roku*

Niepokoję się o I. D. Bardzo źle wygląda. Schudł i ciągle jest mu zimno. Chodzi powoli, podpierając się laską. Najgorsza sprawa z rękami. Zaczerwieniły się w stawach i obrzękły. Skóra stała się błyszcząca i podobna do giemzy.

Drugi rozdział posuwa się naprzód powoli, ale jestem z niego zadowolona. Od Żanny - żadnych wiadomości. Pocieszam się, że list prawdopodobnie przyszedł, lecz leży w nieposegregowanej stercie innych listów w naszym urzędzie pocztowym. Przyszedł na pewno, ale nie można się do niego dostać. A jednak inni otrzymują pocztę.

## *16 lutego 1942 roku*

Poszłam wczoraj na torpedowiec, gdzie zgodnie z naszą umową z Zoninem miał się odbyć mój wieczór autorski. Do torpedowca - dwie godziny drogi, to przeciwległy kraniec miasta. Szłam powolutku, oszczędzając sił. Jednakże na środku Mostu Kirowskiego, tam gdzie wznosi się on ku górze, poczułam, że lada chwila upadnę.. Nogi zrobiły się miękkie i odmówiły posłuszeństwa. Zrozumiałam, że nie zdołam dojść na miejsce. Ledwo dowlokłam się do Kietlińskiej. Uprzedziłam ją i Zonina, że nie pójdę. Poszli beze mnie, a ja powlokłam się do Oziereckich, żeby nieco odpocząć.

Zjadłam coś niecoś, odpoczęłam. Potem usadowili mnie w fotelu koło piecyka, a sami usiedli wkoło: Nikołaj Iwanowicz, Alona i Kowrow - szofer. Przy wtórce gwałtownej kanonady (poprzedniego dnia pocisk trafił w sąsiednie okno i o mało nie zabił Alony) zaczęłam czytać oba rozdziały po kolei. Wszyscy byli wzruszeni...

Bardzo jestem ciekawa, czy na wszystkich poemat będzie działać w ten sposób? A może wyłącznie na tych, którzy przeżyją oblężenie Leningradu?

## *17 lutego 1942 roku*

Nowe - tym razem poważne - rozmowy o ewakuacji Instytutu. Ustalono nawet datę - 15 marca, oraz miasto - Archangielsk. A Leningrad... jakże się z nim rozstać? Jesteśmy już tu sześć lat, jeśli liczyć każdy miesiąc za rok, jak podczas obrony Sewastopola. Nie, do Leningradu trzeba stosować większą skalę.

Jeśli wyjedziemy, weźmiemy z sobą Lolę i Inne. Dina Osipowna jest umierająca.

### *18 lutego 1942 roku*

Wczoraj czytałam swoje utwory w szpitalu, gdzie leży T. Czuje się gorzej. Jutro mam wieczór autorski w szpitalu przy Instytucie im. Hercena. Pojutrze - dla aktywu partyjnego. 21 jadę z delegacją naszego rejonu na front. Jadę!... Obawiam się tylko jednego: zamarznięcia.

### *19 lutego 1942 roku*

Przed chwilą otrzymałam wysłany jeszcze w grudniu list od Żanny. Nasz Miszeńka umarł - nie miał jeszcze roczku.

### *20 lutego 1942 roku*

Wczorajszy list od Żanny zaczęłam łapczywie czytać i nagle, z rozpędu wpadłam na te słowa:

Nie możemy się w żaden sposób pogodzić z naszym ogromnym nieszczęściem - śmiercią Miszeńki. Życie w Czystopolu wydaje się nam teraz zupełnie puste i bezcelowe. Zniknęło to, co przywiodło nas tutaj. Cisza zapanowała w naszym pokoiku i dokoła... Wrócimy chyba do Moskwy zaraz po uruchomieniu komunikacji na rzece”.

Przeczytałam list do końca. Odłożyłam na bok. Potem wzięłam go nagle do rąk, przeczytałam po raz drugi z nieokreśloną nadzieją, że może mi się tylko zdawało. Nie, to prawda.

### *21 lutego 1942 roku*

Jadę jutro na front z delegacją naszego rejonu. Dobrze się stało, że jadę. Wyjazd pomoże mi znieść ból, z którym serce nie może sobie poradzić.

*23 lutego 1942 roku*  
*Dzień Armii Czerwonej*  
*Gorochowiec*

Śniegi, śniegi!... Piszę te słowa w Gorochowcu, w Wydziale Politycznym armii generała Fieduniniego. Jest to zbudowany z kłoców solidny domek, którego mieszkańcy żyli niegdyś dostatnio: fotografie na ścianach, flakony od perfum na komodzie. W okrągłaku leżą teraz siodła, brezentowe plecaki, karabiny, walonki, narty, butelki z benzyną.

Nad domkiem w bezdennym, mroźnym niebie - słaby warkot motoru i błyszczący punkcik samolotu. Wytłumaczono mi, że to „Adolf lata”. Odgłos zenitówek jest tu inny niż u nas w Leningradzie, wśród wysokich domów.

Wczoraj (czyżby zaledwie wczoraj?) I. D. znowu odprowadził mnie o świcie do naszego pietrogradzkiego komitetu dzielnicowego, w którym miało się odbyć zebranie delegatów. Szliśmy pustymi podwórzami przechodnimi. Gwiazdy świeciły jak w nocy. Willa, w której mieści się komitet dzielnicowy, była pusta i głosy rozbrzmiewały w niej zwielokrotnionym echem. Paliło się światło elektryczne (tylko w komitetach dzielnicowych jest jeszcze prąd), w czajniku gotowała się woda.

Wkrótce wszyscy delegaci zebrali się w komplecie. Wsiedliśmy do małej ciężarówki z dachem i bocznymi ścianami z dykty, zamiast czwartej ściany było - jak gdyby wstawione - gwiazdziste niebo. Gwiazdy gasły stopniowo po drodze, tylko Iśniąca Wenus towarzyszyła nam długo, dopóki i jej nie zgasił promienny świt.

Dopiero w chwili odjazdu dowiedzieliśmy się, dokąd naprawdę jedziemy. Okazało się, że przez Ładogę, poza pierścień blokady, o 200 kilometrów od Leningradu. I. D. zmarkotniał, lecz dzielnie machnął ręką na pożegnanie.

Ławeczki w ciężarówce były wąskie, niewygodne, nie było się o co oprzeć. Czuć było wstrętny zapach benzyny. Akurat obok mnie stała olbrzymia butla prawie tej wysokości co ja. W butli pluskała i kotłowała się benzyna. Jednak paliwa nam nie starczyło.

Koło Smolnego staliśmy dość długo, czekając na delegacje z innych rejonów. Wreszcie zebrali się wszyscy.

Wieźliśmy na front podarunki: pięć ręcznie wykonanych automatów (nie ma prądu) z napisem na łożysku: „Najlepszymu tępicielowi niemieckich okupantów”, płaszcz ochronny, przybory do golenia, tytoń, rękawice skórzane i na futrze, mapniki dla dowódców, chustki do nosa, gitary i mandoliny. Byłam przekonana, że te ostatnie nie dojdą w całości. Były źle opakowane, spadały na bok na wybojach, płacząc i zawodząc jak żywe. Podtrzymywaliśmy je rękami i plecami.

Dla samego Fieduniniego wieźliśmy skórzaną szkatułkę na tytoń. Każdy rejon wiozł inne podarki, lecz wszystkie żądały tego samego - przerwania blokady.

Droga trwała 13 godzin. Byliśmy bardzo znużeni i zziębnięci nie do tego jednak stopnia, żeby nie można już było wytrzymać.

Ładogę przecięliśmy w ciągu półtorej godziny. Łód jeszcze jest mocny, ale szofer powiedział, że w godzinach południowych, kiedy słońce przygrzewa, pięciotonowych ciężarówek już nie puszczają. Przecież lód, nie biorąc już pod uwagę słońca, jest podziurawiony przez bomby. Przejechalśmy jednak spokojnie. Po nierównej, rozbitej drodze śnieżnej gładki lód jeziora wydał mi się prawdziwym rajem. Nie trzęsło ani rzucało.

Po przejechaniu jeziora, w miejscowości, po której długo kręciliśmy się błagając o benzynę, po raz pierwszy od wielu miesięcy zobaczyłem kozę, psa i żywe kury. Ze wszystkich samochodów wyglądali ludzie, żeby przyjrzeć się tym dziwom. W tej samej miejscowości, za jeziorem, po raz pierwszy usłyszeliśmy piosenkę. Spojrzałam na towarzyszy podróży - wszyscy byli wstrząśnięci.

W ogóle uderzająca jest różnica między nami a tutejszymi ludźmi. Oni mają rumieńce od mrozu, chodzą szybko, oddychają głęboko, wypuszczając z ust gęsty obłok pary. My jesteśmy bladzi, oddychamy słabo (ledwo dostrzegalnie), chodzimy powoli, rozmawiamy cicho.

W Życharewie widzieliśmy groźny pożar. Na torach kolejowych płonęły, podpalone przez Niemców, cysterna z towotem, cysterna z naftą i wagony kolejki wąskotorowej, załadowane torfem. Wszystko to zostało dopiero co przywiezione. Niemcy latali rankiem, wypatrzyli, a o zachodzie słońca zbombardowali, tak żeby parowóz nie mógł podjechać i odciągnąć pozostałych wagonów.

Takiego płomienia nigdy jeszcze nie widziałam. Ciężko rozlewał się w powietrzu, purpurowy, gęsty jak pierzyna, przetykany czarnym dymem.

Nie zdążyliśmy jeszcze oprzytomnieć, gdy rozpoczęło się bombardowanie. Bomby padały zupełnie blisko. Straszniejsze od bomb były jednak serie z karabinów maszynowych, którymi Niemcy zasypywali każdy samochód, Naszych zenitówek było stanowczo za mało.

Wszyscy, nie wyłączając wojskowych, położyli się w śniegu. Z naszego samochodu część pasażerów wyszła, część zaś została: Syczew z fabryki, ja i jeszcze dwaj mężczyźni. Siedzieliśmy w ciężarówce, osłonięci dyktą (co za głupota), drżąc tylko i pochylając głowy, gdy powietrze i odłamki gwizdały nad nami.

Z jaką tkliwością przypominałam sobie wówczas nasz schron na ulicy Lwa Tołstoja! Ściany, sklepienia, miłosierny kamień, który przyjmował na siebie uderzenia. A tu - niebo i powietrze. Serie z karabinów maszynowych.

Nasza głupota obróciła się jednak całkiem przypadkowo w strategiczny fortel. Jak nam potem tłumaczono, Niemcy nie ostrzelali naszej ciężarówki chyba dlatego, że nie przyszło im nawet do głowy, by mogli się tam znajdować ludzie. Myśleli, że to porzucony samochód.

Samolotów było około piętnastu czy dwudziestu. Latały, krążyły nad nieszczęsną stacją. Po krótkiej chwili wytchnienia znów rozległ się okrzyk:

- Zaczyna się drugi nalot! Kłaść się!

Tym razem i ja wygramoliłam się z samochodu i już chciałam się położyć w rowie, gdy podniósł się stamtąd jakiś wojskowy. Zrozumiałam, że niebezpieczeństwo minęło.

Najwięcej ze wszystkich przestraszył się najbardziej zuchowaty z wyglądu babsztyl... (Silny ogień zenitówek. Widocznie „Adolf” lata blisko).

Jedziemy teraz do artylerzystów N-tej dywizji. Zabieramy ze sobą najnowszy numer gazety dywizyjnej „Do rozstrzygającego boju!”, który zawiera rozkaz Stalina.

Cieszę się, że jestem tutaj: mniej boli serce. Szkoda tylko, że nie udało się nam zobaczyć generała Fieduniniego. Wczoraj późnym wieczorem przyszedł do jednego z domków, w których mieści się jego sztab, nie do tego jednak, gdzieśmy nocowali, lecz do innego. Mają szczęście ci, którzy urządzili się tam na noc. Wszyscy wstali i Fieduniniego długo z nimi rozmawiał.

Generał był w dobrym humorze, przyszedł wprost z łaźni. Powiedział, że wymyśl się doskonale, chociaż w łaźni było chłodnawo. Generał lubi ciepło. Jak ja go rozumiem! (Odezwała się nasza artyleria. Dom zadrżał.)

Samochody przyjechały po nas. Jedziemy dalej.

## *24 lutego 1942 roku*

### *N-ta dywizja. Rano*

Obudziłam się w nocy: gdzie jestem? Po chwili przypominałam sobie - w ziemiance. Obok mnie, na pryczy przykrytej sosnowymi gałęziami śpi Maria Nikołajewna Wołk z komitetu dzielnicowego, nieco dalej Syczew i inni. Dyżurny dorzuca małe polanka do piecyka - smolisty dymek gryzie w oczy. Nagle rozległ się grzmot armatni, nie wiem nawet z czyjej strony. Tutaj jednak, w pierwszej linii okopów, nie wydaje mi się to wszystko takie straszne jak w Leningradzie.

O świcie dyżurny przyniósł nam kaszę w menażkach, chleb i po dużym kawałku masła. Wspaniała rzecz! Następnym razem muszę koniecznie wziąć ze sobą łyżkę.

## *26 lutego 1942 roku*

### *Leningrad*

Leżą w łóżku u siebie w domu i nie mogę nasycić się ciepłem. Jestem w ciepłym szlafroku, przykryta pikowaną kołdrą i wełnianym kocem, na nogach mam pled i palto. Co godzinę niemal dostaję coś gorącego do picia, a mimo to nie mogę się rozgrzać.

Podczas podróży na front nie miałam na sobie nic naprawdę ciepłego.

Dano mi co prawda na drogę watowane spodnie i kurtkę pod palto. Wszystko to było jednak stare i przeszło przez dezynfekcję. Zbita, słabiotka wata. Na głowie miałam zawsze ten sam, zrobiony na drutach kapturek. W rękach - mufka, pled i biała szydełkowa chustka, którą Kławdia Iwanowna dała

mi pod przysięgą, że będę jej strzegła jak kartek na chleb. W całym tym stroju przypominałam chyba do złudzenia gogolowską Koroboczkę<sup>13</sup>.

Wszystko to jeszcze było jako tako w porządku. Ale że I. D., doświadczony wojak, uczestnik dwóch wojen, lekarz i troskliwy mąż, nie dał mi na drogę żadnego alkoholu - było potrójnym błędem. Szkoda, że nie widział, jak w drodze powrotnej, po przejechaniu jeziora, piłam z szoferami spirytus, zagryzając słoniną z cukrem. Jestem przekonana, że tylko dzięki temu żyję jeszcze.

Była taka chwila, kiedy szofer - z litości posadzono mnie w budce szofera - przyjrzał mi się uważnie i powiedział:

- No, teraz musicie się tylko modlić, żeby w samochodzie nic się nie popsulo. Jeżeli motor zgaśnie - przyjdzie na was kryska.

Była to prawda - tylko ciepło motoru utrzymywało mnie przy życiu.

Ładoga - to olbrzymia lodowa równina. Śniegu - jak na biegunie. Wszystko jest ze śniegu: ogrodzenia jednolite lub ułożone ze śniegowych bloków, półokrągłe igloo dla obsługi dział przeciwlotniczych, fundamenty pod zenitówki. Wszystko niepokalanie czyste, tak białe, że aż przechodzi w błękit, troskliwie przykryte niebieskim sklepieniem. Każdy nie-biały przedmiot jest wydarzeniem dla oka. Purpurowa jak mak chorągiewka w ręku żołnierza kierującego ruchem jest widoczna z odległości kilometra.

Dla żołnierza śnieg - to najważniejsze. Żołnierz zakopuje się weń, pije go i myje się nim.

Moja dalekowzroczność, która przy biurku nad rękopisem lub książką jest mi przeszkodą, bardzo mi się tu przydała. Widziałam wszystko, niemal do samego horyzontu. Oto na przykład lodową drogą przez jezioro ciągną kolorowe punkciki: to ciężarówki. Jeśli są różowe, oznacza to, że wiozą baranie poćcie. Jeśli czarne - węgiel, żółte - jakieś kosze z kory brzozonej, nie wiadomo co zawierające. Worki z mąką są idealnie białe i nie odróżniają się prawie od tła. To nasz chleb powszedni, nasze życie, które wysłała dla Leningradu Wielka Ziemia.

Praca szoferów na Ładodze - to święta praca. Wystarczy przyrzeć się drodze, tej stratowanej, zjeżdżonej, nie znającej ani dniem, ani nocą spokoju drodze. Pokrywający ją śnieg zamienił się w piasek. Wszędzie - na wybojach, w wądolach, koleinach, dołach, rowach, wyrwach i lejach - leżą martwe samochody lub ich części.

A przecież szoferzy, jeżdżący przez Ładogę pod pociskami i bombami, przebywają tę trasę czterokrotnie w ciągu jednego dnia. Do nich skierowane są widniejące wszędzie, czerwone napisy na transparentach: „Kierowco! Czy zrobisz dzisiaj dwa kursy?” I kierowcy robią te dwa kursy.

Do sztabu armii w Gorochowcu dotarliśmy późnym wieczorem. Świecił jasny księżyc, otoczony, mroźnym mglistym pierścieniem. Wszystko wskazywało na to, że na księżycu mrozy są jeszcze bardziej srogie niż u nas na ziemi.

---

<sup>13</sup> Koroboczka – postać z „Martwych dusz” Gogola (przyp. tłum.).

Gdy tylko samochody zajechały przed sztab, natychmiast odciągnięto je do lasu i zamaskowano. Powiedziano nam, że przejeżdżaliśmy przez bardzo niebezpieczną strefę i to przy księżycu, który mógł zdradzić naszą obecność. Było jednak spokojnie; znacznie spokojniej niż na Newskim.

W drogę powrotną z Gorochawca do Leningradu wyruszyliśmy jeszcze przy blasku gwiazd. Rakiety nieprzyjacielskie stawały się coraz bledsze. Nad lasem szarzał świt. Bładozielonkawe niebo rumieniło się z jednej strony jak jabłko. Wtedy właśnie szofer powiedział mi, żebym się tylko modliła o pomyślną pracę motoru, jeśli nie chcę zamarznąć na śmierć. Na domiar złego zgubiłam ciepłą chustkę, którą mi dała Kławdia Iwanowna. To było najgorsze nieszczęście.

Zgubiłam ją wracając samochodem ze sztabu dywizji do sztabu armii. Jechaliśmy długo leśnymi zaśnieżonymi drogami. Później trzeba było wyleźć i czołgać się przez pokrytą śniegiem polanę, w którą Niemcy już się wstrzelali.

Biegący razem ze mną, zziębnięty i pałający, niecierpliwością żołnierz, którego wysłano na nasze spotkanie, spytał mnie szeptem:

- To wy jesteście artystką z brygady? Będziecie u nas występować, prawda?

Tak mi się wtedy zrobiło przykro, że nie jestem artystką, tak ciężko schylając się było biec po śniegu, tak się przejęłam wszystkim, co mnie otaczało, że kiedy spadła mi chustka - biała na biały śnieg - nawet tego nie zauważyłam.

Do Leningradu wjechaliśmy od strony Rzewki. Z tętniącego życiem i walką frontu powróciliśmy do martwej ciszy oblężonego miasta.

## *27 lutego 1942 roku*

„Za pierścieniem” byliśmy ogółem trzy dni.

Nasi delegaci rozbili się na grupy i odwiedzili wszystkie rodzaje broni. Naszą grupę skierowano do dywizjonu artyleryjskiego, znajdującego się 600 metrów od nieprzyjaciela. Nie jest to jeszcze najbardziej wysunięta placówka.

W każdej z ukrytych w lesie baterii odbywały się krótkie, bardzo krótkie wiece okolicznościowe. Wszyscy stali. Przemawiał ktoś z delegacji, później odpowiadał jakiś artylerzysta. Otaczały nas ośnieżone sosny, świerki i działa bez pokrowców, w pełnej gotowości bojowej. Temat przemówień był jednakowy: przerwanie blokady. Odparcie nieprzyjaciela spod Leningradu.

Jeden z artylerzystów powiedział:

- Pozdrówcie Leningrad od pierwszego działa naszej baterii. Powiedzcie, że robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby znękanе miasto Lenina mogło nareszcie odetchnąć.

Inny powiedział:



- Odepchnąć Niemca można, ale nie na tym polega zadanie. Trzeba go zniszczyć...

Ten sam żołnierz wyraził się między innymi: „Żołnierz przesycony nienawiścią” i „Taka się w nim wyrobiła chęć odwetu”.

Jedna z baterii uczciła nas wystrzałami armatnimi - po jednym na cześć każdego delegata. Grzmot armatni ogłuszył nas.

Śnieg posypał się z drzew na ramiona i głowy. Po kilku minutach Niemcy odpowiedzieli, lecz pociski ich upadały daleko.

W ciągu tych trzech dni spędzonych w armii dowiedzieliśmy się, że „Niemiec nie znosi oskrzydlenia i okrzyka, nawet najmniejszego” oraz że „ma kłopoty z rezerwami”.

Słyszeliśmy opowiadanie o człowieku, który „uciekł” na pierwszą linię. Z zawodu był fryzjerem. Z racji jego „wysokiej użyteczności” został przydzielony do sztabu, ale go nie upilnowano. Teraz „goli fryców z kaemu”. Z jego fryzjerskiego zawodu nie będzie już w wojsku pożytku.

Opowiadano o pewnej teściowej, która nie cierpiała swego zięcia. Pewnego razu mówi (zięć dostał w wojsku urlop i przyjechał do Leningradu): „Ciągłe słyszę przez radio fieduninczy, fieduninczy. Żeby choć jednego zobaczyć”. A zięć: „Niech mama na mnie spojrzy, co to długo szukać”. Teściowa nazwała go wówczas po raz pierwszy w życiu „synkiem”.

Wytłumaczono nam, że „wystarczy przenieść dowódcę do ciepłego pokoju i na miękkie łóżko - od razu dostanie grypy. Dowódcy potrzebny jest mróz, ziemianka, surowy klimat”.

Opowiadano o tym, jak żołnierz zginął od pocisku przy rozdawaniu chleba. Pocisk rozerwał żołnierza na strzępy, nie można go było nawet pochować. Ocalał tylko kawałek chleba, przesiąknięty krwią. Żołnierze podnieśli wówczas kromkę i pogrzebali jako człowieka.

Opowiadano, że gdy zmęczeni żołnierze dorwą się wreszcie do ogniska, każdy z nich chciałby przysunąć nogi jak najbliżej żarzących się węgli. Dyżur przy ognisku powierza się wówczas komsomolcowi, który mimo iż sam jest śmiertelnie śpiący, budzi żołnierzy leżących za blisko ognia. Jeśli nie może dać sobie rady z budzeniem, odciąga od ognia ich nogi. „A śpiąca noga, jeśli przeszła w ciągu dnia dziesiątki kilometrów - możecie sobie wyobrazić, ile waży!”

Spostrzeżenie majora: „Niemieccy narciarze z reguły nie używają nart. Boją się rosyjskiego śniegu czy co?”

Robotnik z Uralu, były artylerzysta: „Jak kropnę w ten bunkier ziemny! Taką miałem przyjemność jak nigdy!”

Rozmawiano o działonowym, tzn. o żołnierzu, który nadaje kierunek lufie działa, szybko przestawiając jego tylną część według wskazówek celowniczego. Dowódca powiedział: „Na wojnie potrzebna jest nie tylko siła, lecz i umiar. Niejeden silny chłop lekko może podnieść pół armaty. Ale ważne jest nie to, żeby zwyczajnie podnieść, ale żeby niepotrzebnie nie przesunąć zanadto”.

Gospodarz klubu, z którym szliśmy na KP<sup>14</sup>, wyraził się z uznaniem o mym niewysokim wzroście: mogę chodzić nie pochylając się. Niemieckie kule obliczone są na człowieka średniego wzrostu. Widać to po śladach na drzewach.

Towarzyszający nam żołnierz zauważył z troską w głosie:

- Drwalom ciężko będzie po wojnie.

- Dlaczego?

- Ludzie pójdą do lasu piłować. A w drzewach, pod korą, odłamki. Piły się połamią.

Wracając z baterii ujrzeliśmy grupę stojących żołnierzy. Podwójnym kołem otaczali jednego w środku, z papierem w ręku. Czerwone promienie zachodzącego słońca oświetlały skupione twarze.

Zapytaliśmy, o co chodzi.

Objaśniono nam, że to wojskowy trybunał rewolucyjny.

- Za co sądzą?

Odpowiedziano krótko i surowo:

- Za tchórzostwo.

W sztabie dywizji, przed wejściem do jednej z ziemianek uprzedzono nas:

- Proszę iść powoli, tu nie ma schodów. Duża pochyłość.

Weszliśmy do ziemianki.. W ciemności, nad podłogą, zabłysnęły czerwono - zielone ogniki. Dwa, nieco dalej znów dwa, a w głębi także dwa. Były to oczy koni. Jakaś klacz poruszyła się niespokojnie.

Koniuch-czerwonoarmista pogładził ją, tłumacząc:

- Jeszcze młoda.

Przypomniałam sobie spiżowe konie w Leningradzie, które usunięto z Aniczkowskiego Mostu i schowano przed bombami i pociskami. Na pewno stoją również w jakiejś podziemnej stajni i cichutko biją kopytem, a spiżowi młodzieńcy, trzymający konie za uzdy, starają się je uspokoić.

W ziemiance dowódcy dywizji, gdzie jedliśmy obiad, było tak ciepło, że w kilku miejscach koło piecyka przebiły się przez całą grubość usypanych z ziemi ścian kiełki brzozone: łodyżki i listki. Słabiutkie, blade, ale żywe.

Na początku obiadu wznieśliśmy przede wszystkim toast za Stalina, na cześć jego dzisiejszego rozkazu, wzywającego do zwycięstwa. Drugi toast był za wyzwolenie Leningradu. Komisarz powiedział:

- Nie można tak stawiać sprawy - żyć albo nie żyć. Nasze życie należy do Leningradu.

---

<sup>14</sup> KP (skrót od „Komandnyj punkt”) - stanowisko dowodzenia (przyp. tłum.).

*10 marca 1942 roku*

Sprawy służbowe I. D. niepokoją mnie w dalszym ciągu. Czym to się wszystko skończy? Jednak najsmutniejsze ze wszystkiego (i najcięższe) są listy Żanny. Otrzymuję je teraz często; są dla mnie udręką.

Najstraszniejsze są te, które zostały wysłane jeszcze za życia Miszeńki. Poczta działa teraz na opak: listy nadane wcześniej - przychodzą później. Listu o śmierci chłopca dotychczas jeszcze nie otrzymałam.

Miszeńka nie żyje, a ja nawet nie mam jego fotografii. Pozostała tylko różowa grzechotka. Zdjęłam ją jednak znad łóżka i włożyłam do szuflady w stoliku.

*12 marca 1942 roku*

*Wieczór*

List od Żanny zaadresowany do I. D.

„Pod wieczór zaczął przewracać oczkami i odrzucać główkę do tyłu. To było zapalenie opon mózgowych - pierwsza postawiłam diagnozę. Zetknęłam się już raz w życiu z tą chorobą i od razu ją rozpoznałam.

Zrozumiałam natychmiast, że wszystko skończone, i pragnęłam jedynie, żeby dziecko długo się nie męczyło.

Nie będę opisywać jego ostatnich chwil - po prostu nie potrafię.

Dawaliśmy dziecku tlen. Trzy balony w ciągu kilku godzin. Umarł wdychając tlen, przypuszczalnie - już nieprzytomny.

Chowaliśmy go po wiejsku. Przywiązaliśmy trumienkę do saneczek i odwieźliśmy na cmentarz. W ten sposób spokrewniliśmy się z tym miastem, w którym znaleźliśmy przytułek”.

Ciężko mi. Z największym wysiłkiem czytam te słowa. Trzeba teraz szczególnie dużo pracować, żeby wziąć się w karby.

*22 marca 1942 roku*

Wczoraj o trzeciej po południu (punktualnie co do minuty) rozpoczął się ostrzał artyleryjski naszego szpitala. Tym razem nie słyszeliśmy już świstu, lecz od razu uderzenie. Spadło na nas sześć sześciocalowych pocisków. Dwa z nich uszkodziły jednopiętrowy budynek kuchni: przebiły dach i

wleciały do piwnicy, gdzie został zabity na miejscu chłopak - wodociągowiec. Drugiemu chłopcu, synowi sanitariuszki, urwało obie nogi.

Pocisk przeszył gmach uniwersyteckiego prosektorium, rozbił audytorium (co za szczęście, że nikogo tam nie było), rozwalił szafy biblioteczne i wyrzucił w powietrze te same preparaty w spirytusie, które chodziłam kiedyś oglądać z I. D., ale nie obejrzałam ich do końca.

Pamiętam, jak/spokój nie przyglądałam się słojom z napisami: „Wątroba”, „Nerki”, „Serce”. Jednakże przed naczyniem, na którym było napisane „Nos” i gdzie w przezroczystym płynie bezwładnie pływała połowa twarzy jakiegoś młodzieńca o nieskazitelnych rysach, zrobiło mi się niedobrze i z takim impetem rzuciłam się do ucieczki, że I. D. ledwo dopędził mnie na dole.

Teraz ów martwy młodzieniec zmarł po raz drugi.

Dwa pociski wybuchły pod naszymi oknami. W pokoju powiększyły się rysy na ścianie koło piecyka. Wszystko zachwiało się. Stałyśmy z Mariettą ubrane, w futrach, nie wiedząc, na co się zdecydować: czy wyjść, czy zostać w domu?

Wskutek ostrzału (a może niezależnie od tego) - w głównej kuchni znowu uległ uszkodzeniu wodociąg. I. D. jest w rozpacz.

W ogóle, nawet jego niespożyty optymizm zarysował się, jak nasza ściana.

### *27 marca 1942 roku*

Za parę dni przeniesiemy się do dużego pokoju o trzech oknach wychodzących na wschód. Nie mogę się tego doczekać. Nareszcie będzie można chodzić nie wpadając co chwila na meble i nie oddychać sobie nawzajem w twarz. Ostatnio zaczęłam nienawidzić naszego miniaturowego pokoiku, który wydawał mi się taki nadzwyczajny zimą. (Zdaje się, że strzelają zenitówki. Warkot samolotów - to chyba samolot wywiadowczy. Czyżby znowu miały się zacząć naloty?)

Dzisiaj jest niedziela i odbywa się odgruzowywanie ulic. I. D. poszedł również. Ja na przemian - to prasuję, to piszę. Marietta zajmuje się czarodziejskimi praktykami przy piecyku: gotuje świąteczny obiad. Zbogaciliśmy się cudownym sposobem - otrzymaliśmy paczki od Związku Pisarzy z Moskwy. Gdy ujrzałam ich zawartość, straciłam głowę. Złapałam w każdą rękę po puszcę skondensowanego mleka i nie mogłam się z nimi rozstać.

### *28 marca 1942 roku*

Niemcy ostrzeliwują ulicę Roentgena, bardzo blisko od nas. Stoi tam, przed gmachem Instytutu Roentgenologicznego, pomnik: spiżowa głowa Roentgena na wysokim stosie książek, które leżą tak, jak gdyby czyjaś niecierpliwa ręka szukała wśród nich przed chwilą potrzebnego tomu.

I. D. opowiedział mi, że czterdzieści siedem lat temu (również w marcu) na głównej ulicy Würzburga wystawiono w księgarni fotografię przedstawiającą dłoń, na której wyraźnie widoczne były tylko kości palców i obrączka na jednej z nich. Mięśnie, nerwy, naczynia krwionośne i skóra zniknęły, jak gdyby nigdy nie istniały. Było to jedno z pierwszych zdjęć „rentgenowskich”.

Tego samego wieczoru korporacje studenckie przedefilowały, z pochodniami i sztandarami, obok dwupiętrowego gmachu Instytutu Fizyki, w którym wyładał profesor Roentgen. Szli nie tylko studenci, lecz także urzędnicy, wojskowi i kupcy - cały Würzburg czcił swego wielkiego rodaka.

A w marcu 1942 roku niemiecki pocisk wybuchł na ulicy Roentgena i uszkodził pomnik. Poszliśmy tam z Mariettą: podmuch wyrwał część granitowych książek. Głowa upadła na bok, ale nie zleciała z postumentu. Leży teraz w tej pozycji, tuląc smutnie policzek do granitu.

Marcowy śnieżek pada i taje pokrywając wysokie czoło zimnym potem. Łzy spływają po policzku i chowają się w gęstej brodzie.

Napisałam reportaż dla zagranicy: „Ulica Roentgena”.

*29 marca 1942 roku*

*Niedziela*

O szóstej rano obudziły nas niezwyklej siły wybuchy: cztery, w dużych po sobie odstępach. Zadrżała ziemia i powietrze. Czyżby to były aż tak potężne pociski?

*Wieczór*

Dowiedzieliśmy się przed chwilą, że to dziś rano na torach kolejowych koło Rzewki eksplodowały pociągi z amunicją, które Niemcom udało się zapalić podczas bombardowania.

Pracuję obecnie mało i to mnie męczy. Poemat został zepchnięty w kąt. Zapodziałam gdzieś wszystko i pogubiłam. Wiele zginęło na zawsze.

Na domiar złego piecyk dokucza - mi bez przerwy. Zimno i dym. Nie wiadomo, czy uda nam się znaleźć zduna i kominiarza. Był tu podobno jakiś stary zdun, lecz ten umarł przed paroma dniami.

Teraz, w tych dniach, rozstrzygają się wiosenne losy miasta: wybuchnie epidemia czy nie? Będzie jakaś infekcja czy zdołamy jej uniknąć? Serce zamiera na myśl, że na Leningrad mogą się zwalić tyfusy i dyzenterie. Kto będzie miał dość sił, żeby znieść to wszystko? Kto zaopiekuje się chorymi?

Całe miasto, wszyscy, kto tylko może utrzymać łopatę lub łom w ręku, oczyszczają ulice. Jest to mniej więcej taka praca, jaką byłoby doprowadzenie do porządku zanieczyszczonego bieguna północnego: góry lodu, zwały śmieci, stalaktyty nieczystości. Zgłasza się sporo ochotników. „Prawda Leningradzka” zamieszcza krótką rozmowę z jedenastoletnim Fimą Ozierkinem z ulicy Ligowskiej. Fima powiedział:

„Nikt nas nie prosił, żebyśmy sprzątnęli podwórze. Zabraliśmy się do tego sami. Zauważyliście, że na naszym podwórzu już nie ma wielkiej góry śniegu? To my z Tolą uprzątnęliśmy. Jutro znowu będziemy sprzątać.”

Na nadbrzeżnych ulicach lub na moście można czasami zobaczyć kawałek już oczyszczonego chodnika. Jest to wzruszający widok. Oczyszczony chodnik wydaje się tak piękny jak polana usiana kwiatami.

A opuchnięta kobieta o żółtej twarzy, w wyświechtanej szubie, spogląda, opierając się na łomie, na oczyszczony przez siebie skrawek asfaltu. A potem - znów do pracy.

W mieście - nowe zjawisko: wszyscy niosą świerkowe i jodłowe gałęzie. To witaminy. Pijemy odwar z igliwia.

Wszystkie dęby, a zwłaszcza młode dębczaki, odarte są z kory do wysokości człowieka. Wywar z kory pije się przy rozstroju żołądka, ponieważ zawiera dużo taniny. Jest to środek ściągający. Odarte z kory drzewa przypominają człowieka bez skóry z atlasu anatomicznego.

Niedawno widziałam na ulicy potwornie chudego konia. Powinien jednak wyżyć, jeśli już przetrwał zimę.

Jestem ogromnie zmęczona. Czy boję się czegoś? Jeśli nawet tak, to nie bombardowań, nie pocisków, nie głodu, ale wyczerpania psychicznego, krańcowego znużenia, kiedy człowiek zaczyna nienawidzić rzeczy, dźwięków i przedmiotów. Słusznie mówią, że zwycięża ten, kto ma silniejsze nerwy. Boję się właśnie tego - osłabionych nerwów, degradacji moralnej, staczenia się. Najgorzej, że nie mogę pisać.

Idę spać. A dalej - niech się dzieje, co chce.

### *30 marca 1942 roku*

Noc minęła spokojnie. Spałam jak zabita: dręczyły mnie tylko koszmarne sny. Między innymi dziecko z jednym olbrzymim, niebieskim okiem zajmującym całe czoło. Matka dziecka mówi: „Spójrzcie, proszę, dwoje oczu zlało się w jedno”.

Tak się przeinaczył we śnie obraz niebieskookiej dziewczynki, Kiroczki. Wczoraj dużo o niej słyszałam, a nawet widziałam jej prześliczną marmurową główkę, oderwaną przez podmuch od torsu. Taki los czekałby żywą Kiroczkę w jej pokoiku, gdyby została w Leningradzie.

W naszym pokoju bardzo zimno. Zdun obiecał, że przyjdzie, ale nie przyszedł. Mimo wszystko jakoś mi dzisiaj lżej na sercu. Może dlatego, że za oknem chwilowo zniknął drażniący urok wiosny. Zadymka.

### *31 marca 1942 roku*

Najgorszy dzień, jaki sobie tylko można wyobrazić. Jeden z najbardziej męczących dni, jakie przeżyłam w Leningradzie.

Wczoraj przeszliśmy do nowego pokoju, który powitał mnie okropnie - bezsennością. I to jeszcze jaką!... Byłam bardzo zmęczona przenoszeniem tylu rzeczy. Łóżka nie zdążyliśmy już przenieść, więc położyłam się na kanapie. Myśl o tym, że na tej kanapie spała nieszczęsna, nie żyjąca już Sofia Wasiliewna, ta właśnie myśl nie pozwalała mi usnąć. O pierwszej w nocy zaczęło się ostrzeliwanie artyleryjskie (dalekie) szrapnelami. Wydało mi się, że to bomby lotnicze i że z powodu braku radia nie słyszeliśmy alarmu.

I w tym obcym pokoju, wśród huku dalekich wybuchów, ogarnął mnie taki strach, jakiego nigdy jeszcze w życiu nie doznałam. Ani w Życharewie, ani na Simym Rynku nie doświadczałam czegoś podobnego.

Przeszywały mnie dreszcze, zaczynałam marznąć. I. D. jak na złość zasnął. Budzę go, a on:

- Głupstwo, głupstwo, moja droga...

Machnęłam na niego ręką i poszłam na dół, do sztabu. Był jednak nie wiadomo, dlaczego zamknięty na cztery spusty. Na dworze - od księżycy i śniegu - jasno jak w dzień. Zawróciłam. Puszysty, wiosenny śnieg. Drzewa wyglądały jak kwitnące jabłonie.

Po raz setny zabrałam się do czytania francuskiej powieści. Bardzo dziwna była ta lektura, jak sen podczas snu: to życie, te miłości gdzieś na Riwierze, w Nicei.

Przyszedł Mikołaj Iwanowicz i zawiadomił nas, że część studentów Instytutu (I i II rok) wyjedzie z Leningradu. Termin ostateczny - 10 kwietnia, póki jeszcze na ładodze trzyma się lód. Studenci III i IV roku nie wyjadą. I. D. zostanie również z nimi, a ja z nim.

### *Dziewiąta wieczór*

W pokoju ustalili się już jaki taki porządek, a nawet zrobiło się względnie przytulnie. Taki mnie jednak ogarnia lęk i niepewność, że miejsca sobie znaleźć nie mogę. Co z nami będzie, co będzie ze mną - nie wiem.

Nic nie wiem. Ciężko mi i bardzo się boję. Piszę o tym bez fałszywego wstydu: boję się. Marietta opowiadała, że Niemcy byli dzisiaj bardzo blisko miasta. Widocznie odczułam to w nocy, chociaż nic nie wiedziałam. Niemcy przyciągnęli potężną baterię na platformach kolejowych i walili w miasto.

### *1 kwietnia 1942i roku*

Siadam do pisania wierszy dla „Prawdy Leningradzkiej” o partyzanckim taborze kołchozowym, który przebił się do nas przez wszystkie niemieckie ekspedycje karne. Przyszło ponad dwieście wozów z żywnością. Wszystko to potajemnie przedostało się przez linię frontu. O dwunastej w nocy zatelefonowano do mnie z redakcji, ale mimo to nie zdołałam zobaczyć delegacji: po prostu nie było samochodu. Brak benzyny.

Pokój powoli staje się przytulny. Wczoraj spędziłam w nim dobry dzień roboczy i widocznie „ciepło pracy” ogrzało ściany.

Za oknem - naiwny, marcowy, nie, już kwietniowy śnieżek. Doskonały dzień do pracy. Syreny milczą.

Zapewniają nas, że za dwa, trzy dni będziemy już mieli w naszym gmachu światło z „dynamka”. Nie chce się wprost wierzyć w takie szczęście..!

### *4 kwietnia 1942 roku*

Wściekły nalot. Pierwszy w tym roku. Znow, jak pół roku temu, dygotały domy: trzask i łoskot.

Profesor P., który niósł mi w upominku obiecany maleńki globus, omal nie zginął.

Staliśmy na korytarzu na pierwszym piętrze - zawsze tam bezpieczniej.

Szóstego kwietnia połowa Instytutu wyjeżdża do Piatigorska. Uplanowałam sobie, że pojedę z nimi do Moskwy, pozalutuję swoje sprawy (sporo się już nzbierało) i wrócę samolotem. Jak się jednak wyjaśniło, pociąg ze studentami wcale nie będzie przejeżdżać przez Moskwę.

Teraz zarysowuje się możliwość podróży samolotem, razem z Gruzdiewem.

Wczoraj przemawiałam i czytałam wiersze w pierwszym pułku łączności. I chociaż słuchacze ustawieni byli plutonami, słuchali mnie dobrze.



Bardzo się zmęczyłam: czoło pokryło się potem, zaczęły mi drętwieć ręce. Czytanie na głos przychodzi mi z coraz większym wysiłkiem. Oprócz tego sala była wyjątkowo nieodpowiednia: długa, wąska jak wąz strażacki. Musiałam bardzo wyęźać głos, żeby mnie słyszano w dalszych rzędach. Za to cisza na sali była zupełna.

Zaprowadzono mnie potem do pułkowej sali jadalnej. Bardzo się ucieszyłam.

Podano mi głęboki, wypełniony po brzegi talerz dymiącego kapuśniaku z mięsem. Zaledwie jednak zanurzyliśmy w nim łyżkę, przybiegł ktoś i powiedział, że odjeżdża samochód osobowy w kierunku naszej dzielnicy Piotrogradzkiej i że jeśli natychmiast nie pojedę, będę później musiała wracać na piechotę.

Co miałam robić? Dawno już nie widziałam takiego kapuśniaku i to w takich ilościach, ale wracać piechotą... Trzeba było jechać. W drodze powrotnej, na ciemnym skrzyżowaniu dróg, o mały włos nie zderzyliśmy się z ciężarówką... Na naszych nieoświetlonych ulicach takie wypadki zdarzają się dosyć często.

## *7 kwietnia 1942 roku*

Bardzo ciężki dzień.

Zaczęło się z samego rana. Przyszedł Nikołaj Iwanowicz i powiedział, że w bursie jedna ze studentek zachorowała na tyfus plamisty. Nieszczęsny I. D. osunął się na krzesło. Przez cały czas obawiał się właśnie czegoś takiego.

Przedtem jeszcze przyszła Eufrosinja Iwanowna i powiedziała, że mąż jej .umarł. Dałam jej trochę chleba - zadatek na trumnę. Odeszła nie napaliwszy w piecu. Pomógł mi w tej czynności tapicer z naszego Instytutu. Pracował u nas przez cały dzień: zawieszał zasłonę dzielącą pokój na dwie części.

Nakarmiłam tapicera.

Dziewczyna Wiera, która przynosiła nam menażki z kuchni, ewakuuje się jutro z Instytutem. Zamiast niej przyszła inna dziewczyna, Niura, taka głodna, że od razu musiałam jej dać kaszy.

Przyszła Julia Markowna Hefter ze złamaną ręką. Częstowałam ją herbatą.

Julia Markowna jest biochemikiem, profesorem uniwersytetu. Niedawno pośliznęła się na ulicy i upadła. Złamała przy tym co prawda rękę, ale od razu po wypadku zrobiła się jakaś weselsza: nie chciała wyjeżdżać z Instytutem. Obecnie ma wszelkie dane, żeby pozostać w Leningradzie. Przyszedł głodny I. D. Nakarmiłam go obiadem. Przyszła pożegnać się dziewczyna Wiera, też głodna. Dałam jej kaszy. W perspektywie mam biedną, zmęczoną i głodną Mariettę oraz znowu głodnego I. D.

Mimo wszystko zdążyłam popracować. Pokój, w którym obecnie mieszkamy, to jedna z pracowni naukowych. Na ścianach wiszą jeszcze .tablice i wykresy I. D.: praca lekarza wiejskiego, śmiertelność dzieci w pierwszych miesiącach życia itd. Pokój jest obszerny. Zajmujemy tylko tę część, w której stoi

piecyk. Druga połowa zavalona jest tablicami szkolnymi, ławkami, kałamarzami i pałeczkami do wskazywania. Na naszym korytarzu są jednak pracownie, w których jeszcze teraz odbywają się ćwiczenia uniwersyteckie. Teraz jest tam już cieplej, ale ćwiczenia odbywały się również zimą, kiedy profesorowie i studenci - wszyscy w futrach - cisnęli się do piecyka.

Pewnego razu, w styczniu, przechodząc o zmierzchu przez korytarz widziałam, jak dziewczyna-studentka, która została sama w pracowni, całym ciałem przylgnęła do ledwo ciepłego, okrągłego piecyka. Objęła go obydwoma rękami, przytuliła się czołem do blachy. Posiedziała tak chwilę z zamkniętymi oczami, a potem przesiadła się znów pod zimne okno, przez które przesączało się światło zachodzącego słońca. Znowu do książki. W tym samym miesiącu, nie o zmierzchu jednak, lecz późnym wieczorem, musiałam koniecznie zajrzeć do Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej. Chciałam znaleźć pewne dane o Leningradzie. Zeszłam na dół do gabinetu, gdzie w zamkniętej na klucz szafie znajdowała się encyklopedia.

Wchodzę, a w gabinecie - dyżurni gmachu - student i studentka. On ulokował się na krzesłach koło piecyka. Ona (nie domyśliłam się nawet z początku, że to dziewczyna), opuchnięta, w męskiej szubie, w czapce, w wypukłych okularach krótkowidza, przygotowuje się przy świetle kaganka do kolokwium z histologii.

Marietta opowiadała mi później, że studentka ta pochowała tego właśnie dnia jednocześnie ojca i matkę.

Ojciec umarł kilka dni wcześniej, ale matka powiedziała: „Poczekaj, pochowasz nas razem.”

Ciężka sprawa z chorymi. Woda jest niezbędnie potrzebna, a dotychczas jeszcze jej nie ma. Tyle czasu już się męczą i nie mogą się zorientować, dlaczego woda nie dochodzi. Albo gdzieś zamarzała (choć wszystko taje), albo pocisk uszkodził rury.

## *8 kwietnia 1942 roku*

Dziwaczny, pełen wzruszeń dzień. Przez całą noc Instytut przygotowywał się do ewakuacji.

Wybieraliśmy się na dworzec, ale w ostatniej chwili nasze zamiary spaliły na panewce z powodu samochodu. Nie pożegnaliśmy się ani z Nikołajem Iwanowiczem, ani z Aloną - w ogóle z nikim. Listy, które zamierzałam przez nich przekazać, zostały w domu.

I. D. wygląda strasznie. Ledwo chodzi, kuleje. Najstraszniejsza jednak jest - twarz. Nigdy chyba nie widziałam takich barw na twarzy ludzkiej: popielatożółta z jaskrawoczerwonymi plamami na kościach policzkowych.

Płakać mi się chce z żalu.

## 9 kwietnia 1942 roku

Spokojna noc i spokojny - pod każdym względem - początek dnia.

Instytut przypomina ul, z którego wyleciała połowa pszczoł. W pracowniach przy naszej katedrze nie ma nikogo. Eufrosinja chowa męża. I. D. podpierając się laską i z wysiłkiem stawiając chorą nogę poszedł na dół. Cisza.

Za oknem zwyczajny, szarawy dzionek. Wszystko zalane jest wodą, wszystko taje. Jakiś ptaszek skacze na gałązce i kręci główką. Ćwierka nawet. Cisza jest taka, że słysząc go przez szybę. Śnieg oddaje ostatnie tchnienie.

I. D. słusznie powiedział, że wiosną - spośród żyjących istot - syte będą w Leningradzie jedynie rośliny: tyle wody.

Wczoraj o zmierzchu poszliśmy z I. D. do bursy studenckiej, gdzie zdarzył się wypadek tyfusu plamistego. I. D. nie pozwolił mi wejść razem z nim, poszedł sam. Czekaając na niego zrobiłam mały spacer.

Przeszłam przez Most Grenadierski tam i z powrotem. Miasto wyglądało przerażająco. Wymarłe ulice, ruiny, zionące pustką podwórza, na wpół rozwalone, wiszące w powietrzu ściany, pustkowia zalane wodą. Pojedyncze postacie ludzkie. Nieuporządkowana, płynąca wiosna.

Wczoraj z ostatnim transportem przed ruszeniem lodów na ładodze, wyjechała Lola z Inną. Dina Osipowna umarła.

Jakże abstrakcyjnie brzmiały słowa: „Lód ruszył na ładodze” w połowie maja zeszłego roku, kiedy wychodziliśmy z jasnego, ciepłego i pełnego muzyki teatru, gdzie czarowała nas powiewna Ułanowa w „Romeo i Julii” i triumfowała Bałabina w „Don Kichocie”!

Wychodząc z teatru, pijani muzyką, rozgrzani ciepłym wdziękiem ruchów, zaczynaliśmy marznąć w oczekiwaniu tramwaju, otulaliśmy się płaszczami i ustawiali plecami do wiatru. Dokoła wszyscy mówili: „Lód ruszył na ładodze. Dlatego tak zimno”. W naszej wyobraźni pojawiał się jakiś wytworny, baletowy lód, cały w srebrze i kolorowych błyskotkach. Lód ten płynął kołyszając się i ginął w niebieskich falach. A teraz...

## W dzień

Zdaje się, że pojutrze rano lecę do Moskwy. Spraw – bez liku!...

## *10 kwietnia 1942 roku*

Obudziłam się w nocy z uczuciem takiego niepokoju i tęsknoty, że omal nie przestało mi bić serce.

I. D. ledwo chodzi, wygląda strasznie, marnieje prawie w oczach, w zastraszającym tempie. W szpitalu sprawy stoją coraz gorzej. Na domiar wszystkiego ten wypadek tyfusu plamistego. Całe szczęście, że pojedynczy. Może na tym się skończy.

Są również dobre nowiny: nasi doskonale załadowali się na ciężarówki. Teraz znajdują się już dawno na drugim brzegu Ładogi. Nie ulega wątpliwości, że nie będą zmuszeni wracać. A tak się tego obawiali...

(Słyszę, że piecyk mój zaczyna się jak gdyby rozpalać. Eufrosinja Iwanowna wciąż jeszcze na pogrzebie męża).

W szpitalu w dalszym ciągu nie ma wody. Nasi pracownicy gospodarczy, nie mając planu sieci wodociągowej (nie mogą go znaleźć nawet w zarządzie miejskim), wypróbują po kolei wszystkie krany i zbiorniki, rozgrzewając je resztkami cennego oleju mineralnego.

Potem okazuje się, że wszystko na próżno, że wody nie ma, że rozgrzali jakiś nikomu niepotrzebny zbiornik. Zresztą, czyż mogło być inaczej? Z równym powodzeniem można by nakłuwać na oślep ciało ludzkie, w nadziei natrafienia na właściwą żyłę.

Na moim stole stoi upragniony i niedostępny, mały szkolny globus, który otrzymałam w podarunku. Okolice Antarktydy pokryte są gęsto pleśnią (globus znajdował się przez całą zimę w nie opalanym, rozwalonym podczas bombardowania mieszkaniu).

Nakreśliłam na nim malinowym ołówkiem „swój” południk. Niestety, nie wiem, kiedy dane mi będzie znów się z nim zetknąć. Wczoraj napisałam tylko dwie strofy.

Myśl, że jutro mogę znaleźć się w Moskwie, wydaje mi się szczytem fantazji. Najprawdopodobniej jednak nie nastąpi to jeszcze jutro.

## *13 kwietnia 1942 roku*

Uwagę wszystkich zaprzęta teraz „dynamko”. Jeśli tylko zaczną pracować, „odmrozi się” pralnię i uruchomi gabinet rentgenologiczny, bez którego szpital nie jest szpitalem. Gdyby zaczęło pracować... Na razie jednak nie pracuje...

W uruchomieniu „dynamka” bierze udział nie tylko cały nasz personel techniczny, lecz również sekretarz komitetu dzielnicowego partii, Zygałski, z wykształcenia inżynier-elektryk.

Przychodzi tu co dzień. Co dzień widzę przez okno, jak grupa zafrasowanych ludzi przechodzi przez podwórze w kierunku szopy, stojącej między kotłownią a oddziałem gruźliczym, w której znajduje się uparte dynamo.

Ludzie gestykują: rozróżniam drobne, świdrujące ruchy palców, naciskanie na dźwignie, kreślenie w powietrzu. Ktoś żałośnie rozkłada ręce: widać wyraźnie, że brakuje jakiejś części. Trwa dyskusja nad problemami związanymi z puszczeniem w ruch „dynamka”. Żygalski zdobywa potrzebne części. Wciągnął do pracy fabryki ze swego rejonu. Sam dozoruje wykonania, boryka się z różnymi trudnościami.

### *15 kwietnia 1942 roku*

Jeszcze jestem tutaj. Zaczęły się roztopy - „nielotne pole startowe” - i samoloty nie odlatają. W mieście spokój, na frontach - również.

Ewakuacja zakończyła się. Przejazd przez Ładogę stał się już niebezpieczny. Jesteśmy w całym tego słowa znaczeniu odcięci od Wielkiej Ziemi: lód już nie trzyma, wody jeszcze nie ma.

Sypiam źle: cisza mnie dobija. Ostrzeliwania ustały niemal zupełnie, przynajmniej w naszym rejonie. Nawet nasze samoloty nie latają, chyba również z powodu roztopów.

O zachodzie słońca spacerowałyśmy z Marietta po Grenadierskim Moście. Jest już oczyszczony. Zwały śmieci, zrzuconych na dół, leżą na lodzie Newki. Gdy tylko ruszy kra, woda zanieśie nieczystości do morza.

Wczoraj po raz pierwszy czytałam misteria Byrona w przekładzie Bunina. Choć, formalnie rzecz biorąc, przekład odbiega zapewne bardzo od oryginału, to jednak jestem przekonana, że w istocie swej jest nadzwyczaj wierny. To właśnie jest wspaniałe.

### *18 kwietnia 1942 roku*

Uplłynął termin przeznaczony na sprawdzenie wypadku tyfusu plamistego. Tyfus się nie powtórzył. Chora studentka wyzdrowiała. I. D. przypuszcza - już dawno zresztą tak sądził - że była to jakaś inna choroba.

Poszliśmy dziś z Mariettą do bursy, żeby zobaczyć, jak wygląda sprawa czystości.

W korytarzach, gdzie leżały niegdyś chodniki i stały plecione meble, jest teraz głucho i śmiertelnie zimno. W jednym miejscu, jak na urągowisko, wisi jeszcze termometr.

Zajrzałyśmy na chybił trafił do jednego z pokojów, którego mieszkańcy przystąpili akurat w tym momencie do rąbania okrągłego mahoniowego stołu. Odrąbana noga płonęła już w piecyku. Jeden ze studentów zajęty był rozpalaniem. Inny, siedząc na podłodze koło ognia na okrągłym blacie od stołu, czytał na głos. Studenci przygotowywali się do egzaminów końcowych. Byli w szubach i czapkach.

Zimne, lecz jasne już słońce oświetlało ich blade, chude i dawno nie myte twarze. A jednak, mimo wszystko, egzaminy zdają doskonale. To zadziwiające!

Udałyśmy się na poszukiwanie komendanta bursy, studenta ostatniego roku, i znalazłyśmy go w stosunkowo ciepłym, gęsto zastawionym meblami pokoiku. Komendant siedział przy piecyku, nie w szubie nawet, lecz w watomanej kurtce, i poruszając powoli odmrożonymi palcami, reperował zegarek. Na stole leżały kółka, strzałki i maleńkie odkrętki.

Komendant był chory na szkorbut, z którym nie mógł skutecznie walczyć. Widać było, że wyczerpały go już zupełnie korytarze i rąbanie mebli. Dlatego cały zagłębił się w spokojnym grzebaniu się w kółkach, siedząc koło piecyka, w promieniach wiosennego słońca.

Niemniej uzyskałyśmy od niego odpowiedzi na wszystkie pytania. Zawiadomił nas nawet, że studenci postanowili zorganizować pranie bielizny.

Wracając do domu zeszyłyśmy na lód naszej Karpowki i poszłyśmy między brzegami, na których leżą góry śniegu i śmieci. Dobrze, że jesteście takie lekkie. Pod nami, pod lodem, można już było wyczuć płynącą wodę.

Wszystko błyszczało i lśniło. Lód mroził nam nogi przez podeszwy, oczy zaś piekły od blasku śniegu. Byłyśmy jak gdyby zanurzone w głębokiej wannie, pełnej lodu i słońca.

## *19 kwietnia 1942 roku*

Byliśmy w Ogrodzie Botanicznym.

Tichomirow i Kumaków oprowadzili nas po całym ogrodzie i pokazali martwe palmy. Było mi niewymownie przykro, że nie widziałam ich żywych. A przecież wybieraliśmy się co niedziela.

W jednym z budynków Instytutu Botanicznego ujrzałyśmy na kamiennej ścianie czarną kresę - poziom wody w strasznym dniu powodzi w 1824 roku (rok „Jeźdźca Miedzianego”). „Poziom nieszczęść” 1941 roku jest o wiele, wiele wyższy. Przechodzi ponad naszymi głowami, na wysokości martwych wierzchołków palm.

Tichomirow opowiadał nam także o rzadkiej kolekcji cebulek tulipanów, które zgłodniali ludzie wykopali na zupę. Jednego z nich złapano na gorącym uczynku: usiłował wynieść cebulki w torbie od maski przeciwgazowej. Czy było to jednak przestępstwem podczas tak strasznej zimy?

Wspaniałe było opowiadanie Tichomirowa o „ataku czołgów”, który odparł we wrześniu 1941 roku, być może tego samego dnia, kiedy ugrzęźliśmy w bezładnej kolumnie ciężarówek na rogu Piesocznej i Aptekarskiego Prospektu.

Był to jeden z dni generalnego szturmu Niemców na Leningrad. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero teraz. Grupa naszych czołgów, którą Niemcy bombardowali z powietrza, szukała osłony.

Czołgi były już u bram Ogrodu Botanicznego i tłocząc się wjeżdżały niemal do środka. Jeszcze chwila - i nastąpiłaby zagłada bezcennych drzew, takich na przykład, jak słynna, czarna topola - posadzona jeszcze przez Piotra I.

Tichomirow rzucił się na spotkanie niebezpieczeństwa. Dowódca kolumny nie chciał o niczym słyszeć: czołgi szły naprzód. Tichomirow krzyknął:

- Dwieście lat ludzie pielęgnowali ten ogród, a wy zniszczycie go w kilka minut!

Zdanie to otrzeźwiło dowódcę. Wyobraził sobie widocznie owe dwieście długich lat i powstrzymał się na chwilę, a kto zatrzymuje się podczas natarcia - przechodzi do odwrotu.

Odwrócił się do swych czołgistów i wydał rozkaz:

- Z powrotem! Pozycja się nie nadaje.

Czołgi odjechały i ustawiły się wzdłuż Newki, pod zwisającymi nad ogrodzeniem gałęziami drzew.

Obejrzelśmy budynek główny, w którym mieści się herbarium, jedno z największych na świecie - około pięciu milionów roślin. Na ścianach wiszą „róże wiatrów”, izotermie i izobary - tajemnicze wichry, pędzące dokoła naszego globu.

Podeszłam do jednej z szaf, wyciągnęłam pierwszą z brzegu szufladkę i, trzeba trafić, znalazłam w niej roślinę mej młodości - piołun z wybrzeża Morza Czarnego, właśnie tę odmianę piołunu. A przecież odmian jest wiele - kilkadziesiąt. Trzeba mieć dużo szczęścia, żeby wśród pięciu milionów roślin natknąć się od razu na przyjaciela lat dziecięcych.

Mój piołun nosi dźwięczną nazwę łacińską „*Artemisia inodorata*” - „niepachnący”. To nieprawda: czarnomorski piołun pachnie - chociaż nie tak mocno jak inne piołuny. Długo stałam nad nim.

Wróciłam do domu zmęczona, lecz zadowolona, z pierwszym tomem historii Instytutu Botanicznego.

*22 kwietnia 1942 roku*

*Moskwa*

Jestem w Moskwie. Przyleciałam wczoraj.

*23 kwietnia 1942 roku*

*Moskwa*

Telegram od I. D.: „Uruchomiliśmy pralnię i rentgen”. Nareszcie!

*25 kwietnia 1942 roku*

*Moskwa*

Jestem bezgranicznie zmęczona. Z rozczuleniem wspominam swój skórzany fotel pod oknem, wychodzącym na ogród szpitalny. Boję się bardzo o I. D.

Otrzymałam telegram od Żanny. Biedne dziecko marzy o moim przyjeździe do Czystopola lub o swoim do mnie.

Moje sprawy literackie stoją doskonale, lecz 24 kwietnia w Leningradzie był wielki nalot. Dręczy mnie to bardzo.

Byłam wczoraj u Erenburgów. Przypomniały mi się dalekie czasy młodości. Paryż. Pokój w hotelu, maszyna do pisania, ciepło „koczowniczego ogniska”. Lekkie i bardzo pracowite życie.

Nikt chyba nie pracuje tyle co Erenburg. Pisze po trzy artykuły dziennie, a wieczorem wypija kieliszek wina z pięknej karafki i wypala cygaro, z którego pozostaje długi, niebieski popiół. Następnie wkłada żółte palto z wielbłądziej wełny, bierze na smycz czarnego terriera Buzę i idzie z nim na spacer. Potem wyjeżdża do „Czerwonej Gwiazdy”<sup>15</sup>, gdzie pisze i słucha, jak Goebbels wymyśla mu przez radio za żydowskie pochodzenie.

Wraca o drugiej w nocy. Rankiem wszystko zaczyna się od nowa.

Czasami spaceruje z Buzą we wczesnych godzinach, zanim zasiądzie do pracy. Wtedy widzę go ze swego okna.

Mieszkam teraz również w hotelu: moje mieszkanie nie nadaje się do użytku. Wody nie ma, zimno, dach przecieka, a najważniejsze - nie ma windy. Mieszkam w hotelu, jak cudzoziemka. Siedząc tak w pokoju, na dziewiątym piętrze, widzę w dole, w głębi podwórza, zmniejszoną przez odległość, lecz ostro, wyraźnie zarysowaną sylwetkę mężczyzny i miniaturową figurkę psa. Wszystko to jest nie większe od winietki na książce.

Erenburg ofiarował mi odznakę „Wolnej Francji”: na niebieskim tle czarna, łacińska litera „V” („Victoire” - zwycięstwo), a na prawym ostrzu tej litery czerwony grzebień koguta galijskiego.

*15 maja 1942 roku Moskwa*

Pisanie o Moskwie przychodzi mi z trudnością, tak różni się ona od Leningradu. Jakie zresztą miasto jest teraz do niego podobne? Dopiero tu poczułam, jak jest mi drogi i bliski... Chcę w nim mieszkać, dzielić z nim jego losy, oddać mu wszystkie siły.

---

<sup>15</sup> „Czerwona Gwiazda” – dziennik, organ Ministerstwa Sił Zbrojnych (przyp. tłum.).



*20 maja 1942 roku*

*Leningrad*

Wracając z Moskwy, lądowaliśmy po drodze w Chwojnej. Natychmiast podjechała do naszego samolotu ciężarówka z benzyną i „Douglas” długo ją pił brezentową trąbą.

Purpurowy jak borówki zachód słońca rozlewał się nad sosnami. Suche, mocne, wiosenne zapachy lasu były jak kryształowy napój, którym nie można się nasycić.

Ładogę przecięliśmy w ciągu siedmiu minut. Jezioro uwolniło się już z lodów, jedynie linie piany zachowały gdzieś zarysy kry.

Okrążyliśmy parokrotnie lotnisko koło Smolnego i w końcu wylądowaliśmy. Cisza, charakterystyczna, nie dająca się określić cisza oblężonego miasta od razu przeniosła nas z atmosfery moskiewskiej w leningradzka.

Na lotnisku nie było ani jednego samochodu osobowego. Zabrała nas ciężarówka, która odwoziła do miasta pocztę dostarczoną przez samolot.

Nim wyjechaliśmy na szosę, patrol dokładnie sprawdził nasze dokumenty. Minęliśmy zburzoną wskutek wybuchu Rzewkę. Przed nami przeciągnął sznur ulic. Było bardzo chłodno. W poświacie białej nocy mżył chwilami drobny deszczyk. Kobieta-szofer prosiła o mały choćby kawałek cukru dla dziecka. Niestety, pod ręką mieliśmy tylko tytoń i kromkę chleba.

I. D. odpoczywał, gdy zastukałam w korytarzu do drzwi. Na stole leżały zachowane dla mnie, nietknięte podarunki, które przysłał Nowozelandzki Czerwony Krzyż.

Miejsce naczelnie zajmowała duża blaszana puszka, z żółtymi, purpurowymi, fioletowymi karmelkami, gładkimi i w prążki. Karmelki były tak bajecznie kolorowe i miłe dla oka, że po prostu szkoda było jeść. Okazało się jednak, że nie zawierają w sobie nic prócz sacharyny i chemikalii.

Trzeba będzie przyłożyć się do pracy, żeby odrobić czas stracony w Moskwie. Tyle tam było spotkań i wrażeń. Dzień mijał, zanim się człowiek zdążył obejrzeć. Trudno się było przyzwyczaić do tego, że można bez obawy chodzić po ulicach. Wszyscy chciwie słuchali opowiadań o Leningradzie, pytania sypały się jedno po drugim.

*23 maja 1942 roku*

Młoda robotnica pisze do swej przyjaciółki na froncie o wiosennym sprzątanii w Leningradzie: „I na 1 Maja nasze miasto zabłysło jak drogi kamień”. I dalej: „Zebrałam dziewczęta i mówię: - Słuchajcie, dziewczęta, w takich warunkach nie wolno nam pracować według normy. Musimy pracować ponad normę!”

Nasze posiadłości szpitalne również- zostały uprzątnięte i doprowadzone do porządku. Zmieniły się nie do poznania. Mówią, że teraz jest nawet ładniej niż przed wojną. Odwieczne kupy śmiecia na pustkowiach ustąpiły miejsca ogrodowym grządkom.

W jednopiętrowym budynku stołówki studenckiej otwarto obecnie „stołówkę intensywnego odżywiania”. Jest ich kilka w każdej dzielnicy.

Błdzi, wycieńczeni i osłabieni ludzie (dystrofia II stopnia) powłócząc nogami ciągną powoli do stołówek. Marszczą twarze w wiosennym słońcu, dziwiąc się jak gdyby sami, że pozostali przy życiu. Czasami siadają, by odpocząć, i wystawiają na promienie słoneczne obnażone po kolana nogi lub odsłonięte po łokcie ręce - słońce goi ranki szkorbutowe.

Są jednak tacy, którzy nawet chodzić już nie mogą (dystrofia III stopnia). Leżą nieruchomo w swych wyziębionych przez zimę mieszkaniach, do których wiosna nie może się przedostać.

Do takich mieszkań udają się młodzi lekarze, studenci medycyny, pielęgniarki. Krańcowo wycieńczonych wywozi się do szpitali: w naszym przygotowano dla nich około dwóch tysięcy łóżek w różnych budynkach, między innymi w klinice położniczej. Dzieci rodzi się teraz mało, nie ma ich prawie wcale.

Zarówno nowe stołówki jak i wizyty lekarzy po mieszkaniach - wszystko to jest dziełem A. A. Żdanowa.

## *24 maja 1942 roku*

Znów odwiedziłam siostry Miendielewe w Instytucie Pediatrycznym w dzielnicy Wyborskiej. Męczeńska dzielnica...! Kiedy pociski lecą ponad naszymi głowami w tamtym kierunku, mówimy zatroskani:

- Znowu do Julii Aronowny.

Instytut rzeczywiście znajduje się w bardzo niebezpiecznym miejscu: po lewej stronie fabryka, w której wyrabiają miny, po prawej - koszary. Tuż obok - wiadukt Fińskiej Linii Kolejowej Są to punkty orientacyjne artylerii niemieckiej.

Siostry Miendielewe - wszystkie trzy - nie są już młode. Wszystkie są lekarzami i ukończyły ten sam Pierwszy Instytut Medyczny.

Najstarsza siostra, Julia Aronowna, jest już od wielu lat dyrektorem Instytutu Pediatrycznego. To dzieło jej rąk, pracą całego życia.

To całe miasteczko, podobnie jak nasz Pierwszy Instytut Medyczny. Pielęgnują tu zdrowe dzieci i leczą chore. Dają im soki owocowe z własnego wzorowego gospodarstwa pomocniczego. Udzielają porad matkom, kształcą nowe kadry lekarzy chorób dziecięcych.

Przy Instytucie znajduje się klinika dla chorych na gruźlicę.

Mali pacjenci tak szybko przychodzą w niej do zdrowia, że matki nie poznają ich i niemal skarżą się Julii Aronownie, iż pozamieniano im dzieci. Tak było przed wojną. Klinika nie przestała pracować nawet podczas wojny, chociaż „normy” mleczne są bardzo ograniczone: wszystkie oddziały otrzymują łącznie 200 gramów śmietanki na dobę. Rozdziela się ją dosłownie po kropelce.

Do tego dodaje się jednak mleko sojowe i mleko w proszku, rozpuszczone w wodzie. Mimo wszystko większość dzieci wygląda dobrze, a niektóre nawet doskonale.

Arkasza Fiedotow był w zimie tak osłabiony i cichy, że przygotowano już dla niego „świadcstwo zgonu”. Wydawało się niemożliwe, by dziecko wyżyło. Teraz jest to różowy, pulchny chłopczyk, który krzyczy najgłośniejszym głosem ze wszystkich

Bardzo dobrze wygląda także Jura Zołotoj. Matka zmarła przy porodzie. Ojciec - na froncie. Píše listy z podziękowaniami.

W jasnych pokojach stoją meble trzech wielkości (zależnie od wieku dzieci): maluteńkie, małe i niewielkie. Jak w bajce.

Przyszliśmy z rana. W nocy był wyjątkowo silny ostrzał terenu Instytutu. Wierzchołki topoli zostały ścięte jak gdyby nożem. Kawały zerwanej z dachów blachy zawisły na gałęziach. Wyleciało 3 000 metrów kwadratowych szyb, które niedawno wstawiono po poprzednim ostrzale.

Julia Aronowna zaprowadziła nas do długiej sali z oknami po dwóch przeciwległych stronach, gdzie wzdłuż ścian wisały dwa rzędy portretów: Cuviera, Woltera, Napoleona, Newtona, Rousseau, Darwina i jeszcze czyjeś. Okazuje się, że wszyscy ci ludzie urodzili się jako niedonoszeni. Wychuchano ich w rozmaity sposób - jednego w dużym kuflu od piwa, wyłożonym wełną, innego znów w watomowanym rękawie.

- A któż może wiedzieć, ilu zginęło? - powiedziała Julia Aronowna. - Z całą pewnością mogło ich być znacznie więcej.

W Instytucie istnieje jedyny tego rodzaju oddział dla niedonoszonych. Chucherko, które ważyło po urodzeniu 650 gramów i było mniejsze od zwykłej butelki na mleko - co uwidoczono na fotografii - już kiedy miało rok, otrzymało pierwszą nagrodę na konkursie zdrowych dzieci.

Niedonoszone dzieci karmi się specjalną sondą ze szklanym lejkiem. Umieszczona na niej niteczka wskazuje, do jakiej głębokości można wpuścić sondę do żołądka. Nieco głębsze opuszczenie, chociażby tylko o odrobinę, grozi żółtaczką.

Laboratorium Instytutu (pocisk uderzył tuż obok) doprowadzano przy nas do porządku: usuwano rozbite przyrządy, wymiatano skorupy, ścierano grube warstwy kurzu. A przecież dopiero w przeddzień ustawiano to wszystko na nowo po ciężkiej zimie.

Zimą w laboratorium było minus 10 stopni: praca była niemożliwa. Przeniesiono je do sąsiedniego maleńkiego pokoiku z piecykiem, gdzie ogrzewano najbardziej wrażliwe na zimno odczynniki.

Laboratorium zajmowało się w zimie między innymi destylacją pokostu, znajdującego się wśród zapasów Instytutu (gospodarna Julia Aronowna kazała go kiedyś przygotować na czystym oleju

Inianym). Olej ten wydobyto z pokostu drogą chemiczną (180 kg) i rozdano pracownikom Instytutu do jedzenia.

Obecnie trwają tu przygotowania do nowego remontu. Pomyślałam sobie, czy wobec tego pomysłowi laboranci nie zrobią jeszcze raz pokostu z resztek oleju.

Ani jedno dziecko nie ucierpiało podczas ostrzału. Wszystkie zostały zaniesione do schronu wraz ze swymi materacykami. Nieoczekiwanie zgasło światło i zanim je naprawiono, dzieci powtarzały bez przerwy, leżąc w ciemnościach:

- Jesteśmy tu! Nie nastąpcie na nas!

Nocy tej, też w schronie, urodziło się troje dzieci: dwie dziewczynki i chłopczyk Wiktor, który ważył 2500 gramów.

#### *4 czerwca 1942 roku*

Byliśmy dziś z W. G. Garszynem u Iliina, starego kartografa. Jest on także numizmatykiem i kieruje działem numizmatyki w Ermitażu.

Po wejściu do jego maleńkiego pokoju na parterze Ermitażu ogarnęła mnie dziwna nieśmiałość. Wydało mi się, że znowu jestem uczennicą, że wywołają mnie za chwilę do ślepej mapy i każą wyliczyć dopływy Wołgi. Na szczęście nie doszło do tego.

Zresztą specjalnością Iliina nie są rzeki, lecz góry. Okazuje się, że góry na mapie - to rzecz najbardziej trudna i odpowiedzialna.

Staruszek ma osiemdziesiąt sześć lat, jest na wpół sparaliżowany, podtrzymuje głowę ręką. Lewa, nie sparaliżowana część twarzy pozostała piękna dotychczas. Widać, że był to człowiek rzadkiej urody.

Profesor Iliin opowiedział nam, że przeniesiono go do tego pokoju na samym początku blokady i że codziennie dostarczano mu wiązkę drzewa z ostatnich zapasów muzeum. Jeśli chodzi o światło, to na jego biurku stale paliła się lampa elektryczna. Prądu dostarczał jeden z okrętów wojennych, przycumowany na zimę do nadbrzeża Newy koło samego Ermitażu.

Zapytałam, gdzie znajduje się teraz dział, którym kierował profesor. Odpowiedział, że dział został wywieziony z chwilą, gdy miastu zaczęło grozić niebezpieczeństwo nalotów lotniczych.

- A dlaczego zostaliście? - spytałam.

- Dokąd miałem wyjeżdżać? Mam osiemdziesiąt sześć lat, jestem stary, a moje kolekcje są wiecznie młode. O nich należało pomyśleć przede wszystkim.

Dodał potem, że zwracano się do niego wielokrotnie z propozycjami wyjazdu, a nawet nalegano. Odmówił jednak, ponieważ posiada w Leningradzie własną, niewielką co prawda, lecz bardzo cenną

kolekcję starych monet rosyjskich, którą zapisał już w testamencie Ermitażowi. Należy ją jeszcze ostatecznie uporządkować, czym właśnie zajmuje się obecnie.

Staruszek z wysiłkiem wstał z czeczotowej kanapy i drżącą ręką otworzył szufladę biurka, w której leżały obok siebie monety i medale, poprzekładane gazetami. Między innymi były tam maleńkie srebrne monetki, wielkości rybiej łuski - jedne z pierwszych rosyjskich rubli.

Zwróciłam uwagę na pewną znacznie późniejszą półrublówkę żółtawego koloru.

Iliin wytłumaczył mi, że półrublówka ta leżała na miedzi i że srebro jest bardzo wrażliwe na tego rodzaju sąsiedztwo, jak zresztą wszystkie metale. Jedynie czyste złoto nie jest wrażliwe na wpływy i nigdy nie ulega zmianom.

Na pożegnanie Iliin raz jeszcze pochwalił swój pokój i powiedział, że umyślnie zrezygnował z radia, żeby nie słyszeć alarmów –i nie denerwować się przed czasem.

Po wyjściu z Ermitażu poszliśmy z Garszynem wolnym krokiem wzdłuż zalanego słońcem nabrzeża. Uderzyło mnie, że na najbliższym okręcie wojennym - (czy to czasem nie ten, który dostarczał prądu do profesorskiego pokoju?) stali przy zenitówkach marynarze w hełmach. W oddali, na moście zastygł nieruchomo tramwaj. Nabrzeże było puste. Zrozumieliśmy wówczas od razu, że trwa alarm lotniczy, o którym nic nie wiedzieliśmy, ponieważ u Iliina nie było radia.

Napisałam dla zagranicy reportaż o Iliinie pod tytułem „Czyste złoto”.

## *12 czerwca 1942 roku*

Wczoraj późnym wieczorem wyszliśmy z I. D. na spacer. Srebrne balony zaporowe lekko wznosiły się w powietrzu i jak gdyby rozpyły się w bladoróżowym niebie. Wzdłuż Ogrodu Botanicznego, koło Newki, zaczynają już kwitnąć lipy. Zapach ich zabija odór gnijących odpadków, których nie zdołano jeszcze całkowicie uprzątnąć.

W drewnianym domku, obok komisariatu milicji, na drugim brzegu Karpowki zjawił się patefon ze zdobycznymi płytami. Młode milicjantki wychylają się z okna, żeby posłuchać muzyki.

Wracając do domu usłyszeliśmy w podwórzu koło stołówki studenckiej głośnik nadający ostatnie wiadomości: o podpisaniu dwudziestopięcioletniego paktu przyjaźni z Wielką Brytanią, o wizycie Mołotowa w Londynie i o decyzji w sprawie utworzenia drugiego frontu.

Reszty ostatnich wiadomości wysłuchaliśmy w sztabie naszego MPWO, gdzie w kącie, jak torby myśliwskie, wiszą maski przeciwgazowe, na ścianie - plakaty z typami bomb, a na stole, zamiast podstawki na pióra i ołówki, stoi niewielka, bardzo dziwnie poszarpana bomba zapalająca, przymocowana do czerwonej mutry strażackiej. W kącie, na stoliku - ośmiocalowy pocisk, który upadł na terenie szpitala i nie wybuchł. Obok znajduje się kawałek innego pocisku nowszej konstrukcji, składającego się z sześciu segmentów. Pociski te pozwalają ocenić, jak pracuje myśl ludzka nad sposobami zabijania.

Czy naprawdę nadejdzie takie szczęście: ludzkość obudzi się pewnego ranka, a Hitlera już nie ma!

### *22 czerwca 1942 roku*

Minął rok wojny. Komunikaty radiowe były dzisiaj zatrważające. Niemcy wbili się klinem w linie obronne Sewastopola. Na charkowskim odcinku frontu sforsowali północny Doniec, lecz zostali odparci.

### *24 czerwca 1942 roku*

Nareszcie, nareszcie - skończyłam trzeci rozdział „Pułkowo”.

Zaczęłam pisać ten rozdział 14 marca.

### *29 czerwca 1942 roku*

Niepokojące wiadomości radiowe: zjawił się „kurski odcinek frontu”. Niemcy zbliżyli się do Moskwy o sto kilometrów.

### *30 czerwca 1942 roku*

Przygnębiające komunikaty... Sewastopol trzyma się, ale widać, że sytuacja jest ciężka. Dzisiaj wyjaśniło się nieoczekiwanie, że cofnęliśmy się pod Wołchowem. I. D. mówi, że stoimy teraz mniej więcej na tym samym miejscu, co jesienią. Gdyby Niemcom udało się zająć Tichwin, to otoczyliby nas wówczas podwójnym pierścieniem blokady.

### *5 lipca 1942 roku*

Oddaliśmy Sewastopol. W Leningradzie mówią, że Niemcy skoncentrowali czołgi pod Tichwinem. Widocznie znów zamierzają rozpocząć natarcie na Leningrad.

Zginął Jewgienij Pietrow w drodze powrotnej z Sewastopola.

### *6 lipca 1942 roku*

Rok temu, mniej więcej o tej samej godzinie, odprowadzałam Żannę, wyjeżdżającą do Czystopola. Ostatni raz w życiu widziałam Miszeńkę.

### *8 lipca 1942 roku*

Groźne komunikaty. Anglikom źle się powodzi w Libii. U nas toczą się już walki o Woroneż. Moskwa znowu zagrożona. W Leningradzie panuje niepokój w związku z zakrojoną na szeroką skalę przymusową ewakuacją. Wydane zostało zarządzenie Rady Wojennej w sprawie wywiezienia z miasta wszystkich nieprzydatnych do obrony ludzi i ogłoszenia Leningradu miastem bronionym, „wraz ze wszystkimi wynikającymi z tego następstwami”. Dowiedziałam się wczoraj, że wszystkie okna na parterze zostaną przekształcone w strzelnice. Może to dziwne, ale wiadomość ta niezwykle mnie uspokoiła. Jak twierdza, to twierdza.

Coraz bardziej zaczynam cenić mojego I. D. Kiedy wszyscy triumfują bez uzasadnienia, on mówi: „Jeszcze za wcześnie!” Kiedy ktoś ulega panice, I. D. mówi: „Nie ma ku temu podstaw”. Wierzy głęboko w zwycięstwo, ale nie tylko dlatego, że pragnie w to wierzyć. Wie, że zwycięstwo nastąpi.

Uczy mnie być trzeźwą i mężną. Jasne, że wciąż jeszcze się boję, kiedy nad naszymi głowami strzelają zenitówki, a zwłaszcza kiedy gwizdzą pociski, chociaż gwizd ten jest właśnie dowodem, że śmierć przeleciała obok. I. D. jest znacznie mężniejszy ode mnie. Na zewnątrz jestem jednak prawie zawsze spokojna. A przecież tak się zaczyna prawdziwe męstwo.

### *9 lipca 1942 roku*

Wczoraj rano pojechaliśmy samochodem osobowym na przesmyk Karelski, w stronę Ładogi, do naszych studentek, które pracują przy budowie fortyfikacji obronnych. Letniska zbudowane z okrągłaków, werandy, domki z ogródkami, studnie - wszystko opustoszało. Przedwojenne życie dawno stąd odeszło. Na jakiejś skrzynce pocztowej siedziała w zamyśleniu para szpaków. Wydało mi się, że ptaki, wprowadzone w błąd pustką w skrzynce, wzięły ją za domek dla ptaków i zamierzały się w niej osiedlić.

Za miastem rozkwitał wspaniały lipcowy dzień. Uderzała obfitość kwiatów polnych. W ciągu ostatniego roku zapomnieliśmy niemal o nich. Aromaty lasów i pól zabijał jednak ostry zapach

benzyny, który długo nas prześladował, a właściwie mówiąc - wyprzedzał. Przed nami pędziła wojskowa cysterna z benzyną, w której zapomniano zakręcić kran. Drogocenny płyn wylewał się na szosę, która była tak pusta, że nikt nie mógł krzyknąć na dziarskiego kierowcę, żeby zatrzymał ciężarówkę.

Błądziliśmy dość długo, zanim wyjechaliśmy wreszcie prosto na namioty i baraki, w których mieszkali studenci. Właściwe tereny prac fortyfikacyjnych znajdowały się jeszcze dalej. Udaliśmy się tam na piechotę.

W oddali, w ciemnej leśnej zieleni lśniła łądoga. Oto gdzie wytyczona została nowa linia naszych umocnień obronnych! Oddalała się od miasta, w miarę jak odpychało ono od siebie Niemców. Trzeba powiedzieć zresztą, że i przedtem pierścień blokady wydłużał się najbardziej w tym kierunku. Przecież Leningrad nie znajduje się w środku pierścienia. W pobliżu fabryki im. Kirowa pierścień przylega ściśle do miasta. Tutaj jest na odległości 60 kilometrów. To nasza największa odległość od Niemców.

Przyszłe schrony i okopy, które kopią studentki, biegną dokładnie wzdłuż zakrętów małej rzeczutki, zarosłej liliami wodnymi, nad którą unoszą się roje ważek. Rzeczutce na pewno nie śniło się nigdy, że stanie się kiedyś „zaporą wodną”!

Już z daleka ujrzałam na trawiastych brzegach coś w rodzaju niezwykle dużych kwiatów - malw, lilii, słoneczników i maków; to suszyły się bluzki, spódniczki i koszule. Dziewczęta piorą je rankiem w rzece, żeby po pracy nałożyć wszystko czyste.

Praca jest ciężka; grunt - gliniasty i grząski. Chmary niemiłosiernie tnących komarów wiszą w powietrzu. Wszystkie dziewczęta są pokąsane, a słońce tak praży, że aż porobiły się im pęcherze. Bardzo źle przedstawia się sprawa obuwia. Najbardziej jednak skarżą się na to, że tak długo nie przysyła się na zmianę ich kolegów z tego samego roku. A poza tym:

- Dlaczego inne wyższe szkoły nie pracują, tylko my? Najbardziej zawzięcie stawiała to pytanie pewna młodziutka studentka, dziecko niemal (z pierwszego roku) - czarnooka, bosa, nogi w glinie, w obawie przed zbyt silnym słońcem nalepiła na nosie listek. Jednakże ta sama studentka pierwsza krzyknęła:

- No, dosyć gadania! - i zeskoczyła do dołu, który przygotowywano na gniazdo karabinów maszynowych.

Dziewczęta zamieniły przestronne i czyste sale wykładowe na gliniane wzgórki i rowy, gdzie „kolokwia” zdaje się u dowódców armii - poprawki zostały zniesione.

Po obiedzie, na łące między barakami, odbył się o zachodzie słońca wiec. Wszyscy usiedli na trawie. Do dalszych rzędów podchodziły co chwila nowe grupy, przybywające z dalekich odcinków robót. Nadciągnął w szyku wojskowym oddział żołnierzy, który rozlokował się w ten sam sposób. Zapłonęły ogniska, chroniąc nas przed komarami.

Siedzieliśmy na wzgórku, na dużym pniu. I. D. wygłosił referat. W chwili gdy mówił, że oddaliśmy Sewastopol, cień smutku przeleciał po twarzach - jeszcze tu o tym nie wiedziano. I. D. wezwał dziewczęta leningradzkie, by w imię ojczyzny, w imię zemsty za Sewastopol, który leży na drugim końcu kraju, uczyniły wszystko, co w ich mocy, aby umożliwić zwycięstwo swym ojcom i braciom. Potem ja czytałam swoje wiersze.



W drodze powrotnej wydarzyła się nam bardzo przykra historia: zabłądziliśmy. W świetle nie gasnącej zorzy wieczornej, w zastygłym zmierzchu długo jechaliśmy wzdłuż nie kończącego się poligonu. Dalej ciągnęły się pola, ogrodzone drutem kolczastym. Narysowane na tablicach trupie czaszki i piszczele uprzedzały, że są to tereny zaminowane. Krzaki stały jak martwe. Powietrze nie drgało. Wszystko było takie stare, ponure i nieruchome, jak gdyby sterczało tu jeszcze od czasów jakichś innych wojen. Droga leśna przepuszczała nasz samochód i zamykała się za nim. Jechaliśmy tak pół godziny, godzinę...

Po pewnym czasie odezwał się zniecała Siergiej Pawłowicz: - A co będzie, jeśli trafimy do Niemców? Wówczas nie tylko ja - to rozumie się samo przez się - ale nawet I. D., jak zdołałam zauważyć, przestraszył się. Ręce szofera zdrząły. W tej samej chwili właśnie ujrzeliśmy daleko przed nami drewnianą wieżyczkę strażniczą, w której również nikogo nie było. Postanowiliśmy, że jeśli dojedziemy do niej i nikogo po drodze nie spotkamy, to zawrócimy i będziemy próbować wyostać się z tych złych okolic jakąś inną drogą.

U podnóża wieżyczki spotkaliśmy jednak patrol. Nigdy przedtem nie widzieliśmy równie ujmujących twarzy ludzkich.

Okazało się, że jedziemy dobrą drogą. Kiedy żołnierze sprawdzili dokładnie nasze dokumenty, poczęstowali ich papierosami. Zapalili z rozkoszą. Trzy żywe dymki papierosów zawisły w nieruchomym powietrzu. Długo oglądaliśmy się za nimi, śmiejąc się z niedawnych strachów, chociaż od czasu do czasu przejmował nas jeszcze dreszcz.

### *10 lipca 1942 roku*

Dzisiaj obchodzę urodziny...! Jedynym moim osobistym nieszczęściem w ciągu ostatniego roku była śmierć Miszeńki. Gdyby nie to, byłabym całkowicie szczęśliwa i to najwyższym szczęściem - moją pracą, która okazała się potrzebna podczas wojny. Mogłabym powiedzieć o sobie słowami pewnego partyzanta: „Życie nasze jest dobre. Oceniam je tak dlatego, że życie jest dobre wówczas, kiedy dni powszednie wypełnione są walką”.

A przecież sprawy pisarskie są dla mnie także walką.

W nocy wylatuję do Moskwy, a stamtąd do Czystopola, do Żanny.

### *13 lipca 1942 roku*

Miasto Moskwa i hotel „Moskwa” - Moskwa do kwadratu. Radio przynosi groźne wiadomości. Dziś jeszcze nie słuchałam komunikatów, ale wczoraj walki toczyły się na przedpolach Woroneża. I. D. jest zatroskany, chociaż tak jak dawniej wierzy w najlepszy koniec. Ale jak będzie wyglądać nasz kraj (i wszystkie inne) po tej potwornej wojnie?

W Moskwie po raz pierwszy wyczułam z opowiadań ludzi, którzy byli w Czystopolu, jaka tam panuje atmosfera. Nie chciałabym tam stale przebywać. Przekonuję się coraz bardziej, że jedynym miejscem, gdzie powinnam być obecnie, jest Leningrad. I życie tam łżejsze, i śmierć łżejsza, jeśli trzeba będzie umrzeć. Można zginąć w ogniu podczas szturm, od bomby podczas nalotu, lecz gorącą, bojową śmiercią.

Leningrad jest teraz prawdziwą twierdzą, a my - garnizonem. W twierdzy wszystko jest przystosowane do wojny. I dlatego w Leningradzie jest łżej na duszy niż na przykład w Saratowie. (Słucham radia: złe wiadomości. „Odeszliśmy na nowe pozycje”. Walki wciąż jeszcze trwają „na przedpolach Woroneża”).

### *16 lipca 1942 roku*

Bardzo przygnębiające wiadomości radiowe. Oddaliśmy Boguczarowo i Millerowo.

Antokolski stracił na froncie osiemnastoletniego syna. Prawie na pewno zginął Ałtauzen.

Sielwinski chodzi z laską, kuleje - na jednej nodze but, na drugiej nocny pantofel; jest bardzo ponury (po Kerczu). Wybiera się również do swej rodziny, która mieszka w Czystopolu, ale do Kazania jedzie pociągiem. Co do mnie, to nie wiadomo jeszcze, kiedy pojadę i jakim środkiem lokomocji. Myślę o samolocie. A dni lecą, jak z bicza trzasnął...

W Moskwie - niespokojnie. Opowiadają, że Niemcy lecieli na Moskwę, ale odpędzono ich pod Podolskiem. Dobrze byłoby znaleźć się znowu w Leningradzie.-

Idziemy dziś do milicji starać się o pozwolenie na wyjazd. Pogoda jest wyjątkowo „niełotna”. Deszcz. Nad ranem była burza.

### *19 lipca 1942 roku*

#### *Kazań. Lotnisko*

Siedzę w hotelu lotniskowym. Właściwie mówiąc, jest to coś w rodzaju bursy. W każdym pokoju stoi po kilka łózek.

Pogoda - pozał się Boże! Deszcz leje bez przerwy, wieje zimny i gwałtowny wiatr. Nie trzeba być meteorologiem, żeby wyciągnąć wniosek: nie można lecieć. Wczoraj przylecieliśmy do Kazania doskonale, lecz za późno. O zachodzie słońca całe niebo było purpurowe i pomyślałam sobie, że to na złą pogodę. Tak było istotnie.

Poza tym, że jest złą pogodą, wydarzyło się na tutejszym lotnisku nieszczęście. Wczoraj rano rozbił się „U-2”. Obaj lotnicy zginęli.

Dzisiaj odbył się pogrzeb. Z lotniska wieziono na cmentarz śmigło owite krepą i kwiatami.

W nocy obudziła mnie gwałtowna burza. Uderzenia piorunów wstrząsały budynkiem.

Ewakuowana dziewczynka, która spała z matką na jednym z łóżek, pytała z płaczem:

- Mamusiu, a kto to strzela?

A więc jestem o kilka kroków od Żanny, ale nie ma samolotu, a na podróż parostatkami nie mogę się odważyć: za długo i za bardzo skomplikowane. A może się wypogodzi?

## *O zmierzchu*

Burzliwy pomarańczowy horyzont pod granatowymi, szybko przelatującymi chmurami. Niebo znajduje się jak gdyby w stanie ucieczki: wszystkie chmury pędzą w jedną stronę. Przed chwilą byłam znowu u komendanta lotniska, który powiedział mi:

- Jutro samolot bezwzględnie odleci.

Nie słuchałam radia, ale powiedziano mi, że oddaliśmy Woroszyłowgrad. Zauważyłam, że złe wiadomości łatwiej znieść w Leningradzie niż tutaj.

## *20 lipca 1942 roku*

### *Rano*

Jak na złość, pozostało wszystkiego 40 minut lotu. Lepiej już było jechać parostatkami.

Co prawda rano jest cudowny. Na niebie nie ma ani jednej chmurki - wiatr porozpędzał wszystkie. Zaraz znowu pójść do komendanta.

## *W dzień*

Ciągle jeszcze jestem tutaj. Nie ma samolotu, pogoda zaś psuje się z każdą minutą. Obiecują na wpół do piątej, ale nie bardzo wierzę.

Polecę „U-2”, ponieważ komunikacji pasażerskiej nie ma. Są tylko okazje - samolotem pocztowym lub sanitarnym.

*22 lipca 1942 roku*

*Czystopol*

Przyleciałam tu pod wieczór, kiedy przestano mnie już oczekiwać. Szłam z lotniska cichymi prowincjonalnymi ulicami, które owiewał wiatr z pobliskich łąk. Byłam już kiedyś w Czystopolu - podczas wyprawy agitacyjnej w 1924 roku. Czy myślałam kiedykolwiek, że zawitam tu raz jeszcze? I że w tej ziemi pochowane zostanie dziecko mego dziecka?

Przyleciałam małym pocztowym samolocikiem, pilotowanym przez kobietę. Mechanikiem, który przygotował maszynę do lotu, była również kobieta. Samolot tak długo jechał po ziemi, że zaczęłam się obawiać, czy przypadkiem nie dojedziemy w ten sposób do samego Czystopola. Przypomniałam sobie jednak, że po drodze jest Kama.

Na „U-2” człowiek czuje się jak na etażerce. Dokoła powietrze, wiatr i pustka. Równowagi ani na lekarstwo. Droga powietrzna usiana była wybojami i wądołami. Olbrzymie słońce przechylało się ku zachodowi. Przelatywaliśmy nad Kamą. Aromat łąk dosięgał nas nawet na tak dużej wysokości.

Komendant lotniska w Czystopolu również kobieta - stojąc po pas w trawie, chwyciła nasz „U-2” za skrzydło, jak żurawia, i zatrzymała go w miejscu.

Przy pożegnaniu chciałam poczęstować mego pilota papierosami. Okazało się, że nie pali. Ofiarowałam jej pół butelki dobrego czerwonego wina. Nie, nie pije również. Wówczas, po krótkim wahaniu, wyciągnęłam z kieszeni palta nie napoczętą kredkę do ust. Teraz mój pilot nie mógł się oprzeć i wzdął kredkę, uśmiechając się z zażenowaniem.

*23 lipca 1942 roku*

Ciężko mi na duszy w Czystopolu. Szkoda mi Żanny, ale nie mogę zdecydować się na zabranie jej do Leningradu. Sama jednak z wysiłkiem przyzwyczajam się do pokojowego życia. Wczoraj, ujrawszy przez okno jakąś kobietę, która biegła z dzieckiem, pomyślałam: „Jak to się stało, że nie usłyszałam alarmu?” Okazało się, że to krnąbrny koń urwał się z uwięzi i nastraszył przechodniów.

Zdziwiło mnie to, że wieczorem nie ma tu zaciemnienia. Z przyzwyczajenia siadam zawsze jak najdalej od okien.

Dzisiaj wieczorem odbędzie się mój wielki wieczór autorski. Będę czytała „Południk Pułkowo”.

*24 lipca 1942 roku*

Na mój wieczór przysłała masa ludzi: wszyscy nasi czystopolanie. Właściwie mówiąc - moskwiczanie, których zagnała tu wojna. W prezydium: Pasternak, Sielwinski, Isakowski, Asiejew. Wszystko to było takie niezwykle.

Miałam wielką treść, nie taką jednak jak zwykle, lecz inną, bardziej głębszą, bardziej... jakby tu powiedzieć... odpowiedzialną treść... Przecież w pewnym sensie mówiłam w imieniu Leningradu. Wszyscy oczekiwali ode mnie właśnie tego.

Przejścia pomiędzy krzesłami, parapety okien - wszystko było zatłoczone. Drzwi otwarte były na oścież: za nimi stali również ludzie.

Usiana gwiazdami, sucha, upalna noc (nie taka jak w Leningradzie) zaglądała w nie zaciemnione okna.

Przemawiałam i recytowałam dobrze, chociaż ciężko mi było czytać, zwłaszcza trzeci rozdział poematu, w którym piszę o śmierci dziecka.

W tym miejscu przerwałam i milczałam przez chwilę. W gorącej ciszy usłyszałam wzruszony, przerywany oddech dziesiątków ludzi.

Starłam się... pragnęłam ściągnąć tu z ogromnej odległości, zbliżyć do tego spokojnego miasteczka nad Kamą, oddaloną o pół Rosji, granitową bryłę Leningradu, którą zaledwie oświetlają teraz gasnące białe noce.

Opowiadam o mieszkańcach Leningradu, o kobietach, o żołnierzach na froncie, o dzieciach... o chłopczyku, który z płaczem gasił piaskiem bombę zapalającą. Bał się jej bardzo: miał zaledwie dziesięć lat. Mimo to, płacząc, zgasił ją.

Kiedy skończyłam, wszyscy rzucili się do mnie, otoczyli i ściskali mi ręce. To wszystko za Leningrad.

*26 lipca 1942 roku*

*Przystań Ustje-Kamskoje*

Tak oto skończył się pobyt w Czystopolu. Wczoraj spędziliśmy cały dzień na lotnisku, ale wszystkie nasze plany spaliły na panewce. Nałykaliśmy się tylko cudownego powietrza, przesyconego zapachem piołunu, i napiliśmy się zimnego mleka z piwnicy. Żaden samolot nie zabrał nas z sobą, było ich zresztą bardzo mało. Wystarałam się telefonicznie o konia i pojechaliśmy z Wiktoorem Tipotem przez całe miasto na przystań. Czekaliśmy tam od pierwszej po południu do pierwszej w nocy w małej, czystej poczekalni na dworcu żeglugi rzecznej (pokoik ten przypomniał mi mieszkanko Pegotty z „Dawida Copperfielda”). W końcu udało się nam wsiąść na parostatek. Będziemy w Kazaniu jeszcze dzisiaj.

## *28 lipca 1942 roku*

Znowu jestem w Moskwie. Na froncie bardzo ciężko. Oddaliśmy Rostów i Nowoczerkask. Poza tym dzieje się jeszcze coś bardzo groźnego.

Droga była ciężka. Nie mogę zapomnieć inwalidów. W Leningradzie ich nie ma. Są ranni, którzy mogą jeszcze wyzdrowieć.

Na dworcu w Kazaniu jakiś zupełnie młody inwalida z wysiłkiem wchodził o kulach do wagonu. Konduktor-kobieta powtarzała ze współczuciem:

- Spokojniej, spokojniej! Ostrożnie z nogą! A noga ta była nowiutką, nie używaną jeszcze protezą w półbuciku, przewieszoną przez plecy. Drugą zapasową protezę bez buta niósł inwalida w rękę.

Droga była przygnębiająca. Jedyną radość: niedaleko od Moskwy, zdaje się, że na stacji Kurowska, coś mnie tknęło, żeby podejść do tablicy, na której rozlepiony był numer „Prawdy”. Ujrzałam tam wydrukowany trzeci rozdział mego „Pułkowa”.

## *3 sierpnia 1942 roku*

### *Leningrad*

Lecieliśmy wczoraj z Moskwy całą eskadrą: pięć „Douglasów” i siedem myśliwców.

Wydawało się, że ciężkie cielska „Douglasów” wisały nieruchomo w jednakowych odstępach od siebie - tylko śmigła falowały jak mgiełki. Myśliwce ciągnęły nad nami. Przez cały czas gdzieś obok toczyły się walki powietrzne, lecz nad Ładogą było spokojnie.

Teraz jest dwudziesta w nocy. Cisza. Od czasu do czasu strzelają.

Ogarnia mnie przygnębienie; od jutra bezwzględnie trzeba się zabrać do czwartego rozdziału.

## *4 sierpnia 1942 roku*

Zazdrosne i wymagające bożki: Czystość i Porządek rzuciły się na mnie po przyjeździe z wściekłością i zażądały ofiar.

Złożyłam im te ofiary, przyklękając przy tym niezliczoną ilość razy, rozlewając dokoła czystą wodę i wymachując zakurzoną ściereczką. Tyrani domowi uspokoili się (do czasu, do czasu!).

Noc wypełniona była kanonadą artyleryjską. Szczególnie silne wybuchy słychać było o świcie. Teraz - cisza.

Sądząc ze wszystkiego, między innymi z przemówienia radiowego Tichonowa, teraz my atakujemy. Widocznie zdecydowano odeprzeć Niemców od miasta, tym bardziej że są obecnie zajęci na południu.

Na południu sytuacja jest niepokojąca. W Ameryce odbywają się manifestacje pod hasłem szybkiego utworzenia drugiego frontu. Na świecie panuje takie napięcie, że nawet ja, znikomy atom tego świata, odczuwam niekiedy fizyczny ból w nogach, jak gdyby spoczywała na mnie część nieznośnego ciężaru.

Co za szczęście... (karabin maszynowy strzela bardzo blisko, to nawet dziwne), że nie wzięłam Żanny na tę strzelaninę. A nie wiadomo jeszcze, co nas czeka. Jedno jest jasne: stan odrętwienia na naszym froncie minął. Wulkan już dymi i płonie. Wybuch dopiero nas czeka.

### *5 sierpnia 1942 roku*

Ciągle jeszcze się nie mogę wdrożyć do pracy. Wczorajszy wyjazd do miasta był męczący i bezcelowy. Jedyną radością było to, że Lesiuczewski wydobyl ze swej torby polowej egzemplarz okazowy mojej „Duszy Leningradu”. Niepozorna książeczka na lichym papierze. Mimo to jest mi droga.

Kiedy przestają pracować, zostają sam na sam ze swoimi niedomaganiem, które od razu zaczynają mnie napastować. W ogóle odnoszę takie wrażenie, że dopóki pracuję, nic złego nie może mi się przytrafić.

Dopóki jeszcze pracuję - wraza nie trafi mnie kula.

Dopóki jeszcze pracuję - serce me bić nie przestanie.

### *7 sierpnia 1942 roku*

#### *Dwunasta w nocy*

Cisza i pustka w mieście sprawiają wstrząsające wrażenie.

Nawet widok ogródków działkowych wyprowadza z równowagi. Warzywa nie wszędzie się udały, nie wszędzie również sprawdzono rozsądę kapusty, zamiast główek wyrosły olbrzymie, niedorzeczne liście, w dodatku gorzkie. Nawet nasz koń szpitalny nie chce ich jeść. A ludzie niosą i wiozą w tramwajach te tragiczne liście - nadzieję, która zawiodła bezpowrotnie.

Cisza. Nawet ostrzały się skończyły. Jak można pisać w takim mieście! Nawet podczas nalotów było lżej. A co dopiero będzie zimą!

Dziewiętego grają w Filharmonii VII Symfonię Szostakowicza; może przerwie tę ciszę. Na południu bez zmian.

## *8 sierpnia 1942 roku*

Zimny, szary, smutny dzień. Nic nie chce się robić. Jeździliśmy do miasta po bilety na jutrzejszy koncert Szostakowicza. Zimno!

Na południu za to gorąco. Niemcy zbliżają się już do Armawiru. I. D. powiedział:

- Jeszcze można ich zatrzymać.

Od tego „jeszcze” zamiera serce.

## *9 sierpnia 1942 roku*

Przepełniona sala Filharmonia, jak przed wojną lub na samym początku wojny.

Orkiestra zdenerwowana. Eliasberg (dyrygent) - również.

Słuchałam VII Symfonii i zdawało mi się, że to wszystko o Leningradzie. Był tam chrzęst zbliżających się niemieckich czołgów. Radosny finał jeszcze przed nami.

Wszystko, o czym pisał Tichonow:

By życie tak jak pieśń poety.  
Bez reszty weszło w szelest liści,  
Jak Atlantyku pieśń potężna  
W piosenki Newy i Tamizy.

## *14 sierpnia 1942 roku*

### *Noc*

I. D. został nagle wezwany do komitetu dzielnicowego partii. Przed chwilą znowu telefonowano stamtąd, żeby przyszedł jak najprędzej. Niepokoi mnie to.

## *15 sierpnia 1942 roku*



Wczorajsze nocne wezwanie do komitetu dzielnicowego było alarmem próbnym na wypadek desantu nieprzyjaciela. Czyżbyśmy mieli ujrzeć nasze strzelnice w akcji?

### *17 sierpnia 1942 roku*

Oddaliśmy Majkop.

### *20 sierpnia 1942 roku*

Oddaliśmy Krasnodar, lecz bombardowaliśmy Gdańsk, Królewiec i Tylżę.

Wczoraj wracałam sama do domu podczas ostrzału. Pociski (nowe, bardzo daleko sięgające) gwizdały tak ostro, że mogłabym dokładnie wskazać ręką ten skrawek nieba, przez który przelatywały, jak gdyby ktoś przeciągał gwoździem po szkle.

Jakaś kobieta na ulicy powiedziała po pierwszym wystrzale:

- No, znowu powariowali!

Odnosiło się to do Niemców.

Z dużą satysfakcją stwierdziłam, że zupełnie przestałam się bać.

Wchodzę do pokoju i widzę, że I. D. nie zważając na wybuchy pocisków stoi na krześle i zawiesza na ścianie przy pomocy tapicera Omri porcelanowy talerz -- nasz, radziecki, z fabryki im. Łomonosowa. Na brzegach talerza napis: „Rozum nie znosi niewoli”. Symboliczne!

### *23 sierpnia 1942 roku*

Na ulicach rozplakatowano „Okna TASS”<sup>16</sup> z moim wierszem „Bij wroga!”

### *24 sierpnia 1942 roku*

---

<sup>16</sup> Okna TASS - plakaty Radzieckiej Agencji Telegraficznej (przyp. tłum.).

Już rok jestem tutaj.

### *26 sierpnia 1942 roku*

Pod Stalingradem „wytworzyła się skomplikowana sytuacja”. Jedziemy do Kronsztadtu: Kietlinska, Bergholc, Makogonienko i ja. Będziemy tam mieli wieczór autorski.

### *27 sierpnia 1942 roku*

Nasze wojska na zachodnim i kalininowskim odcinku frontu przerwały obronę nieprzyjacielską i odparły Niemców o 45 kilometrów. Niemcy stracili 45 000 zabitych; nasze zdobycze są ogromne. Zdaje się, że na południu również jest lepiej, w każdym razie -nie gorzej. Wczoraj tak się baliśmy o Stalingrad.

Komunikat ten nadawano przez radio. Kiedy spiker powiedział: „Nadajemy ostatnie wiadomości!” - poznałam od razu po jego głosie, że będzie coś nadzwyczajnego.

Zadziwiające, jak zmieniają się twarze zależnie od komunikatu. Dziś wszyscy wyglądają, jakby pokropił ich ktoś „żywą wodą”. Eufrosinja Iwanowna przyszła rozpromieniona:

- Niemca przycisnęli!

Do Kronsztadtu jedziemy dzisiaj. Kutrem, prosto od Mostu Tuczkowskiego.

### *29 sierpnia 1942 roku*

#### *Kronsztadt, Dom Marynarki*

Czekaliśmy długo koło Mostu Tuczkowskiego, zanim się całkiem nie zmierzchno: kutry chodzą tylko w nocy. Noc była jednak księżycowa i tak jasna, że nie mogła chyba służyć za osłonę.

Zresztą dokoła panował spokój. Z rzadka tylko wlatywały w powietrze rakiety.

Miedzy nami a brzegiem płynęły towarzyszące nam małe statki, wytwarzające w razie potrzeby zasłonę dymną. W świetle księżyca wyraźnie czerniały ich czujne armatki.

Siedzieliśmy na pokładzie, dopóki nie zmarzliśmy a potem zeszliliśmy do malutkiej kajuty, w której nie można było palić, ponieważ okna wychodziły na brzeg nieprzyjacielski.

W Kronsztacie (przybyliśmy tam późno w nocy) oczekiwano nas i zaprowadzono do Domu Marynarki. Miasto tonęło w blaskach księżycy, było zupełnie cicho. Na placu patrol sprawdził nasze przepustki trzymając przy samej ziemi ślepią latarkę. Księżyc przyćmiewał jednak zupełnie jej żółte światło.

Ślady wojny są tu bardziej namacalne niż u nas w Leningradzie. Jeszcze większa pustka na ulicach, jeszcze bardziej widoczne zniszczenia. Odłamki bomb pokaleczyły stuletnie kasztany. Spotkałam kobietę, która niosła dziecko na opatrunek. Głowę wraz z oczami miało owiniętą gazą. Dziecko zwisało na ramieniu matki, rączka bezwładnie kołysała się w powietrzu. Chłopczyk został ranny przed trzema dniami podczas ostrzału. Popełniono wielki błąd, zostawiając w mieście dzieci. Wywozilibym je stąd co do jednego.

Ciągle stoi mi przed oczyma okręt, na którym odbył się nasz wieczór. Właściwie nie jest to już okręt, lecz twierdza, która wrosła w wodę. W zeszłym roku niemieckie bombowce nurkujące zadały mu głębokie rany: wieże straciły łączność między sobą i walczyły jak odrębne bastiony.

Kiedy dowódca centralnej wieży wysłał łącznika z rozkazem do przedniej wieży, ten zameldował, że takowa już nie istnieje, a zamiast niej widać w oddali sobór - tak wielka powstała wyrwa.

Olbrzymi stos zardzewiałego, potwornie poskręcane żelastwa, leżący teraz koło okrętu na kamieniach mola - oto, co wydobyto z jego wnętrza po walkach. Okręt został unieruchomiony, lecz mimo to jest jeszcze postrachem dla wroga.

Kiedy jego ocalałe wieże otwierają ogień, huk wystrzałów słychać w Leningradzie. Eufrosinja Iwanowna mówi wtedy:

- No, Boże dopomóż!

Nasze występy literackie odbywały się w kajucie ogólnej, w której było ciepło, a nawet gorąco, ponieważ znajdowała się w sąsiedztwie kotłowni i ponadto wypełniona była po brzegi słuchaczami.

Miasto jako całość jest prawdziwym gniazdem morskim. Na ulicach spotyka się bardzo mało kobiet. Z podwórza Domu Marynarki widać w jednym z okien rybę, rozpiętą na patyczkach. Jasnowłosa artystka z brygady frontowej suszy na słońcu sieję, którą otrzymała od wdzięcznych słuchaczy.

Słuchacze są tu naprawdę bardzo wdzięczni.

## *2 września 1942 roku*

Jeśli Kronsztadt jest kluczem do Leningradu, to Kronsztot jest kluczykiem do Kronsztadtu. Wysepka ta, sztucznie zbudowana jeszcze za czasów Piotra I, znajduje się u samego wejścia do Kronsztadtu. Kronsztot zamyka port i niesposób ominąć go przy wejściu.

Kronsztot jest tak mały, że morze - tak mi się zdaje - „przefalowuje” go na wskroś. W ciągu dwudziestu minut można go obejść dokoła. Nie ujrzeliśmy tam ani jednej kobiety. Tutejsi marynarze nazywają żartobliwie Kronsztot „Wyspą straconych oblubieńców”.

Dojechaliśmy do wysepki motorówką. Występowaliśmy w budynku o tak grubych ścianach, że żaden pocisk nie jest dla nich straszny. Potem zaprowadzono nas do granitowej balustrady. Stojąc tam, długo spoglądaliśmy w stronę drugiego brzegu zatoki, na którym w przeźroczystym jesiennym powietrzu wyraźnie zarysował się na wpół zniszczony Peterhof. Widzieliśmy kontury pałacu, kopułę soboru, kępy drzew. Tam są Niemcy.

Jeden z przywódców powiedział:

- To nic, przyjdzie czas...

Wróciłam do domu wieczorem podczas silnego wiatru. Jutro jedziemy do morskich lotników na drugi koniec półwyspu.

#### *4 września 1942 roku*

Napisałam dla zagranicy reportaż o lotnikach, pod tytułem „As lotniczy”. Oto on:

#### *AS LOTNICZY*

Czytelnia lotników znajdowała się w lesie, w małym domku zbudowanym z kłoców. Pisma na stole pachniały igliwem. Na ścianach wisiły plakaty. Jeden z nich przedstawiał znakomitego asa, starszego lejtnanta gwardii, Pietrowa. Skórzany hełm otaczał męzną i surową twarz. Pietrowowi można było dać na oko ze trzydzieści lat. Pod portretem figurował wykaz przebiegu służby lotnika: 500 lotów bojowych, 50 walk powietrznych. Zestrzelił 5 samolotów faszystowskich. Lotów szturmowych - 30. Lotów wywiadowczych - 40. Odpierał naloty wroga 36 razy.

- Chciałabym porozmawiać z Pietrowem, jeśli ma czas - zwróciłam się do towarzyszącego mi pułkownika.

- Macie szczęście - odpowiedział pułkownik. - Pietrow jest dziś wolny. Zaraz go przyślę.

Zostałam sama i stojąc na progu domku zaczęłam przyglądać się lotnisku, otoczonemu ze wszystkich stron lasem. Klucz dyżurnych myśliwców przypominał ważki na olbrzymiej łące. Panował całkowity spokój, jedynie z głębi niebieskiego jesiennego nieba dolatywał warkot.

Czas upływał, a Pietrow się nie zjawiał. Dwaj młodzi lotnicy przeszli koło mnie prowadząc ożywioną rozmowę. Potem przeszedł mechanik w kombinezonie, a za nim jakiś zupełnie młody chłopiec o niebieskich oczach, z dołeczkiem w brodzie. Rudy pies, który mu towarzyszył, podbiegł do mnie.”

- Goebbels, do nogi! - krzyknął młody lotnik.

- Dlaczego „Goebbels?” - zapytałam.

- Sam wszystkich pytam - dlaczego? - podchwycił lotnik. - To przecież nie ma najmniejszego sensu. Splugawili sukę. A ona już się przyzwyczaiła do tego imienia.

Lotnik przystanął koło mnie. Milczeliśmy przez chwilę.

- Nie wiem, co robić - powiedziałam. - Czekam na kogoś, a czasu zostało mi niewiele.

- Ze mną ta sama historia - westchnął lotnik - też nie mam za dużo czasu. Pułkownik powiedział, żebym przyszedł do czytelnicy. Ale po co - nie powiedział.

- Przepraszam, to wy jesteście Pietrow? - wykrzyknęłam niemal.

- Tak jest.

- As lotniczy?

- Tak mnie nazywają.

Mimo woli obejrzałam się na plakat, aby porównać portret z oryginałem. Byli podobni, lecz tak jak bywają podobni do siebie kuzyni, różniący się w dodatku wiekiem.

- To ja - powiedział Pietrow. - Tylko tam jestem trochę starszy.

- Tak, troszeczkę - potwierdziłam starając się powstrzymać uśmiech. - A ile macie lat, jeśli można zapytać?

- Dwadzieścia jeden. - Tu przerwał na chwilę, a potem dodał: - Niedługo skończę.

Zrozumiałam wówczas, że fotograf, zbity z tropu młodością asa, umyślnie go postarzył.

- Towarzyszu Pietrow, opowiedzcie mi, proszę, jak walczyliście? Czy jesteście z natury tak bohaterscy i odważni, czy też doszliście do tego stopniowo?

Pietrow przysiadł na pieńku. Suka Goebbels niewolniczo wyciągnęła się u jego nóg.

- Trudno mi odpowiedzieć na wasze pytanie. Odwaga... bohaterstwo... nigdy o tym nie myślę. Latam, żeby bić Niemców. Oto, o czym myślę. I biję ich. Gotów jestem na wszystko, aby to osiągnąć. I nie tylko ja. Zimą latamy zwykle w maskach i okularach. Chroni to od zimna, ale osłabia widoczność. Zeszłej zimy lataliśmy bez masek i okularów.

- A kto wymyślił ten sposób?

- Jeden z nas.

- Może sami wymyśliliście?

- To nie ma znaczenia. Ważny jest jedynie fakt, że zwiększyliśmy swoją zdolność bojową. Zdarzało się, że przez kilka dni z rzędu nie odchodziliśmy od samolotów. Nawet spaliśmy na skrzydłach. Niemcy mieli nad nami przewagę w powietrzu. Dokądkolwiek lecieli, uważali zawsze za swój obowiązek przejść nad nami i rzucić bomby na lotnisko.

- A teraz?

- Teraz nakładają drogi, ażeby nas tylko ominąć.

- Opowiedzcie, proszę, o jakiejś waszej walce.

- Niedawno biłem się z dwoma „Messerschmidami - 109”. Jednego od razu zestrzeliłem. Drugiego prowadziłem od chmurki do chmurki. Wskoczę i schowam się. Wskoczę -i znowu się schowam. Doprowadziłem go do takiego stanu, że stracił cierpliwość i popełnił grubą błąd; odsłonił się. Zwaliłem go jak pierwszego i zacząłem wracać. Raptem patrzę - ach, mój Boże! - nasz lotnik wisi w powietrzu, na spadochronie. A pilot trzeciego „Messerschmidta” strzela do spadochronu z automatu. Zawróciłem i zmusiłem Niemca do ucieczki. Zestrzelić go nie mogłem. Byłem już sam postrzelony, a zresztą kończyło mi się paliwo.

- A jak myślicie, czy Niemiec ratowałby również w ten sposób swego towarzysza?

- Z zeznań wziętych do niewoli niemieckich lotników dowiedzieliśmy się, że za każdy zestrzelony nasz samolot otrzymują pieniądze. Rozumiecie? Pieniądze! Niemiec myśli tylko o tym, żeby zestrzelić nasz samolot i biec w te pędy do kasjera. A za uratowanie swego lotnika, który wyskoczył ze spadochronem, nie dostaje ani grosza. Tak walczą. Plugawcy! Bydlaki sprzedajne!

Pietrow wstał. Jego niebieskie, młodzieńcze oczy pociemniały. W kącikach ust pojawiły się głębokie zmarszczki. Żyły na szyi nabrzmiały.

Przedemną stał as lotniczy, Pietrow, taki sam jak na portrecie.

## *5 września 1942 roku*

Po tygodniowym pobycie w Kronsztacie wróciliśmy wczoraj o świcie do Leningradu. Przemawialiśmy i czytaliśmy swoje wiersze jedenaście razy, nie licząc audycji radiowych.

Ostatni nasz wieczór odbył się w Domu Marynarki. Obecnych było około ośmiuset ludzi: cała sala była niebieska od bluz marynarskich i błyszczała złotem kotwiczek. Słuchali nas wspaniale.

Wyjeżdżaliśmy z Kronsztadtu późną nocą i z przygodami. Z początku czekaliśmy długo na statki „dymne”, bez których nie chciano nas wypuścić. W końcu odpłynęliśmy jednak bez nich.

Najpoważniejszą przeszkodą była jednak barka, którą nasz kuter miał holować, ale nie mógł. Dął zbyt silny wiatr: niemal sztorm.

Wszystko dokoła nas miało złowieszczy wygląd: zachodzący sierp księżycy, strzępy chmur, gwizd wiatru i rosnący z każdą chwilą szum morza. Olbrzymia barka, mająca jak widmo w księżycowej poświacie, nie tylko nie dawała się holować, lecz sama nacierała na nas to rufą, to znów burtą, co groziło naszemu kutrowi rozbiciem o przystań. Mieliśmy z nią po drodze kłopotów co niemiara, ponieważ zerwała się z liny i musieliśmy ją łąpać na pełnym morzu. Na drugim brzegu ukazały się niemieckie rakiety; poczuliśmy się nieswojo i zaczęliśmy już żałować, że nie wzięliśmy ze sobą statków „dymnych”. Wreszcie wylądowaliśmy jednak pomyślnie, chociaż fala była duża i rzucało nas na

wszystkie strony, dosłownie zwalając z nóg. Doszło nawet do tego, że w pewnej chwili zaczęły się na mnie w kajucie sypać ze wszystkich stron jakieś ciężkie przedmioty.

Do Tuczkowskiego Mostu dopłynęliśmy o świcie - wszystko dokoła różowiało. Tramwaje jeszcze nie chodziły. Zabrałam do siebie Kietlinską. Szłyśmy Wielkim Prospektem. Napiłyśmy się kawy i poszłyśmy spać. Łąd jest o wiele lepszy od morza.

### *6 września 1942 roku*

Na południu trwają niestychanie ciężkie walki. Jak widać, Stalingrad będzie się trzymał. I wytrzyma. Piszę piosenkę „Nieznany pagórek”.

Pół nocy nie spałam z racji tego „Pagórka”, ale za to skończyłam go.

Kropi spokojny, pachnący listowiem, nieśmiały jesienny deszczyk. Przy takiej pogodzie - pisanie jest rozkoszą.

Byłam wczoraj w Ogrodzie Botanicznym. Lato żegnało się z nim niewymownie pięknie. Nad maleńkim stawkiem unosiły się ważki. Nie dolatywał najmniejszy podmuch wiatru. Aleje zaczęły żółknąć. Jarzębina odbijała się w wodzie. Czasami wydaje mi się, że Leningrad jest teraz jednym z najspokojniejszych miast na świecie.

### *9 września 1942 roku*

Wczoraj upłynął rok od dnia, kiedy po raz pierwszy zbombardowano Leningrad (paliły się słynne Badajewskie składy). Byliśmy wtedy w teatrze na „Zemście nietoperza”.

Fiedi P. nie widziałam od tego czasu, umarł z głodu. Początkowo miał jeszcze dość sił, by występować po szpitalach jako recytator, za co go karmiono. Potem osłabł i poruszał się z coraz większym wysiłkiem.

### *10 września 1942 roku*

Znów zaczęłam na nowo czwarty rozdział. Na południu - pod Stalingradem - dobrze. W Noworosyjsku walki toczą się na ulicach.

## *12 września 1942 roku*

Oddaliśmy Noworosyjsk.

Okropny wiatr. Istnieje niebezpieczeństwo powodzi. Nawet nasza Karpowka groźnie wezbrała.

Zdaje się, że czwarty rozdział poszedł jak należy.

## *13 września 1942 roku*

Wiatr ucichł, woda opadła. Na froncie „nie zaszły istotne zmiany”;

Czwarty rozdział posuwa się naprzód, ale ciągle jeszcze się boję. Jak pisał kiedyś Pasternak: „I tak, na włosku, wisi poemat”.

Czytam obecnie niewiele. Jest rzeczą bardzo ważną, żeby podczas pracy nie zmieniać książek, lecz zatrzymać się na jednej lub dwóch, nie mącąc w ten sposób ustalonego nurtu myśli. A jeśli przeczyta się coś nowego, wszystko od razu się popłaczę i będzie trudno pisać.

## *15 września 1942 roku*

Wracając z miasta słuchaliśmy przemówienia radiowego Tichonowa przepuściliśmy na ulicy Wwiedenskiej dwa z rzędu tramwaje.

Było ono zwrócone do Kaukazu, dokąd usiłują się teraz przedrzeć Niemcy. Rozmowa z kaukaskimi narodami: „Gruzini, Osetyni, dzieci Dagestanu...” Tichonow przypomniał im słowa staraj pieśni: „To będzie tak gorący dzień, że będziemy mogli liczyć tylko na cień własnych szabel”.

Na ciemnym leningradzkim placu, w jesienny wieczór stało wielu ludzi i słuchało tego wezwania przy akompaniamencie dalekich strzałów armatnich.

## *16 września 1942 roku*

Przenieśliśmy się do nowych pokojów, tym razem do dwóch. Jeśli losy zechcą, pozostaniemy w nich chyba do końca wojny.



Wczoraj recytowałam wiersze w fabryce im. Makska Heltza. Pracują tam chłopcy, uczniowie szkół rzemieślniczych. Siedzieli spokojnie i słuchali dobrze.

Kiedy skończyłam, na estradę wszedł chłopak z pierwszego rzędu, w czapce z nausznikami.

- Czołowy stachanowiec zakładu - szepnął mi sekretarz organizacji partyjnej.

W imieniu całego zespołu chłopiec złożył mi podziękowanie. Zapytałam go, czy lubi wiersze? Milczał chwilę, a potem odparł:

- Przecież to nie wiersze. To prawda... Najwyższa pochwała.

Do Hornu odprowadzali mnie przez Karpowkę dwaj inżynierowie fabryczni z latarkami. Od dłuższego czasu mieszkają przy fabryce. Rodziny wyjechały.

Przed kilkoma dniami jeden z nich poszedł sprawdzić, co się dzieje z mieszkaniem. Mieszka w Nowej Dieriewni, w drewnianym domku.

Przyszedł, a domku nie ma. Meble - połamane. Wśród szczątków swego domostwa znalazł kilka ocalałych fotografii żony i dziecka. Inżynier powiedział:

- Cały mój dom mieści się teraz w kieszeni. Noszę go z sobą

### *18 września 1942 roku*

Stuk dwóch młotków - to przybija się portierę i ustawia maleńki piecyk. Przygotowujemy się do zimy. Druga zima w Leningradzie.

### *20 września 1942 roku*

Pod Stalingradem trwają straszne walki. Miasto trzyma się jednak.

### *21 września 1942 roku*

Pod Mozdokiem został zabity generał von Kleist. Anglicy zbombardowali Monachium. Pod Stalingradem jakoś pewniej.

Kiedy komunikaty są lepsze, widać to od razu z ludzkich twarzy: w tramwajach i na ulicach.

## *24 września 1942 roku*

Na froncie bez zmian. Walki na ulicach Stalingradu.

## *26 września 1942 roku*

Alarm lotniczy po pięciomiesięcznej przerwie trwa już około pół godziny. Dobrze, że zdążyłam wrócić ze spaceru. Nie mam ani przepustki WT<sup>17</sup>, ani maski przeciwgazowej.

## *29 września 1942 roku*

Zły komunikat ze wszystkich trzech frontów. U nas, pod Siniawino, Niemcy wbili się klinem między nasze linie obronne. Dzienny komunikat był nieco lepszy od wieczornego.

## *30 września 1942 roku*

Przyszłam na piechotę z Związku Pisarzy. Znowu mamy złotą jesień, jak w zeszłym roku. I znowu I. D., jak w zeszłym roku, zavalony jest różnymi sprawami i kłopotami.

Nasza artyleria nie milknie ani na chwilę. Nieustanny daleki huk. W Stalingradzie uważano by to za rajską ciszę.

Ze Stalingradem niedobrze. O Siniawino ani słowa. Komunikaty milczą, słychać tylko głos naszej artylerii.

Mam przecucie, że niedługo z Leningradem stanie się coś okropnego. Wszystko dobrze się skończy, ale będzie strasznie.

Nasze dwa pokoje przy zakładzie mikrobiologii są tak przytulne... żeby tylko nie rozleciało się to wszystko na mikroskopijne części.

---

<sup>17</sup> Przepustki z nadrukiem WT (Wozdusznaja triewoga) uprawniają do chodzenia po ulicach podczas alarmu (przyp. tłum.)

Do naszego szpitala przywieziono dzisiaj nowych rannych. Skąd - nie wiadomo.

### *6 października 1942 roku*

Czasami wydaje mi się, że jestem matką niesłychanie licznej rodziny. Moje dzieci - to strofy czwartego rozdziału. Myślę o nich bez przerwy, we dnie i w nocy. Co chwila powracam do jednego, to znów do drugiego dziecka. Jedno ubiorę lepiej, drugiemu przeczeszę niesforny kędziorek, trzeciemu wytrę nos, czwartego w ogóle wyrzucę za drzwi. Ciągłe upiększam je, czyszczę, odprasowuję i myję. A one, moje najdroższe dziatki, robią się - tak mi się przynajmniej zdaje - coraz ładniejsze. Liczba ich rośnie z każdym dniem. Rośnie, rośnie mój czwarty rozdział.

Nasze radio zepsuło się, nie wiem, co się dzieje na froncie. Z całą pewnością wiem tylko jedno: drugiego frontu nie ma.

Szara i dżdżysta jesień nadaje się doskonale do pracy. Chowam się do swego kącika za szafą, zapalam światło (jeszcze jest prąd). Wieczorem zasypiam momentalnie, nad ranem zaś budzę się z na wpół gotową strofą: jak gdybym położyła przed snem odrobinę ciasta do czarodziejskiego piecyka i w ciągu nocy upiekł się bochenek.

### *7 października 1942 roku*

Wczoraj „Prawda Leningradzka” wydrukowała mój „Pagórek”. Sprawilo mi to dużą przyjemność, ponieważ lubię ten wiersz. „Pagórek” bardzo zyskał dzięki dużej czcionce i dobremu miejscu w gazecie.

### *8 października 1942 roku*

Czytałam Armstronga o upadku Francji.

### *9 października 1942 roku*

Na froncie nadal toczą się niesłychanie zacięte walki. Stalingrad trzyma się. Zdaje się, że napiszę doskonały rozdział... jeśli tylko nie dostanę z tego powodu bzika.

Cudowny, spokojny, bursztynowy dzień. Armaty strzelają, ale gdzieś daleko.

### *11 października 1942 roku*

Na południo-zachód od Stalingradu odparto pięć kontrataków. Wzięty do niewoli lotnik zeznał, że Niemcy skoncentrowali tam znaczne siły. Widocznie zamierzają walczyć do upadłego.

Siniawino odciągnęło trochę Niemców od Leningradu, chociaż nasza operacja nie bardzo się udała. Dzięki temu szturm na Leningrad, jeśli Niemcy w ogóle noszą się z takim zamiarem, został przesunięty na później.

Czwarty rozdział posuwa się naprzód. Któż jednak będzie to wszystko czytał? Czy w tak groźne dni potrzebne są wiersze?

### *14 października 1942 roku*

Od trzech dni na froncie - „bez zmian”. Czyżby zatrzymano Niemców? Człowiek boi się w to uwierzyć, nie śmie żywić nadziei.

### *15 października 1942 roku*

Na froncie „nie zaszły żadne istotne zmiany”. Wielka mowa Roosevelta przez radio - z racji 450-lecia odkrycia Ameryki.

### *16 października 1942 roku*

Niemcy, jak widać, przegrupowali swe siły i znowu rzucili się na Stalingrad i Mozdok. Głównym ich celem jest Stalingrad. Nawet na samo osiedle robotnicze pchnęli potężne siły. Udało się im nieco wyprzeć nasze oddziały.

Wszystko się teraz rozstrzyga pod Stalingradem. Losy całej wojny. Dziś o dwunastej komunikat poranny powinien przynieść ważne wiadomości.

## *Południe*

Komunikat poranny był niepomysłny. Niemcy zajęli kilka ulic w osiedlu robotniczym.

## *17 października 1942 roku*

Bardzo niedobry komunikat: oddaliśmy osiedle robotnicze. Serce przygniółł znowu taki ciężar, że trudno po prostu oddychać.

Tylko wtedy bywam spokojna, kiedy pogrążam się z głową w pracy. Wtem - uderzenie w serce - i człowiek szybko wypływa na powierzchnię, na spotkanie wszystkim przeciwnościom losu.

## *18 października 1942 roku*

Komunikat nieco bardziej stanowczy: odpieramy ataki.

## *19 października 1942 roku*

Coraz gorzej czuję się z rana, wstawanie przychodzi mi z coraz większym wysiłkiem. A przecież nie można teraz kwękać.

## *20 października 1942 roku*

Gdy wczoraj po napisaniu wiersza jubileuszowego doszłam do stanu kompletnego wyczerpania, zdecydowałam się na krok stanowczy: wycięłam dwie pierwsze strofy (to one mnie właśnie myliły, a ja przylepiłam się do nich i nie mogłam się oderwać). Dzisiaj skończyłam ten wiersz.

Było to dla mnie dobrą nauką za upór. Zdarza się tak, że człowiek pójdzie w złym kierunku. Widzi, że błądzi, lecz brnie dalej przed siebie i włązi w omyłki jak w las. A trzeba od razu wszystko rzucić i pójść inną drogą.

Teraz można znowu usiąść do czwartego rozdziału. Z radości, że wszystko jakoś się rozwikłało, zajęłam się trochę gospodarstwem.

## *27 października 1942 roku*

Nareszcie! Własnym oczom nie wierzę, a jednak naprawdę wszystko jest gotowe: czwarty rozdział skończony, a ściślej rzecz biorąc, prawie cały przepisany, uzupełniony i skrócony.

Była to bohaterska praca. Był okres, że chciałam już rzucić w kąt cały rozdział i zabrać się do drobnych wierszy. Zaczęłam nawet pisać jeden taki wiersz, ale przełamalam się i spaliłam za sobą wszystkie mosty, odłożyłam i rzuciłam się na rozdział. Ale jak! Doszłam do jakiegoś dziwnego stanu. Gdybym zechciała unieść się nad podłogą i wycierać w takiej pozycji kurze w pokoju - mogłabym to zrobić. Brakowało tylko całkiem niewielkiego wysiłku woli.

Wydarzenia przepływały gdzieś daleko, nie zawadzając o mnie niemal zupełnie. Jak we śnie przyjmowałam ważnych moskiewskich gości, częstowałam ich kawą i w ogóle wykonywałam wszystko, czego wymagały ode mnie, jako od gospodyni, nakazy gościnności. Chodziłam nawet do dentysty. Przestałam się tylko uczyć angielskiego - chciałam mieć wolną głowę.

Na frontach - po staremu, z tym tylko wyjątkiem, że w komunikatach zjawiło się już Tuapse. A o drugim froncie ani słychu, ani dychu.

## *30 października 1942 roku*

Czwarty rozdział ma powodzenie. Czytałam go na posiedzeniu pisarzy bałtyckich (znowu). Teraz trzeba tylko napisać piąty rozdział i rok nie pójdzie na marne.

## *2 listopada 1942 roku*

Wczoraj w dużej sali naszego komitetu dzielnicowego odbył się wieczór absolwentów Instytutu.

Wypadł doskonale. A ileż I. D. nadenerwował się z tej racji... Ja też brałam udział w wieczorze.

## *Wieczór*

Oglądaliśmy właśnie małą dziecinną panoramę stereoskopową „Obserwatorium Pułkowskie”, gdy wtem rozległa się silna detonacja. Myśleliśmy, że to pocisk. Okazało się, że bomba, która upadła jeszcze przed ogłoszeniem alarmu.

Za kwadrans dwunasta. Odwołanie alarmu. Boję się jednak rozebrać i położyć do łóżka. Trzeba trochę poczekać.

### *3 listopada 1942 roku*

Oddaliśmy Nalczyk.

Batalia stalingradzka trwa nadal. Prasa całego świata przepełniona jest wiadomościami o tych walkach. Oto słowa pisarza arabskiego: „Wojna na ulicach Stalingradu zapewnia pokój na ulicach Kairu, Aleksandrii, Bejrutu, Damaszku i Bagdadu”.

### *Za kwadrans dwunasta*

Alarm.

### *8 listopada 1942 roku*

Przed chwilą skończyłam tradycyjne porządki poświęteczne. Posprzątałam w pokojach, wytarłam kurze, uporządkowałam papiery, napiłam się herbaty. Znowu zaczęły się dni powszednie. Kochane dni powszednie - tak bym je chętnie nazwała.

Ciekawe doprawdy, dlaczego „nie udają” mi się święta? Może nie potrafię nastroić się zawczasu na „święteczną” nutę? Może oczekuję od świąt zbyt wielu rzeczy przeznaczonych specjalnie dla mnie, co rzadko się spełnia? Może wreszcie dlatego, że podczas dni świątecznych człowiek odzwyczaja się od pracy. W ostatnich czasach dużo myślę o napisaniu sztuki teatralnej. Jeśli już pisać sztukę o Leningradzie, to dobrze by było wybrać jakiś niewielki odcinek czasu, na przykład okres trwania nalotu. Od alarmu do odwołania. I co się działo w tym czasie. To ma tę dobrą stronę, że określone są od razu granice „od” i „do” - nie trzeba ich wymyślać. Poza tym pociąga mnie zawsze starożytna jedność czasu w połączeniu z na wskroś nowoczesną zmianą miejsca.

Lub taka fabuła: w dom trafia bomba o spóźnionym działaniu (jak to było w kinie „Ars”). Albo też ludzie tylko myślą, że o spóźnionym działaniu. Jak zachowują się ludzie. Bomba wybuchła albo nie - zależnie od tego, czy będzie mi to jako autorce potrzebne.

W Stalingradzie trwają walki w dzielnicy zakładów przemysłowych.

Czy istnieje na świecie miasto, które byłoby bardziej bliskie duchem Stalingradowi niż Leningrad? Oba miasta nawołują się ponad wierzchołkami wzgórz i lasów, ponad łąkami i polami. Przez cały czas wyczuwają się nawzajem. Losy jednego odbijają się w sercu drugiego gorącym echem.

## *9 listopada 1942 roku*

Kiedy Eufrosinja Iwanowna dowiedziała się dziś ode mnie, że zatrzymano Niemców pod Stalingradem, powiedziała.

- Oj, Wiero Michajłowno, dalibóg dech człowiekowi zapiera, kiedy posłyszysz coś takiego.

Doskonale ją rozumiem. Kiedy czytam, że biją Niemców, przenika mnie dreszcz szczęścia. Czasami przychodzą do głowy takie myśli: żeby tylko nie umrzeć z radości tego dnia, kiedy Niemcy zostaną pobite i rozgromione.

Z mowy Stalina przez radio słyszałam tylko drugą połowę, ponieważ byłam właśnie na wiecu w Domu Armii Czerwonej. Zaledwie jednak skończył się wiec, pobiegliśmy do gabinetu gospodarza klubu. Odbiór był nadzwyczajny. Zdawało się, że Stalin jest w tym samym gmachu, w tej sali, z której wyszliśmy przed chwilą.

W głosie Stalina tkwi jakaś nieodparta siła. Wyczuwa się, że mówi człowiek, który wie wszystko i który nigdy nie postąpi nieszczerze.

Padły w tej mowie słowa spokojne i pewne. O zwycięstwie - niezaprzeczalne. Zresztą nikt w nie nie wątpi. Sprawa polega tylko na tym, kiedy to zwycięstwo nastąpi. Po tej mowie jednak nawet to „kiedy” stało się jakieś bliższe. Żeby tylko dożyć do zwycięstwa!...

W ciągu ostatnich dni naloty były częste i silne.

Byliśmy wczoraj na premierze „Rozlało się morze szeroko”, sztuki napisanej wspólnie przez Wiszniewskiego, Krona i Azarowa.

Jest to muzyczny melodramat. I chociaż czasami te trzy indywidualności autorskie rozszczepiają się wyraźnie w oczach publiczności, całość jest jednak wesoła i wzniosła. Janet - doprawdy znakomity. Coś niezwykłego!

W przerwie słyszałam rozmowę dwóch dziewcząt, z dwóch różnych instytucji, na temat, gdzie lepiej powitać Nowy Rok. Jedna mówi:

- Mamy dobrą orkiestrę. Druga replikuje:

- A my - lepszy schron.



Kiedy wróciliśmy do domu i pijąc herbatę słuchaliśmy komunikatu o rozgromieniu Rommla, rozpoczął się bardzo silny nalot. Samoloty niemieckie były gdzieś bardzo blisko. Zenitówki grzmiały tak, że zupełnie nie było słychać naszych głosów. Dużo odłamków upadło na teren szpitala: słyszeliśmy wyraźnie, jak bębniły po dachu.

Wkrótce po pierwszej fali bombowców nadleciała druga. Z warkotu motorów można było wywnioskować, że samoloty zataczają koło i znów przelatują nad naszymi głowami. Ciągnęło się to do wpół do drugiej w nocy. Niemcy zrzucili dużo bomb.

W zeszłym roku naloty trwały do grudnia. Możliwe, że i w tym roku będzie podobnie. A przecież dziś mamy dopiero 9 listopada - jeszcze długo trzeba czekać.

## *Wieczór Za dwadzieścia dwunasta*

Alarm i od razu w pobliżu - bomby. Nasza bateria przeciwlotnicza bije bardzo silnie. A cały wieczór był taki spokojny, taki „domowy”: przestawialiśmy meble. Trzeba się będzie przenieść na zimę do maleńkiego pokoiku: w dużym jest bardzo zimno. (Teraz ucichło. Do drugiego nalotu.)

## *Druga w nocy*

Drugi nalot rzeczywiście nastąpił i również był silny.

Przerwa między pierwszym a drugim nalotem trwała najwyżej dwadzieścia - dwadzieścia pięć minut. Nasze zenitówki po prostu wychodziły z siebie. Teraz nastąpiła zupełna cisza, chociaż nie było jeszcze odwołania. Jak widać, Niemcy mają obecnie następujący program: minimum dwa naloty - dzienny i nocny. Dzienny - koło południa, a nocny - o północy. Teraz się dopiero wymęczymy.

## *10 listopada 1942 roku*

Obawiam się, że bezsenne noce wyczerpią mnie do tego stopnia, że zupełnie nie będę mogła pisać. Marzę bez przerwy o tym, żeby pogrążyć się z głową w piątym rozdziale, zostawiając tylko niewielką szparkę dla doływu powietrza.

## *Kilka minut po dwunastej*

Zdążyłam usłyszeć tylko początek komunikatu porannego przez radio, gdy naraz zaczął się alarm.

Mimo wszystko zdążyłam dowiedzieć się, że w Stalingradzie rozbijamy „niewielkie ugrupowania nieprzyjaciela”... Odpieramy ich słabe ataki.

## *11 listopada 1942 roku*

Naczelnik mieszczącego się w Instytucie sztabu MPWO. Bułatów, powtórzył nam wczoraj słowa swego przyjaciela, wybitnego wojskowego, że aktywność Niemców na naszym froncie tłumaczy się zmianą niemieckiego dowództwa pod Leningradem.

Hitler, rozwścieczony klęską desantu wodnego (przez Ładogę) i operacją pod Siniawino, mianował dowódcą nowego generała (nie wiem, jak się nazywa). I ta „nowa miotła” stara się, jak może.

## *12 listopada 1942 roku*

Urządziłam sobie „leże zimowe” w moim malutkim pokoiku. Przeniosłam tam kanapę, stół z jadalni i etażerkę z naczyniami. Koło piecyka uchwalała się nawet mucha. Jeśli jest ciepło - mucha ożywia się i rusza. Wystarczy jednak, by Eufrosinja Iwanowna gorzej napaliła w piecu, a mucha siedzi już osowiała na ścianie. Zastępuje mi w ten sposób termometr.

Noc przeszła spokojnie. Teraz również panuje spokój. Co się dzieje w Afryce Północnej - nie wiadomo, ponieważ Niemcy naumyślnie przeszkadzają w słuchaniu radia: gdy spiker dochodzi do wiadomości z zagranicy, od razu zaczyna się alarm.

## *Wieczór*

Niemcy wylądowali w Tunisie. Poza tym zajęli Vichy, Marsylię i Lyon. Teraz cała Francja znalazła się w ich rękach.

W Stalingradzie walki toczą się o każdą ulicę, dom i klatkę schodową.

Wyobrażam sobie, co się dzieje teraz w eterze. Jaki natłok fal radiowych przemówień, komunikatów, wiadomości, depesz itd.

Jeśli chodzi o mnie, to muszę bez chwili wytchnienia pisać piąty rozdział, w przeciwnym bowiem razie nie nadążę za wydarzeniami.

### *14 listopada 1942 roku*

Pisanie wierszy kryje w sobie duże niebezpieczeństwo. Człowiek z radości, że pióro jest mu posłuszne, może napisać wiele rzeczy zbyt cnych. Przedmioty albo nie dają się ująć, al do też kuszą nagłymi olśnieniami, ukazując się z jak najlepszej strony. Stoją jak petenci u wejścia do poematu czy powieści i wystarczy uchylić drzwi, by wdarty się do środka. Nie wolno jednak do tego dopuścić.

I. D. ma tyle kłopotów z „przygotowaniami do zimy”, że zaczął (niesłychana rzecz) również cierpieć na bezsenność. Wczoraj prosił mnie nawet, żebym dała mu na noc kropli walerianowych. Dałam mu i sama wypłam. Trudno się uporać z ponurymi myślami. Jak upłynie ta zima?

### *20 listopada 1942 roku*

#### *Pierwsza po południu*

Przez radio: duże zwycięstwo pod Ordżonikidze. Samych zabitych Niemców - 5 000, a rannych ze trzy razy tyle. Bardzo dużo zdobyczy wojennych. Przed chwilą skończył się silny i bliski ostrzał artyleryjski. Za to nalotów nie ma już od dawna.

### *22 listopada 1942 roku*

Przez radio: „Ostatnie wiadomości” - nasze wojska przeszły pod Stalingradem do natarcia. Ofensywa rozpoczęła się z dwóch stron: z północo-zachodu i z południa. Posunęliśmy się o 60-70 kilometrów. Zdobyliśmy Kałacz. Najważniejsze były słowa: Ofensywa trwa nadal...”

Może właśnie nastąpił przełom w wojnie.

### *Czwarta w nocy*

Niedawno skończył się silny ostrzał naszej dzielnicy. Pociski wybuchały całkiem blisko. W domu nr 10 (sąsiedni dom) jakaś kobieta zginęła od odłamków, które wleciały przez okno. Byliśmy w sztabie

MPWO, kiedy wysłano właśnie do tamtego mieszkania sanitariusza. Kobieta już jednak, nie żyła. Zeszliśmy do sztabu dlatego, że w naszym „gołębniku” na górze zrobiło się nazbyt strasznie. Trząśnięcie się całe.

Noc była nieopisanie piękna, skąpana w różowej poświacie. Zauważyłam, że niebieskie światło księżycowe i biel śniegu dają w połączeniu jakby różowy odcień.

Na naszą dzielnicę przypadło dwanaście a może piętnaście wystrzałów z różnymi przerwami: od pięciu do dwudziestu minut.

Były to pociski bardzo ciężkiego „sewastopolskiego” działa. Jasne, że to za Stalingrad.

### *23 listopada 1942 roku*

Wczoraj w nocy, zgodnie z naszymi przewidywaniami, natychmiast po ostrzale zaczął się alarm. Słyszałam przez sen zenitówki, a potem nie słyszałam już nic. Jedno jest pewne: teraz, kiedy Niemcy są tak rozwścieczeni z powodu klęski pod Stalingradem, nie można zażywać żadnych środków nasennych. Trzeba być przygotowanym na wszystko.

### *24 listopada 1942 roku*

#### *Ranek*

Wspaniałe sukcesy pod Stalingradem.

#### *Dzień*

Opowiadania Z. W. Ogłoblina. Chora w szpitalu zwraca się do niej: „Czekam na doktora jak na zbawienie wieczne”. - „Albo - jak na kilo chleba” - poprawia ją inna.

### *25 listopada 1942 roku*

Wczoraj, kiedyśmy już spali - zapukano do drzwi. Wszedł Bułatów i powiedział, że Karpowka groźnie wezbrała i zalała nabrzeże koło Ogrodu Botanicznego. Jeśli będzie wiatr - nie da się uniknąć powodzi. Dziś jednak wiatru nie ma. Spadł nieduży śnieg. Jak się Karpowka „prowadzi” dzisiaj - nie wiem.

Niemcy nie dają słuchać radia: zwariować przez nich można.

## *26 listopada 1942 roku*

Słuchałam radia: nasze natarcie pod Stalingradem trwa. Przybyło jeszcze 15 000 jeńców i 6 000 zabitych, i to tylko dwudziestego piątego.

Sojusznikom powodzi się tak sobie. Ciekawy jest „niepokój we Włoszech” (czy może być inaczej?). Interpelacje w angielskiej Izbie Gmin w sprawie Darlana.

Noc przeszła bardzo spokojnie. Niemcom nie udają się naloty na Leningrad. To już nie zeszły rok!...

## *Wpół do czwartej*

Słyszę właśnie, jak na korytarzu sekretarz naszej organizacji partyjnej Siergiej Pawłowicz pyta się Iliina:

- Zdaje się, że to szrapnel?

A Iliin odpowiada:

- Diabli go wiedzą! - i dalej mówi o swoich sprawach.

Rozumiem go doskonale. Kiedy człowiek jest bardzo zajęty i wie, że praca jego jest potrzebna, a nawet konieczna - boi się znacznie mniej. Po prostu nie myśli o niebezpieczeństwie.

## *27 listopada 1942 roku*

### *Ranek*

Dziś oziębilo się. Domy lekko różowieją w słońcu. A ponad nimi późny, poranny, zimny księżyc. Przypomina on stróża nocnego, który marzył przez całą noc i nawet skurczył się cały na mrozie. A za chwilę ułoży się do snu w jakimś poszarpanym, lecz ciepłym obłoczku.

## *W południe*

Pod Stalingradem wzięliśmy jeszcze 12 000 jeńców: razem 61.000. Pędzimy Niemców na Don. Czy naprawdę czeka nas takie szczęście, że dożyjemy końca wojny!

## *28 listopada 1942 roku*

Wczoraj „Ostatnich wiadomości” nie było, wiadomo jednak, że posuwamy się naprzód. Wypieramy Niemców ze Stalingradu, dzielnica za dzielnicą.

Niemcy weszli do Tulonu, lecz flota francuska wysadziła się w powietrze: pancerniki, lekkie i ciężkie krążowniki, torpedowce i dwadzieścia pięć łodzi podwodnych. Jak mówi komunikat: „Rankiem port wyglądał wstrząsająco. Wszystkie okręty leżały na boku”. Można sobie wyobrazić! Dobrze jednak, że to wszystko nie dostało się Hitlerowi. W Afryce, jak widać, dojdzie wkrótce do decydującej bitwy o Bizertę.

„Prawda” z 25 listopada zamieszcza artykuł wstępny pod tytułem: „Leningrad, Odessa, Sewastopol, Stalingrad”. Zostaną ustanowione medale dla obrońców tych czterech miast. Ogarnia mnie dumą na samą myśl, że jedno z tych miast, Odessa, jest moim rodzinnym miastem oraz że sama znajduję się teraz - w Leningradzie.

## *29 listopada 1942 roku*

### *Ranek*

Ponieważ nasze radio wciąż jeszcze nie działa, więc wczoraj już po pierwszej w nocy przystano do nas dyżurnego z MPWO z „Ostatnimi wiadomościami”. Przerwaliśmy linie obronne Niemców na froncie centralnym pod Rzewem.

Słowa te, napisane na skrawku papieru, przeczytałam w lodowatym pokoju- przy świetle „nietoperza” (w nocy nie ma elektryczności.)

Ze wzruszenia nie mogliśmy zasnąć przez całą noc.

## *Dwunasta w nocy*

„Ostatnie wiadomości”. Ofensywa nasza rozwija się zarówno na Froncie Centralnym jak pod Stalingradem, gdzie przerwaliśmy jeszcze jedną linię niemieckich umocnień obronnych.

### *30 listopada 1942 roku*

Wspaniały reportaż Wasyla Grossmana w „Prawdzie” z 26 bm.: „Kierunek głównego uderzenia”. O Stalingradzie. Wycięłam i schowałam.

### *Dwunasta w nocy*

„Ostatnie wiadomości”. Ofensywa nasza trwa nadal. W ciągu jednego dnia mają Niemcy na Froncie Centralnym 7 000 trupów.

### *7 grudnia 1942 roku*

Za kwadrans druga w nocy.

Skończyłam! Przed chwilą skończyłam poemat!

### *16 grudnia 1942 roku*

„Południk Pułkowo” został już złożony. Nawet okładka jest gotowa. Jutro jadę ją oglądać.

### *17 grudnia 1942 roku*

Dzisiaj wracając ze Związku Pisarzy spytałam I. D., czy myśli, że mogę już teraz starać się o przyjęcie do partii..

Sama już od dawna postanowiłam, że uczynię to natychmiast po napisaniu poematu.

I. D. odpowiedział mi, że organizacja partyjna w Instytucie jest do mnie przychylnie ustosunkowana.

### *19 grudnia 1942 roku*

Obecnie trwa posiedzenie egzekutywy partyjnej. Złożyłam podanie. Dali mi rekomendacje: S. P. Iwanow, Zirmunskaja i Dmitrijewa. Wszyscy są pracownikami naszego Instytutu, ludźmi, z którymi wspólnie przeżyłam cały okres pobytu w Leningradzie. Za chwilę powinni mnie wezwać; podam swój życiorys.

### *23 grudnia 1942 roku*

Zostałam dziś przyjęta w poczet kandydatów partii. Zaczęła się nasza ofensywa w środkowym biegu Donu.

### *29 grudnia 1942 roku*

Niepokoi mnie piąty rozdział. Widocznie mimo wszystko wpakowałam do niego za dużo „mądrości”. Przebiegły K, powiedział, że rozdział ten jest najmądrzejszy ze wszystkich. Uchowaj Boże od takich pochwał.

Na froncie powodzi się nam znakomicie. Na południe od Stalingradu Niemcy zostali odrzuceni o 25 kilometrów.

W „Prawdzie” ukazał się opis i podobizny medali dla obrońców czterech miast.

### *1 stycznia 1943 roku*

Wczoraj późnym wieczorem, kiedy nasz stół noworoczny był już niemal nakryty - jasny, strojny, z pierożkami i winem - kiedy zebrali się już prawie wszyscy goście i czekaliśmy tylko na Wiszniewskiego - przemawiał tego dnia przez radio - zaczęto nadawać komunikat: wyniki naszej sześciotygodniowej ofensywy pod Stalingradem. Marietta i ja zastygłyśmy z kieliszkami w rękach, żeby szkło przypadkiem nie zadźwięczało.

Niemcy stracili w zabitych 175 000. Wzięliśmy do niewoli 137 650. Otoczyliśmy 22 dywizje nieprzyjacielskie. Pierwszy nasz toast wznieśliśmy za Naczelnego Wodza. Drugi - za Armię Czerwoną.



## *2 stycznia 1943 roku*

Ostatni dzień starego roku przeszedł nie tak, jakbym tego pragnęła. Zamierzałam zrobić w tym ostatnim dniu krótki przegląd swych osiągnięć i niepowodzeń. Rejestr mych nadziei. Nie zdążyłam jednak. Dziś również nie zdążyłam napisać o wszystkim. A przedwczoraj nie zdążyłam napisać o nocy nieustannych nalotów. Bomba upadła gdzieś w pobliżu: w naszym domu wszystko zachwiało się. Nie mogę z niczym nadążyć.

Byliśmy na choince w „Drugiej Chirurgii”. Chciałam deklamować chorem i nagle poczułam, że i mnie samej niewiele brakuje do choroby. Jestem bardzo zmęczona.

Męczy mnie piąty rozdział. Ludzie nie rozumieją go i nie lubią. Widać nie powiedziałam tego wszystkiego, co zamierzałam. Czyżbym zepsuła poemat nieudanym końcem? A przecież koniec wieńczy dzieło. Mam ochotę albo na napisanie czegoś wielkiego, albo na odpoczynek. Czytać! Tak mało teraz czytam.

No, dosyć tego dobrego! Uzałam się samej sobie, wyplakałam się we własną kamizelkę. Wystarczy.

## *6 stycznia 1943 roku*

Niedawno wróciłam z 11 korpusu, z oddziału terapeutycznego, gdzie urządzono choinkę dla personelu sanitarnego. Wśród sanitariuszek spotyka się wyjątkowo piękne dziewczyny - prawdziwie kwitnąca młodość, która wszystko zniosła, wszystko przetrzymała. A jak te same dziewczyny wyglądały zeszłej zimy!

Poczęstunek gwiazdkowy składał się z czarnej kawy z dulcyną (coś w rodzaju sacharyny, tylko bardziej przyjemna w smaku) i kromek czarnego chleba, posypanych glukozą, która przypomina wyglądem utarty twaróg. Powiedziałabym, że - smaczne.

„Mister Banting” - bardzo dobry. Nabrałam po nim ochoty do prozy.

## *7 stycznia 1943 roku*

Noc wczorajsza była bardzo burzliwa: alarmy do samego rana. Niemcy rzucali bomby zapalające całymi wiązkami. Niedaleko od nas zrzucili wielką bombę. Cały balon napełniony ropą naftową i różnymi mieszaninami zapalającymi,

Na froncie powodzi się nam wspaniale; odebraliśmy Nalczyk.

## *9 stycznia 1943 roku*

Zabawna rozmowa z I. D., który powiedział, że bezpośrednie trafienie bombą jest równie mało prawdopodobne jak wygranie 200 tysięcy na loterii i dlatego nie mam się czego obawiać. Uznałam to za przekonywający dowód. Nocą rozmyślałam jednak nad tym i rano zapytałam;

- No, dobrze, duża wygrana rzadko się trafia, ale drobne „wygrane” w postaci odłamków są dosyć częste.

I. D. przyznał mi rację.

## *14 stycznia 1943 roku*

Dzień wypełniony po brzegi. Wykończyłam wiersze, jeździłam do drukarni im. Wołodarskiego, gdzie sfilmowano mnie do kroniki, dwa razy wpadłam pod ostrzał.

W drukarni sfotografowano mnie przy linotypie, na którym składano mój poemat. Spytałam jakąś pracownicę drukarni:

- Jak tu było u was zeszłej zimy?

Odpowiedziała mi:

- Było tak, jakeście to, towarzyszeko Inber, opisali w waszym drugim rozdziale.

Na naszym odcinku frontu, pod Kołpino, zaczynają się dziać ważne rzeczy. Jeszcze jedna próba - tym razem poważna - przerwania pierścienia blokady. Dlatego właśnie Niemcy, których tam przyciskają, urządzają naloty na Leningrad i ostrzeliwiają go jednocześnie z artylerii.

W tej chwili trwa alarm, ale jakiś spokojny. Zenitówki milczą, mimo że pociski padają blisko i radio ogłosiło, że to w naszej dzielnicy. Nie wiem, czy mam się położyć spać. Jestem zmęczona, lecz zadowolona, a nawet szczęśliwa.

Żeby się tylko udało na froncie i żeby nie zginąć jak na złość właśnie teraz.

## *16 stycznia 1943 roku*

Niezwykły dzień. Całe miasto czeka. Już lada chwila! Wzięliśmy Szlisselburg - to fakt. Opowiadają również, że dwa nasze fronty - Leningradzki i Wołchowski - połączyły się. Oficjalnie jeszcze nic nie wiadomo, ale miasto czeka.

Słychać kanonadę artyleryjską, przed chwilą skończył się alarm: życie oblężonego miasta toczy się swoim torem. Wszyscy jednak czekają na coś. Nikt o niczym nie mówi, jak gdyby wszyscy bali się, że wypowiedziane w złą godzinę słowo może dolecieć tam, gdzie rozstrzyga się teraz nasz los, i coś zmienić. Wszyscy pracują. Ręce poruszają się, usta wymawiają potrzebne słowa, ale każdy naładowany jest - niby elektrycznością - oczekiwaniem.

Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nie mogę sobie znaleźć miejsca. Próbowałam pisać - też nie mogę. Chodziłam do komitetu dzielnicowego i zrobiłam sobie zdjęcia do legitymacji kandydackiej.

A może „Ostatnie wiadomości” będą dziś o nas?

### *Wpół do pierwszej w nocy*

„Ostatnie wiadomości” są takie, że nie można ich słuchać spokojnie. Zbliży się wyzwolenie!

### *18 stycznia 1943 roku*

#### *W nocy*

„Ostatnie wiadomości”. Blokada przerwana. Leningrad został uwolniony.

### *19 stycznia 1943 roku*

Zeszłej nocy, natychmiast po „Ostatnich wiadomościach” zaczęła się specjalna audycja radiowa.

Pierwszym moim odruchem było - pójść do radia. Nie miałam jednak nocnej przepustki. Później okazało się, że tej nocy przepustki od nikogo nie żądano. Poza tym bałam się, że nie zdążę. Mieszkamy przecież daleko od rozgłośni. Nie wiedziałam, że audycja przeciągnie się do trzeciej w nocy.

Siedząc w domu zdołałam jednak zapisać prawie wszystkie przemówienia. Szyrokow (robotnik) powiedział:

„Wiem, że teraz, w tej chwili nikt z was nie śpi”. Miał rację. Któż mógł spać?

Olga Bergholc:

„W styczniu ubiegłego roku, grzebiąc naszych towarzyszy broni w przemarzniętej ziemi, grzebiąc ich nagich, bez honorów wojskowych, zamiast słów pożegnalnych składaliśmy im przysięgę: „Blokada będzie przerwana. Zwycięzimy!”

Robotnica Mnuchina:

„Tylko co przyszłam z wiecu w warsztacie, a raczej - z wieców w warsztatach naszej fabryki. Co się tam działo, towarzysze! Słów braknie, żeby wszystko opowiedzieć. Będziemy pracować jeszcze lepiej, chociaż już raz zostaliśmy odznaczeni najwyższą nagrodą państwową”.

Inżynier pewnego zakładu przemysłowego, Sokołow:

„W chwili kiedy przemawiam do was, nasi ślusarze montują nowe maszyny, znajdujące zastosowanie w wojsku. Niech żyje ten, z którego imieniem na ustach walczyliśmy, pracujemy i zwyciężamy - nasz Stalin!”

Ilia Aleksandrowicz Gruzdiew:

„Towarzysze! Obywatele! Rodacy! Po tysiącokroć przeklęty wróg odczuł teraz potężną siłę Armii Czerwonej, potężną siłę narodu rosyjskiego. Wznosimy toast na cześć Lenina - największego stratega w historii i Stalina - spadkobiercy leninowskiego geniuszu!”

Jerłykin, lotnik:

„Faszyści przygotowywali dla swych żołnierzy medale za zdobycie Leningradu”. Wielokrotnie przedzierali się na swoich „Junkersach” i „Messerschmidtach” nad nasze miasto. Jednak leningradzkie niebo było, jest i będzie radzieckim niebem. Niech żyje ten, któremu poświęcamy pierwszą swoją myśl - towarzyszu Stalin!”

Cwietkow, żołnierz:

„Pozwólcie opowiedzieć o udziale żołnierzy mojej kompanii w przerwaniu blokady Leningradu. Przed dwoma dniami zaatakowaliśmy osiedle robotnicze. Nasze czołgi ruszyły na wroga, a my, nasz batalion - za nimi. Z okrzykiem: „Za towarzysza Stalina! Za miasto Lenina!” - runęliśmy na faszystów. Wypieraliśmy ich, plugawców przeklętych, z silnie umocnionego punktu, gdzie każdy budynek był jak twierdza. Podczas ataku wroga kula trafiła mnie w głowę. Twarz zalała się krwią. Dowódca batalionu kazał mi odejść do lazaretu. -Towarzyszu dowódco - powiedziałem - pozwólcie mi pozostać na polu walki do czasu wykonania wyznaczonego zadania bojowego».

Rankiem 17 stycznia zdobyliśmy osiedle i wtedy poszedłem do szpitala polowego. W walkach o Leningrad byłem trzykrotnie ranny. Trzy razy przelewałem swą krew po to, by wam było lżej. Za ostateczne zwycięstwo gotów jestem oddać całą swoją krew - do ostatniej kropli”.

Robotnica z fabryki N., Tania Sierowa:

„Jaka dziś radosna noc! Jak długo czekaliśmy na nią! I doczekaliśmy się - nareszcie! Przecięto czarną pętlę, którą wróg chciał zdławić nasze miasto.

Towarzysze! My również jesteśmy uczestnikami wielkiej ofensywy. Przez dziesięć dni i nocy, nie znając snu i odpoczynku, robotnicy naszej fabryki montowali dla was samochody pancerne. Samochody te poszły na front po zwycięstwo!”

Wszystkie przemówienia przeplatane były wierszami i piosenkami.

Napisałam dla zagranicy reportaż: „Połączyli się”. W drugiej części reportażu pisałam:

„Nawet w najgroźniejszych chwilach, podczas nalotów nocnych i ostrzałów, w leningradzkich zakładach przemysłowych nie przerywano pracy nocnej zmiany, chociaż w samej tylko drukarni w ciągu jednej nocy zerwane lampy, wysadzone siłą podmuchu ramy okienne i drzwi oraz spadające kawały tynku zraniły 47 ludzi.

Ostatni tydzień przed przerwaniem blokady Leningrad przeżył tak samo jak i poprzednie 16 miesięcy. Wieczorem pamiętnego dnia odbyły się dwa koncerty, na których wykonano utwory Skriabina i Czajkowskiego. W teatrze Domu Armii Czerwonej wystawiono „Rosjan” - Simonowa. W teatrze „Komedii muzycznej” - sztukę „Rozlało się morze szeroko” z życia marynarzy bałtyckich. W kinach, oprócz licznych filmów radzieckich, wyświetlano dwa filmy amerykańskie. W gazecie „Prawda Leningradzka” z 14 stycznia czytamy o podsumowaniu wyników pierwszego półrocza w szkołach. Okazuje się, że 60% uczniów nie miało ani jednej trójki, chociaż nie tak dawno pewien chłopczyk tłumaczył mi, że dostał „dwójkę” z arytmetyki, bo „bomba upadła”.

Podczas tych dni uczennica 4 klasy 49 Szkoły wygłosiła przez radio pogadankę dla młodzieży szkolnej na temat „Gołąb jako fotograf wojskowy”, a Wowa Kisielew z 52 Szkoły opowiedział o tresurze psa sanitarnego.

17 stycznia siedmioletnia dziewczynka, Lala Pritwic, powiedziała swej matce, nauczycielce angielskiego, że jutro lub pojutrze blokada na pewno będzie przerwana. Przedszkole zostało o tym zawiadomione przez oddział wojskowy, który utrzymywał z dziećmi przyjacielską korespondencję. „Oni przerwą blokadę i przywiozą nam pierniczków” - powiedziała Lala matce.

I kiedy 18 stycznia wieczorem padły przez radio słowa: „Blokada została przerwana” - Lala wyskoczyła z łóżeczka w nocnej koszulce. Drżąc z zimna i ze wzruszenia, wychudzone leningradzkie maleństwo, dziewczynka, która przeżyła blokadę, wskoczyła na krzesło, żeby dodać sobie wzrostu, i powiedziała głośno wiersz, którego nauczyła się tego dnia w przedszkolu: „Nie umknie Hitler przed zapłatą!”

Owa przyprószona śniegiem noc księżycowa z 18 na 19 stycznia 1943 roku nie zatrze się nigdy w pamięci tych, którzy ją przeżyli. Jedni z nas są starsi, inni - młodzi. Wszystkich nas czekają jeszcze w życiu - w większym lub mniejszym stopniu - rozmaite radości i smutki. Czekają nas jeszcze szczęście ostatecznego rozgromienia hitlerowskich Niemiec, całkowitego wyzwolenia naszej ojczyzny od wroga. Nigdy jednak nie zapomnimy radości, jaka zapanowała w wyzwolonym Leningradzie.

Zakłady przemysłowe, fabryki, sztaby MPWO, mieszkania prywatne, ulice, kliniki położnicze i szpitale, gdzie leżeli ranni, całe miasto obiegiło jedno krótkie zdanie: „Połączyli się!”

Oznaczało to, że oddziały Frontu Leningradzkiego, nacierające na Niemców od Leningradu, połączyły się z oddziałami Frontu Wołchowskiego, nacierającymi w kierunku Leningradu. Oznaczało to, że „pierścień blokady został przerwany”.

*20 stycznia 1943 roku*

*Okolo 10 wieczór*

Pierwszy alarm lotniczy od czasu przerwania blokady.

*23 stycznia 1943 roku*

Coraz bardziej zaciskamy pierścień otaczający Niemców pod Stalingradem, 8 stycznia Rokossowski postawił armii niemieckiej ultimatum, w którym było powiedziane: „Surowa zima rosyjska dopiero się zaczyna. Nastąpi jeszcze okres silnych mrozów i zimnych wiatrów. Wasza sytuacja jest beznadziejna”.

Niemcy odrzucili ultimatum. 10 stycznia rozpoczęło się nasze generalne natarcie, które trwa dotychczas... Nie uda się Niemcom uciec spod Stalingradu.

*23 stycznia 1943 roku*

Od pewnego czasu prześladowuje mnie zła passa. Mam nadzieję, że nie będzie to trwało długo, bardzo źle pracuję. Nie napisałam nic wartościowego o przerwaniu blokady. Dawno już zauważyłam, że uroczyste daty rzadko mi „wychodzą”. (Wyłączyłam radio na dziesięć minut. Przed chwilą włączyłam, a metronom już stuka: alarm).

Ciężko będzie w ciągu najbliższych dni. Niemcy, jak szerszenie, którym rozgrzebano gniazdo w dziupli, nadlatują i tną. Wczoraj alarm trwał prawie całą noc. Jedna bomba znowu wpadła do stawu w Ogrodzie Botanicznym. Dwie dalsze - na Pionierskiej i Wwiedzińskiej. Naloty będą się teraz często powtarzać. Niemcy chcą się zemścić za swoje klęski na całym froncie, a zwłaszcza na Północnym Kaukazie, gdzie odebraliśmy już Armawir.

Na dworze wściekły ziąb, w pokoju również nie jest za ciepło. W związku z tym „wytwarza się - jak powiedział pewien żołnierz - wzmocniony apetyt”.

*26 stycznia 1943 roku*

Przed chwilą słyszałam, jak przez radio nadawano mój „Nieznany pagórek”. Przyjemna muzyka.

## *27 stycznia 1943 roku*

Wczoraj pod Leningradem zestrzelono 28 niemieckich samolotów. Dzięki temu będę mogła dziś spokojnie pracować. Trzeba zabrać się do tekstu dla „Okna TASS”.

Radio znowu się zepsuło; nie mam pojęcia, co się dzieje na świecie. Jak powiedziała kiedyś Eufrosinja Iwanowna: „Bez radia żyjemy jak w ciemnej butelce”.

Słowa Bułatowa o pożarze wzniesionym przez bomby zapalające na Wielkim Prospekcie: „Treściwy pożar”.

## *28 stycznia 1943 roku*

Likwidacja 6 niemieckiej armii pod Stalingradem została zasadniczo zakończona.

## *31 stycznia 1943 roku*

Opowiadanie o F. - pracownicze i sekretarce organizacji partyjnej Biblioteki Publicznej.

F. i jeszcze jeden pracownik biblioteki weszli zeszłej zimy do mieszkania, w którym, według posiadanych wiadomości, miała pozostać mała dziewczynka. W mieszkaniu panowała śmiertelna cisza i ziąb: straszny obraz mieszkania z zeszłego roku.

F. i jej towarzysz zabierali się już do odejścia, gdy wtem wydało im się, że słyszą jakby czyjś oddech.

- Ktoś tu oddycha - powiedziała F. i podeszła do łóżka, zawalonego szmatami. - Ja potrzynam latarkę, a ty zobacz - zwróciła się do swego towarzysza.

- Nie, lepiej ja potrzynam, a ty zobacz - brzmiała odpowiedź.

Oboje czuli się nieswojo.

W końcu F. zdecydowała się. Odrzuciła i rozgrzebała zlodowaciałe kołdry. Na łóżku leżały zwłoki staruszki i staruszki: dziadek i babcia. Między nimi, na poduszce świeciła para jasných dziecięcych oczu. Była to wnuczka, trzyletnia, a może czteroletnia dziewczynka.

F. zaprowadziła ją do siebie. Dziewczynka była zawszona i miała odleżyny. Gdy ją wykąpano, powiedziała: - Daj kaszy.

Nakarmiono ją i położono w szpitalu, gdzie lekarze czynili wszystko, by uratować dziecko. Jednakże po siedemnastu dniach dziewczynka umarła. Nie udało się nawet dokładnie ustalić jej imienia: Maszeńka czy też Ninoczka. W swych pamiętnikach F. tak ją też nazywa: „Ninoczka - Maszeńka”.

## *1 lutego 1943 roku*

### *Piąta po południu*

Poszłam na spacer. Postanowiłam pójść swoją ulubioną drogą, wzdłuż Ogrodu Botanicznego. Ciężarówki, które kursowały przez Ładogę, już stamtąd odjechały i przejście jest wolne.

Nie zdążyłam jednak dojść do głównego wejścia do Ogrodu, gdy rozpoczęło się ostrzeliwanie, tak bliskie i tak gęste jak wówczas na Sitnym Rynku.

Oprócz mnie na ulicy znajdowała się tylko jedna kobieta z dzieckiem, która położyła się na chodniku, osłaniając dziewczynkę swym ciałem. Pobiełam z powrotem do domu przez karpowski mostek.

Wiedziałam, że biegnę pod pociski, ale nie mogłam się zatrzymać. Wpadłam na podwórze, a stamtąd do najbliższego budynku - do apteki.

W aptece zastałam I. D., który przyszedł tam po kodeinę. Kiedy go zobaczyłam, od razu cały strach minął. Wróciliśmy razem do domu.

Pocisków było dziesięć, nie więcej. Widocznie podciągnęli działo na samach żaglowych.

## *4 lutego 1943 roku*

6 armia niemiecka pod Stalingradem przestała istnieć. W rozkazie było powiedziane, jak w dawnych relacjach z czasów Piotra I:

„Wzięci do niewoli: marszałek polny - 1 (Paulus).

Generałów-pułkowników - 2.

Pozostali: generałowie-lejtenanci i generałowie-majorzy.

Łącznie wzięto do niewoli 24 generałów. Ogólna liczba jeńców - 91 000.

Operacje wojenne w Stalingradzie i pod Stalingradem zostały zakończone”.



## *5 lutego 1943 roku*

Wyjątek z pewnego listu:

„Leningradczycy zapoczątkowali okres obrony miast, Stalingradczycy zaś zamknęli go, otwierając nowy okres - rozgromienia hitlerowskich Niemiec.

Dzięki wam, Leningradczycy, za wasze wielkie usługi, oddane całej ludzkości, a przede wszystkim - naszemu narodowi radzieckiemu”.

## *8 lutego i 943 roku*

### *Jasny, mroźny poranek*

Dokucza mi newralgia. Zanim jeszcze zachorowałam, „powinęła mi się ręka”, tak jak czasami może „powinąć się noga”. Nie wiem, jak będzie z wyjazdem do Moskwy.

## *9 lutego 1943 roku*

O świcie rozpoczął się ostrzał artyleryjski naszej dzielnicy i trwał około czterech godzin. Wybuchy były rozmaite: to w powietrzu - podwójne, być może, odrzutowe, to znów niskie, przy których trzęsła się ziemia. Zdziwiająco rozgłośnie wybuchają pociski wczesnym rankiem w śpiącym mieście - jak gdyby w kamiennym amfiteatrze, w którym echo również rozmieszczone jest rzędami.

Eufrosinja Iwanowna mówi, że przywieziono do nas rannych „w ubraniach, a krew cieknie”. Znaczy to, że rannych przywieziono z ulicy. Jeden pocisk wybuchnął koło meczetu.

Niemcy mszczą się na nas za wszystko. Za Stalingrad przede wszystkim i za odbite wczoraj Kursk i Karoczę.

## *10 lutego 1943 roku*

### *Rano*

Rozkleiłam się do reszty, „wypadłam z rozkładu jazdy”, straciłam „rytm”, co jest dla mnie prawdziwą klęską. Gwałtownymi skokami i szarpnięciami niczego nie osiągnę; jedynie powolny, lecz stanowczy wysiłek może tu coś zdziałać.

Zmęczyła mnie newralgia i brak telefonu: wszystkie moje sprawy stanęły na martwym punkcie. Wyjazd do Moskwy zawisł w powietrzu. Jeśli zaś chodzi o książkę (proza), to w każdym razie należy pisać inaczej, niż przedtem myślałam.

Co najgorsze - w takich chwilach zaczyna słabnąć wola. Człowiek wie, że trzeba coś zrobić, lecz nie starcza mu sił. Łuk nie strzela: cięciwa osłabła.

Oto, co należy zrobić dzisiaj:

1. Bez względu na osłabienie, w żadnym wypadku nie kłaść się do łóżka. Zejść na dół, zasiąść przy telefonie i załatwić wszystkie sprawy.
2. Skończyć „Okno TASS” (już je zaczęłam o świcie).
3. Mniej się uskarżać. Trwoni się na -to bardzo dużo sił.

O literackim „utrwaleniu”. Same tylko uczucia w wierszach czy prozie szybko się ulatniają. Trzeba je koniecznie „utrwalić” konkretnymi szczegółami. To są najlepsze „utrwalacze”.

### *11 lutego 1943 roku*

Choroba moja ma może tę zaletę, że odegra rolę działu wodnego między wierszami a prozą. Bez przerwy myślę o napisaniu jakiegoś utworu prozą. (Wyjazd do Moskwy w dalszym ciągu jest niepewny). Znowu alarm. Nie wiem nawet - który z kolei.

Bijemy Niemców. Podeszliśmy już pod Charków. O zamieszanu w Niemczech „czytam i nie mogę się nacytać”, jak powiedział Puszkina - co prawda z innego powodu.

### *12 lutego 1943 roku*

Na dworze męcząca odwilż. To nie zeszłoroczna zima z jej „okrutną czułością”. Teraz wszystko taje: śliski, brudny wieczór. Newralgia biega po mnie bez przerwy i bawi się mną jak myszy kotem, gdyby tylko mogły.

W taką pogodę dobrze jest zagrzebać się po uszy w jakiś rozdział. Wyjazd do Moskwy został odłożony. Lotniska rozmiękły, a bezpośredniej komunikacji kolejowej na razie nie ma. Krótko mówiąc, trzeba bez wykrętów zabrać się do pracy.

## *14 lutego 1943 roku*

### *Okolo ósmej wieczór*

Huraganowy ogień artyleryjski podczas obiadu. Pociski padały gęsto i blisko. Cały budynek odczuwał siłę uderzenia - stękał jak człowiek, którego biją w dołek. Miotaly mną dwa sprzeczne pragnienia: pragnienie wypicia herbaty i nieprzeparta chęć zejścia na dół. Szybkimi łykami piłam na stojąco gorącą herbatę i w żaden sposób nie mogłam się od niej oderwać.

Kiedy nareszcie znaleźliśmy się w sztabie, wszystko już ucichło. Teraz również jest cicho. A jak będzie w nocy? Noc jest dzisiaj księżycowa aż strach.

## *15 lutego 1943 roku*

Miałam taki sen: na szpaltach gazety - nowy gatunek jaskółki ze śmigłem. Tuż obok strefa jej zasięgu - cały olbrzymi kontynent.

Myślę, że tak dziwacznie przeobraził się we śnie malutki, śliczny, poważny chłopczyk w długich narciarskich spodniach i czapeczce z angory, którego widziałam wczoraj na ulicy. Chłopczyk szedł ze swą babcią i przypatrywał się niebu, czy nie latają Niemcy. Matka machała mu na pożegnanie ręką i mówiła:

- Nie bój się, Wowiku, nie bój się. Zostajesz przecież z babcią.

To ci dopiero potężna obrona!...

Zdobyliśmy Rostów i Woroszyłowgrad.

## *Wieczór*

Bezlitosny księżyc. Alarmu co prawda nie ma, lecz ostrzeliwanie trwa w dalszym ciągu. Biją bardzo ciężkie działa. W całym mieście nie ma światła. Widocznie uszkodzona została jakaś linia. W naszym pokoju pali się „nietoperz”, przy którego świetle Marietta przygotowuje się do jutrzejszego wykładu - „Kwas pruski” i coś tam jeszcze. I. D. bezskutecznie usiłuje połączyć się z kimś telefonicznie.

We wszystkim wyczuwa się znużenie.

Nie, nie skończyły się jeszcze leningradzkie kłopoty. A przerwanie blokady... Też nie jest jeszcze ostateczne. Nie, nie tak się zakończy leningradzka epopeja. Wszystko odbędzie się inaczej: straszniej i majestatycznie.

## *18 lutego 1943 roku*

Powoli wciągam się do pracy. Po raz tysięczny powtarzam sobie, że nie można dopuścić do „wypadnięcia z rozkładu jazdy”. Pracować bez przerwy - od tego wszystko zależy.

## *25 lutego 1943 roku*

W wigilię Dnia Armii Czerwonej na prośbę żołnierzy z obsługi dział przeciwlotniczych przemawialiśmy w jednej baterii. I. D. wygłosił referat o sytuacji międzynarodowej, a ja mówiłam wiersze. Bateria ta ustawiona jest koło Tuczowskiego Mostu, na kilku połączonych ze sobą barkach. Prowadzono nas tam obok stadionu Lenina, po długich drewnianych mostkach. Newa ciągle jeszcze skuta lodem i taka zimna, iż wydaje się, że żadna wiosna nie zdoła się z nią uporać.

Na pokładzie, pod ponurym wieczornym niebem stały dziewczęta - żołnierze artylerii przeciwlotniczej.

Zebranie odbyło się na dole, w kajucie, gdzie dosłownie szpilki nie dałoby się wetknąć. Zanim zaczęłam deklamować, zabrał głos dowódca baterii, który powiedział:

- Wy, towarzyszeko Inber, słyszycie głosy naszych zenitówek prawie co wieczór. Teraz my z kolei posłuchamy waszego głosu, bo dotychczas słyszeliśmy was tylko przez radio.

## *5 marca 1943 roku*

W „Prawdzie Leningradzkiej” ukazał się niezwykle ciekawy reportaż Danczenki „Fabryka sztucznego białka” - o białkowych drożdżach. Fabryka zaczęła pracować przed rokiem, w najcięższym okresie blokady. Pracowali: profesor Szarków, docent Jałużny, inżynier Izrik, konstruktor Piętrowa, starszy chemik Zbrodowa, główny technolog Sartania i inni.

„Wśród tysięcy najrozmaitszych odmian znaleziono bakterię grzybka drożdżowego - mikroskopijną maszynę chemiczną, wytwarzającą w swym ciele białko z zawartego w drzewie cukru...” Fabrykę budowano na samym niemal froncie. „Budowniczo, ekipa montażowa, autorzy projektu i przyszła załoga wyjeżdżali co noc na pierwszą linię okopów. Na „ziemi niczyjej”, w rozwalonym pociskami budynku, znajdowały się maszyny niezbędne do uruchomienia fabryki. Rozmontowywano je o sto metrów od pozycji nieprzyjacielskich, starając się, by nie drgnęła zdrętwiała ręka i nie rozległ się zdradziecki szczęk metalu. O świcie ludzie wracali ciągnąc ciężki ładunek”. Dalej idzie opis procesu wytwórczego.

Pobrano pierwsze próbki do analizy. W soczewce mikroskopu wyłania się dziwaczny, co chwila zmieniający się świat. Jak strzała przelatują mgliste cienie o gwiazdzistych kształtach. To śmiertelni

wrogowie i konkurenci grzybka drożdżowego, którzy polują na niego i zjadają przeznaczony dlań pokarm.

Liczny zespół chemików pomaga grzybkom w ich rozpaczliwej walce o byt, która rozgrywa się w spokojnym na pozór basenie. Co chwila sprawdza się temperaturę i skład pożywki. Coraz wyraźniej dają się zauważyć owalne, przypominające ziarnka kawy, zarysy grzybków drożdżowych. Wysoka temperatura oszczędziła je niszcząc jednocześnie wrogów.

Zwiększa się koncentracja cukru. Dalsze litry brzeszczki wpływają do basenu. „Ziarnka kawowe” ożywiają się, odrętwienie mija. Grzybki przyzwyczyły się do otoczenia i z apetytem zabierają się do „jedzenia”.

Po trzech, godzinach brunatna piana zalewa brzeg basenu. Ilość grzybków wzrosła do pół tony. Urodzaj - pięciokrotny.

Upływa jeszcze pewien okres czasu i „zaczynają działać separatory. Potężne centryfugi oddzielają wodę”. I oto, nareszcie, „ukazuje się jasnobrunatna, plastyczna masa. Są to drożdże białkowe, których kilogram zastępuje trzy kilogramy mięsa”...

Przeczytałam cały reportaż jednym tchem. Teraz będę już całkiem innym okiem patrzeć na produkty drożdżowe, które jemy tak często.

*10 marca 1943 roku*

*Moskwa*

Nie doczekaliśmy się samolotu i pojechaliśmy pociągiem. Podróż była uciążliwa, z alarmami na ziemi i w powietrzu.

Bezpośredniego połączenia pasażerskiego Leningradu z Moskwą jeszcze nie ma. Jedynie pociągi towarowe kursują bezpośrednio przez most pontonowy koło Szlisselburga, u ujścia Newy do Ładogi. Kolejarze nazywają to miejsce „korytarzem śmierci”. Niemcy ostrzeliwują je krzyżowym ogniem z obydwu stron. Wszystko, co dochodzi do miasta - każdy worek mąki, każda puszka konserw - jedzie przez ten „korytarz”. (Przypomniałam sobie opowiadanie pewnego marynarza z Ładogi o tym, jak wiół kutrem cenny ładunek dla Leningradu. Było to jeszcze przed przerwaniem blokady. Zaczął się nalot. Cała załoga kutra została ranna, sternik nie stracił jednak panowania nad sterem. Ładunek dotarł pomyślnie do miasta. Spytałam: „A coście takiego wieźli?” Marynarz odpowiedział: „Kakao i czekoladę dla leningradzkich dzieci”.)

Załadowaliśmy się z I. D. na Fińskim Dworcu do przepełnionego wagonu. Do Borisowej Griwy przyjechaliśmy już późnym wieczorem, wśród kompletnych ciemności. Odnależliśmy naczelnika punktu ewakuacyjnego. Powlekliśmy nasze walizki na saneczkach po mokrym śniegu po wodzie niemal, do budynku, w którym mieścił się punkt. Tam też zanocowaliśmy.

Posłania zachowały zapach dezynfekcji, były jednak nienagannie czyste. Rozpaliliśmy w piecyku i wydostaliśmy nasze zapasy. Latarkę nam pozostawiono. Rankiem karetka sanitarna, jadąca na drugi brzeg Ładogi, podrzuciła nas do Kabon - miejsc rodzinnych Aleksandra Prokofiewa<sup>18</sup>. Wiosenny lód już tajał. Samochód jechał po kałużach.

W Kabonach, kiedy wsiadaliśmy do pociągu, rozpoczął się nalot. Po raz drugi przeżyliśmy nalot w Wołchowie, gdzie skupiło się dużo pociągów. Gdy w powietrzu rozległy się serie z karabinu maszynowego, spytałam I. D. - czy nie warto wstać? (leżałam na górnym miejscu sypialnym) I. D. odpowiedział:

- A dokąd pójdziesz? t

Istotnie, nie było gdzie się schować. Na prawo i na lewo - pociągi, a dalej zbombardowana stacja, pustkowie, ruiny... Zostałam w wagonie.

### *25 marca 1943 roku Moskwa*

Mimo nawału moskiewskich spraw, myślę bez przerwy o „wiosennym” rozdziale „Pułkowa”. Chciałabym wiosnę w Leningradzie pokazać tak jak zimę w drugim rozdziale.

### *27 marca 1943 roku*

Opowiadanie inżyniera R. o pewnych zakładach przemysłu zbrojeniowego, które podzielone zostały na dwie części. „Syn” po „pączkowaniu” oderwał się od ojca i przeniósł się na Ural, gdzie niezwykle szybko wybudował swoje własne oddziały fabryczne i zaczął doskonale pracować. Odebrał „tatusiowi” przechodni sztandar czerwony i jeszcze przysłał mu list, żeby się nie martwił.

### *14 kwietnia 1943 roku Leningrad*

Już dawno żaden z moich przyjazdów nie dał mi tyle radości, co ten powrót do Leningradu.

Po Moskwie, która tym razem była dla mnie wyjątkowo uciążliwa, po „orgiach” telefonicznych, po masie drobnych spraw i zupełnych drobiazgów, po obrzydliwym uczuciu - och, nie zdążę, spóźnię się!

---

<sup>18</sup> Aleksander Prokofiew - znany współczesny poeta radziecki (przyp. tłum.).

- po smutnych listach Żanny, po końcowym niepowodzeniu (spóźniliśmy się na lotnisko i musieliśmy wrócić do hotelu, gdzie z zaciśniętymi zębami rozpakowałam i na powrót spakowałam rzeczy) - po tym wszystkim - cudowna i nie męcząca podróż. Przykre było jedynie to, że okropnie marzłam w samolocie. Było potwornie zimno. Suchy, jasny i zimny dzień wczesnej wiosny.

Po drodze lądowaliśmy w Chwojnej. Zachód słońca, niebo bez chmurki. Błyszczący księżyc przypominał z wyglądu jakąś część samolotu: coś pośredniego między aluminium a srebrem. W Chwojnej zwolnił się jeden fotel, który natychmiast zajęłam. Co za przyjemność - po twardej ławce. Usiadłam wygodnie, opierając się plecami, jeśli się nie mylę, o matryce „Prawdy” i spałam, chociaż jednocześnie zamarzałam. Ładogę widziałam przez sen. Na środku jeziora nie ma już lodu. Dokoła panował spokój, lecieliśmy bez eskorty.

Wjechaliśmy do Leningradu, jak do zaczarowanego miasta, podczas księżycowego alarmu. Jasna noc; żaden dźwięk nie przerywa ciszy. Zastygłe tramwaje, puste ulice kąpiące się w chłodnej, wiosennej, księżycowej mgiełce. Jakie to wszystko niepodobne do Moskwy!...

Obecnie z lotniska do Litiejnego dojeżdża się specjalnym autobusem. To duże udogodnienie.

A w domu... Jak wszystko lśni i pachnie czystością! Jaka cisza panowała w nocy. Niemcy dali nam spokój. Po drodze, w czasie której porządnie zmarzłam, zasnęłam mocnym snem. Wystarczyło jednej leningradzkiej nocy, by całe zmęczenie po długich moskiewskich dniach zniknęło bez śladu.

W ogóle Leningrad wydaje się po Moskwie tak spokojny, tak odpowiedni do pracy.

Dziś rano postanowiłam: mimo wszystkie trudności trzeba będzie coś zrobić z piątym rozdziałem. Albo przerobić, albo napisać nowy.

Chciałam napisać o Flocie Bałtyckiej, o tragedii okrętu wojennego, który w żaden sposób nie może pływać - nie ma gdzie. Okręt jak gdyby wrósł korzeniami w wodę. Potężny pancernik, orzeł morski, zazdrości „ptaszkom” morskim i małym stateczkom, ścigaczom, myśliwcom morskim. Silny wystrzał artyleryjski. A ptaki mimo to szczebiocą. Przyzwyczyły się już: nie odczuwają strachu. Można by stworzyć pieśń okrętu, pełną romantyki, gniewu i wzbierającej wściekłości: „Gdzież te morza, po których pływałam?...”

To będzie pieśń wojenna 1943 roku. Wojna trwa nadal. Finał jeszcze nie nastąpił. (Znowu wszystko ucichło. Nie słychać już wystrzałów).

## *16 kwietnia 1943 roku*

Poszliśmy na spacer z Marietta, musiałyśmy jednak zawrócić z powodu silnego ostrzału szrapnelami. Chciałyśmy mimo wszystko pójść dalej, lecz spotkałyśmy Eufrosinę, która powiedziała:

- Dokąd idziecie, dokąd idziecie!... Tylko co koło kuźni wybuchło. Ja na czworakach, na czworakach z powrotem...

Kuźnia znajduje się akurat koło apteki, tam dokąd właśnie chcieliśmy pójść. Dzień był cudowny. Wiał niezbyt silny wiosenny wiaterek. „W takim dniu przyjemnie jest być żyjącym” - jak mawiał Jimmy Collins, amerykański lotnik, który już nie żyje.

Wczoraj odwiedzili mnie Tichonow, Wiszniewski, Kron, Azarów, Bergholc, Makogonienko. „Referowałam” swój pobyt w Moskwie. Było przyjemnie i wesoło. Pożegnaliśmy się podczas alarmu. Mówią, że w nocy był silny ostrzał, ale ja nawet się nie obudziłam.

Byłoby bardzo niesprawiedliwie, gdybym umarła właśnie teraz, kiedy tak bardzo pragnę żyć! Nigdy nie zapomnę Leningradu. Zapamiętam wszystkie oblicza tego miasta. Jeśli tylko zostanę przy życiu, dużo jeszcze o nim napiszę.

### *17 kwietnia 1943 roku*

Groźna noc! Groźna księżycowa noc! Alarmy zaczęły się z wieczora. W całym mieście waliły zenitówki. Wszystko to odbywało się w pełni blasku księżyca. Potem trochę się uspokoiło. Zasnęliśmy. W nocy obudziliśmy się od potężnego wstrząśnienia... nie od huków. Łóżko zachwiało się. Przypominam sobie, że kiedyś, dawno, przeżyłam coś podobnego: podczas trzęsienia ziemi na Krymie. A jeszcze dawniej - w Odessie, kiedy byłam maleńką dziewczynką. Nastąpił wówczas silny podziemny wstrząs. Było to latem, w nocy, a ja w samej tylko koszulce biegłam przez całe mieszkanie do ojca.

### *Siódma wieczór*

Wróciłam ze spaceru. Ulica Lwa Tołstoja została zagrodzona zaraz za budynkami szpitalnymi. Wisi tablica: „Uwaga! Przejście i przejazd wzbronione!” Niedaleko leży bomba. Upadła w bramie przechodniej, przez którą chodzimy zazwyczaj do komitetu dzielnicowego. Będą ją rozładowywać.

Dzisiejszej nocy czeka nas z pewnością to samo co wczoraj.

### *18 kwietnia 1943 roku*

#### *Piąta po południu*

Przed chwilą wróciłam z miasta, z olimpiady twórczości dziecięcej, którą zorganizował Pałac Pionierów wspólnie z Instytutem Doksztalcania Nauczycieli. Olimpiada trwa już od paru dni. Uczestniczą w niej szkoły wszystkich dzielnic, jeśli nie liczyć tych, które zostały ewakuowane.



-W salach Pałacu dzieci jednocześnie śpiewają, tańczą, deklamują i grają w orkiestrach. Pokoje w miarę możliwości zostały ogrzane i udekorowane. Urządzono wystawę rysunków, robót ręcznych i modelarstwa.

W maleńkiej niebieskiej salce z kopułą - 341 szkoła dzielnicy Wołodarskiej wykonała z towarzyszeniem własnej orkiestry piosenkę: „Machoroczka”. Część wykonawców dla wygody publiczności umieszczono na krzesłach. Wykonawcy stojący na podłodze spoglądali na tych na krzesłach z wyraźnym lekceważeniem.

Jednemu śpiewakowi wypadały właśnie przednie mleczne zęby. Uczyniono zeń na pewien czas dyrygenta, co pozwoliło mu stać tyłem do sali.

Skory do śmiechu Witia Iwanow, harmonista, co chwila chował twarz za harmonię. Był w mundurze z naszywkami starszego strzelca wojsk lotniczych.

116 szkoła dzielnicy Wyborgskiej pokazała przedstawienie kukiełkowe „Mądry Pietruszka”. Osoby: Pietruszka, świniarka, koń i krowa.

Starsze uczennice deklamowały wiersze. Jakże inaczej brzmią w dziecięcych ustach surowe, gorzkie strofy Olgi Bergholc i mój „Południk Pułkowo”.

Na zakończenie oglądaliśmy tańce rosyjskie. Przed rokiem dzieci te nie tylko tańczyć, ale nawet chodzić nie mogły - do tego stopnia były osłabione.

Z Pałacu Pionierów poszliśmy do Soboru Kazańskiego, na grób Kutuzowa: dawno się tam wybieraliśmy.

Kwietniowe obłoki płynęły nad Newskim Prospektem. Było wilgotno i dął silny wiatr.

W Soborze - marmurowy chłód. Ukośny słup światła słonecznego jak gdyby dymił się wśród kolumn. Nad grobowcem chylą się sztandary. Na marmurowej płycie - ryte złotem słowa Suworowa o Kutuzowie podczas szturmu Izmaïłu: „Miałem go na lewym skrzydle, lecz był mi prawą ręką...”

Wróciliśmy do domu. W czasie naszej nieobecności spadły na teren szpitala cztery pociski artyleryjskie.

### *19 kwietnia 1943 roku*

Cudowna „nielotna” pogoda: pochmurno, pada deszczyk. O, gdyby dla artylerii również istniała taka pogoda!...

### *27 kwietnia 1943 roku*

Przeziębiłam się w Filharmonii, na koncercie poświęconym pamięci Rachmaninowa. Te wielkie kamienne gmachy, skoro raz nasiąkną zimowym chłodem, trzymają go do następnej zimy.

Sala była przepelniona. Poznawałam wielu ludzi, których spotykałam tu podczas owych wieczorów, kiedy siedzieliśmy w walmach i szubach. Obecnie wszystko się zmieniło. Żyrandole wówczas zaledwie się paliły, a teraz kryształowe wisiorki jarzą się światłem. Wojskowi noszą nowe ordery, których nie było jeszcze jesienią 1941 roku.

Jest tylko bardzo zimno.

Siedziałam i czułam, jak zaczyna mnie opanowywać choroba. Nie starczyło mi jednak sił, by oderwać się od Drugiego Koncertu (fortepian z towarzyszeniem orkiestry). Utwór ten działa na mnie magicznie... nie mogę tego wyrazić słowami. Mróz mi przechodził po kościach, łącząc się z zębem na sali. Od tych mrozów fatalnie się przeziębiłam. Teraz leżę.

*29 kwietnia 1943 roku*

*Południe*

Wczoraj ostrzał był jednym z najsilniejszych, jeśli w ogóle nie najsilniejszym podczas całej blokady. Upadło 220 pocisków, jednak nie u nas, lecz w dzielnicy Kujbyszewskiej. Słyszeliśmy tylko dalekie odgłosy wybuchów, które były tak silne, iż wydawało się - że to u nas.

Pocisk trafił w gmach sztabu głównego MPWO i zabił komisarza. Inny pocisk przebił na wylot budynek rozgłośni radiowej, rujnując lokal „Ostatnich wiadomości radiowych”. Całe szczęście, że wszyscy otrzymali zawczasu rozkaz zejścia do schronu.

Znowu zaczęły krążyć coraz bardziej uporczywe pogłoski o bliskim szturmie na Leningrad. Na placu, niedaleko od „Prawdy Leningradzkiej”, buduje się bunkry o niespotykanej dotychczas wielkości i sile ogniowej.

Boli mnie prawe ucho. Szum w głowie i osłabienie. Nie tracę dobrego humoru: jestem zadowolona ze swego artykułu o dzieciach i z wierszy.

*1 maja 1943 roku*

*Okolo południa*

Dzisiaj o godz. 9 rano obudziłam się, ponieważ dom zaczął się kołysać. Kołysał się tak jak huśtawka, zanim się zatrzyma. To Hitler „złożył nam życzenia” w dniu 1 Maja.

Pocisków nie było dużo - około ośmiu sztuk. Wystrzelone zostały jeden po drugim (przypuszczalnie z dział umieszczonych na platformie kolejowej). Drugi taki „huragan” nastąpił w dzień, był jednak nieco słabszy.

Wczoraj w nocy o wpół do pierwszej był cudowny koncert. Hawajskie gitary i staroświeckie romanse tak wzruszająco rozbrzmiewały w eterze, który przed chwilą trząsł się od kanonady.

### *9 maja 1943 roku*

Nareszcie przyszedłam do siebie po dwutygodniowej chorobie. Miałam już początki zapalenia płuc, lecz zaczęto mi dawać sulfidynę. Sulfidyna zabiła „dyplokokki”, lecz o mały włos me zabiła mnie samej za jednym zamachem.

Teraz wszystko przeszło, została tylko newralgia. Wczoraj atak trwał sześć godzin.

A jaka cudowna wiosna nadeszła w czasie mych zmagañ z „dyplokokkami”! Nawet leżąc w łóżku widzę przez okno młode listki. Szaleństwo ogrodowe ogarnęło całe miasto. A ja leżę. Co najgorsze - nic nie zrobiłam w tym roku.

### *10 maja 1943 roku*

Dziś znów mocniej bolała mnie głowa. Leżę osłabiona, blada, zatruta lekarswami, z grzałką w nogach, opatulona w wełnę.

Okropne!

W pierwszym pokoju otwarto nareszcie okno. I taka rajska wiosna napływa do wnętrza!...

Niežnośna rozterka duchowa nie pozwoliła mi zasnąć przez całą noc. Wszystkie nie wykonane plany, nie urzeczywistnione zamierzenia, nie napisane listy, nie wysłane depesze, nie przemyślane do końca strofy - wszystko to wirowało w pędzie niby jakieś potworne koło, którego osią, nieszczęsnym środkiem, byłam ja sama. Zapaliłam światło i trochę popracowałam nad strofami przyszłego rozdziału. Zrobiło mi się lżej i zasnęłam.

### *13 maja 1943 roku*

*W południe*

Alarm skończył się. Był to jeden z najdłuższych alarmów w Leningradzie. Znajdowaliśmy się z Mariettą na podwórzu akurat w chwili, gdy Niemcy przelatywali nad naszymi głowami. Nasze zenitówki grzmiały. Całe niebo pokryte było ciemnymi obłoczkami wybuchających pocisków. Pewien lotnik, który przyjechał z frontu, powiedział: „Fryce usiłują zrobić skoncentrowany nalot”. Dodał, że „oni w ogóle ściągnęli tutaj nowe siły”, ale „Leningrad nie będzie się już długo męczył”.

Pogoda znowu popszała się, ale wieczory bywają niezwykle: złocisto - brunatno - niebieskie z malutkim, lecz niesamowicie błyszczącym księżycem i olbrzymimi jak w planetarium gwiazdami.

## *22 maja 1943 roku*

Zaraz powinni przyjechać po mnie z fabryki im. Kirowa. Już dawno prosili mnie, żebym urządziła tam swój wieczór autorski, ale ja albo chorowałam, albo byłam zajęta... Słyszę trąbkę samochodową pod oknem. To po mnie.

## *Wieczór*

Przed chwilą wróciłam z fabryki. Ludzi było dużo, słuchali mnie doskonale, chociaż po chorobie zaczęłam recytować znacznie gorzej, ciągle brakło mi tchu.

Klub fabryczny mieści się w schronie przeciwlotniczym, ponieważ Niemcy znajdują się tuż obok.

Trudno bez wzruszenia oglądać tereny fabryczne. To już niemal Stalingrad z reportażu Wasyla Grossmana „Kierunek głównego uderzenia”.

Mamy tu również „czarne kolosy hal fabrycznych; błyszczące od wilgoci i przeżarte już gdzieś rdzą szyny; zwały rozbitych wagonów towarowych, węgiel, potężne kominy fabryczne, podziurawione w wielu miejscach niemieckimi pociskami”.

Jednakże, w odróżnieniu od Stalingradu, Niemcy rozbili tu swoje „główne uderzenie” na masę nieprzerwanych uderzeń.

Kiedy wyszliśmy z piwnicy na świeże, majowe powietrze, doleciały nas dźwięki walca. Patefon stał pod gołym niebem na kawałku cegły, a dwie pary dziewcząt z drużyny sanitarnej, w spodniach i brezentowych długich butach, kręciły się powoli po podwórzu na tle wypalonego budynku fabrycznego. Nad nimi, jak gdyby strzegąc tych krótkich, wesołych chwil, krążył „jastrząbek”.

Przypomniała mi się fabryka „Siewkabel” na Wasilewskiej Wyspie, gdzie byłam latem zeszłego roku. Niemcy ostrzelują „Siewkabei” z Ligowa, znajdującego się na drugim brzegu zatoki. Wszystkie budynki są tam również poranione i rozbite. Do zionącej pustką wyrwy w jednym z nich zaglądał zuchwale z podwórza jakiś pachnący krzak.

Są to „strażnicze” fabryki Leningradu, podobnie jak niegdyś były „strażnicze” klasztory.

### *24 maja 1943 roku*

Wczoraj pojechałam czytać wiersze do pewnego oddziału morskiego, rozlokowanego jednak na łądzie, za Spaską Rogatką, w miejscowości „Miedwieżij Stan”. Przepływa tam rzeka Ochta. Cała okolica tonie w kwitnącej czeremsze.

Zarzucono mnie w samochodzie taką ilością bukietów, że wartownik sprawdzając mój paszport zapytał:

- A gdzie jest ta obywatelka?

Obdarowałam czeremchą wszystkich na naszym korytarzu.

### *25 maja 1943 roku*

#### *Dziesięć minut po trzeciej*

Przed chwilą coś tak walnęło w powietrzu, że o mały włos nie spadłam z fotela. Nigdy jeszcze nie słyszałam czegoś podobnego. Po dziesięciu minutach rozległo się powtórnie takie samo uderzenie. Myślałam, że to bomba, chociaż przypominało to raczej wybuch szrapnela.

Eufrosinja Iwanowna, która chciała się już zabrać do mycia okien, powiedziała:

- Cały nastrój zepsuli.

I z mycia nic nie wyszło.

Trzecie uderzenie. A radio milczy.

### *Nieco później*

Bułatów uspokoił mnie zapewniając, że to - nasi. Jakaś nowa, jak powiedział, „zabawka” została widocznie ustawiona niedaleko od nas i właśnie odbywało się próbne strzelanie.

## *26 maja 1943 roku*

Wczoraj zginął od pocisku profesor Abramson, bardzo utalentowany chirurg, który wykładał również w naszym Instytucie. Przed kilkoma dniami był u Marietty (słyszałam jego głos za ścianą) i prosił, aby mu pozwolono pokazać mi wiersze jego córeczki. Marietta odpowiedziała, że jestem teraz bardzo zajęta i że lepiej to będzie zrobić za parę dni.

Kiedy Abramson ginął od pocisku, oczekiwano go właśnie na posiedzeniu rady naukowej przy Instytucie Transfuzji Krwi. Aby przyjść tam na czas, profesor skrócił o 20 minut wykład dla studentów w szpitalu im. Karola Marksa. Abramson był bardzo punktualny i mawiał o sobie: „Nigdy się nie spóźniam”.

## *27 maja 1943 roku*

Abramson zginął nie od pocisku, lecz od odłamka bomby, który oderwał mu połowę głowy. Marietta widziała go wczoraj w trumnie: głowa przykryta gazą, wyrwa wypełniona watą. Rodzice-staruszkowie mieszkają również w Leningradzie.

## *28 maja 1943 roku*

Odwiedziła mnie Maria Nikołajewna Egersztrem z Instytutu Doksztalcania Nauczycieli.

W mieszkaniu Marii Nikołajewny od wybuchu bomb pięć razy wylatywały szyby. Za szóstym razem warunki mieszkaniowe stały się nie do zniesienia i M. N. otrzymała nowe mieszkanie. Ale jak załatwić przewóz rzeczy, jeśli za przeniesienie samego fortepianu żądano dziewięciu kilogramów chleba?

Dowiedziawszy się o tym, koleżanki Marii Nikołajewny urządziły „dzień dobrowolnej pracy”, który trwał w rzeczywistości trzy dni. Wszystko przeniesiono na rękach, z wyjątkiem fortepianu. Pracowały wyłącznie kobiety. Wśród wielu przedmiotów znajdowała się ciężka lampa z brązu: Prometeusz wznoszący pochodnię.

Gdy wszystko zostało już ustawione w nowym mieszkaniu, Maria Nikołajewna urządziła przyjęcie, na które poszedł cały przydział, który otrzymała jako krwiodawczyni.

Była herbata, kanapki i sałatka. Goście otrzymali podarunki. Przy każdym nakryciu leżało zawiadomienie o nadejściu „przesyłki”. Same „przesyłki” były opakowane i dokładnie zaadresowane.

Znajdowało się w nich to, co mogło sprawić adresatowi przyjemność: badacz Puszkina otrzymał miniaturowe popiersie poety, miłośniczka porcelany - stary talerzyk. Matki otrzymały książki dla dzieci.

Przyjęcie bardzo się udało, mimo kolejnego bombardowania. Goście pili herbatę, rozmawiali, a nad nimi wznosił swą pochodnię Prometeusz. W nowym mieszkaniu była elektryczność.

Maria Nikołajewna przysłała do mnie z prośbą, bym weszła do jury konkursu literackiego dla dzieci. Przyniosła mi masę zeszytów i tekturowych teczek wypchanych wierszami, poematami, opowiadaniem, pamiętnikami i pracami naukowymi o różnorodnej tematyce.

Uczeń klasy czwartej 26 Szkoły tak opisuje wejście Niemców do miast rosyjskich:

Gdy do naszych miast wkroczyli,  
Wszystkie sklepy rozwalili,  
Pili wódkę, brali smalec  
I konserwy otwierali  
I zjadali w jednej chwili.

Bardziej „dojrzały”, Gribiennikow - uczeń klasy 6 - nadesłał pracę pt. „Książka - przyjaciel człowieka”. Dowiedzieliśmy się z niej, że „w okresie od XVIII do XX wieku ludzkość posunęła się nader daleko w swym rozwoju”.

Zdarzają się prawdziwie cenne rzeczy, jak np. „Wojna w obronie Ojczyzny w pamiętnikach leningradzkich uczniów” (klasa szósta 10 szkoły).

Ciekawe jest opowiadanie pionierki Ziny Karasiewej „Pierwsza bomba”:

„Noc. Cisza. Gwiazdy. Księżyc jasno oświeca ulice. Leżę przy kominie na dachu, wsłuchując się czujnie w ciszę, i patrzę na niebo. Wysoko w górze widać Wielką Niedźwiedzicę, a trochę dalej - Małą. Ku memu wielkiemu zdziwieniu koło Wielkiej Niedźwiedzicy zjawiała się nowa gwiazdka. Nagle usłyszałam warkot samolotu, coraz mocniejszy i bardziej wyraźny. Domyśliłam się wtedy, że ta gwiazdka to samolot nieprzyjacielski”. Następnie Zina opisuje huk, łoskot i brzęk szyb. „Z dołu krzyczą: „Zina, Zina...” Biegnę na dół. Rodzice, którzy myśleli, że już nie zobaczą mnie żywej, nie wierzą swoim oczom. Ale ja, nie zwracając na nic uwagi, pytam: „Gdzie trafiła bomba?” Odpowiadają, że w sąsiedni dom. Biegnę w tym kierunku, by pomóc przy wynoszeniu i opatrywaniu rannych”.

Uczennica klasy dziewiątej 47 Szkoły, Inna Bitiugowa, napisała wypracowanie pod dość nudnym tytułem „Co dała mi praca w sowchozie”. W rzeczywistości jest to pełen czaru i poezji utwór.

Inna pisze, że jeszcze przed wojną „marzeniem moim było dokonanie czegoś bardzo dobrego i pożytecznego, żebym poczuła, że nie żyję na próżno”.

„Latem 1942 roku dla uczniów leningradzkich zaczęło się nowe życie, ogrodowe- życie owocnej pracy. Po pewnym czasie życie roślin pochłonęło mnie całkowicie. Zdawało mi się, że pielęgnuję maleńkich człowieczków. Jeszcze niedawno były to ledwo widoczne, słabiutki zielone istotki, a oto okrzepły ich cieniutkie nóżki i dumnie wznoszą się zielone główki. Patrząc na nie zrozumiałam nagle, że moje dawne marzenia stały się rzeczywistością.

„Wyobraziłam sobie dwie drogi. Jedna prowadzi na front, druga - do mego miasta. I po tych drogach biegną jeden za drugim człowieczki - warzywa. Oto jeden z nich podbiega do dużej kamienicy. W mieszkaniu siedzi na łóżeczku maleńka, jasnowłosa dziewczynka o zapadniętych policzkach. Ręce jej są cienkie jak patyczki. Wrogowie przynieśli jej głód, lecz mój malutki zielony człowieczek jest

silniejszy od wielotysięcznej armii nieprzyjacielskiej. Zielony człowieczek przyszedł osłabionej dziewczynce z pomocą. Policzki nabierają rumieńców, rączki zaokrąglają się, oczy zaczynają błyszczeć. Dziewczynka wstaje, zaczyna chodzić - i czuję, że w niej ucieleśniło się moje marzenie.

Inny człowieczek biegnie drugą drogą. Dokoła - wrogowie. Nie puszczają człowieczka, rzucają na niego bomby, strzelają pociskami, ale on drwi sobie z tego wszystkiego. Po pewnym czasie człowieczek wbiega do ziemianki, gdzie żołnierz - zwiadowca pochylił się nad mapą. Czeką go ciężka wyprawa. Wtem żołnierz spostrzega, że nie jest samotny: myślą o nim i troszczą się o niego radzieckie dzieci. Żołnierz zjadł warzywa i poczuł w sobie siłę olbrzyma. Śmiało poszedł na wyprawę i powrócił z niej jako zwycięzca. I wkrótce nad ziemią radziecką powiewał już radziecki sztandar..."

Bitużowa kończy tymi słowami:

„Teraz już wiem, czym jest praca. Czuję, że ponoszę za tę pracę odpowiedzialność, czuję, że nie jestem już uczennicą - dzieckiem, lecz uczennicą-żołnierzem. Pracowałam dla miasta i dla frontu”.

Na okładce swego opowiadania Inna Bitużowa narysowała kredkami burak, brukiew i małe rzodkiewki. Wszystkie warzywa mają miłe i przyjazne twarzyczki.

Dobre są wiersze Woroszejkiniej.

### *3 czerwca 1943 roku*

Upalny dzień - prawdziwe lato. Pojechaliśmy z Anną Iwanowna po kapelusze i po drodze złapał nas alarm. Nasz tramwaj zatrzymał się przed polem Marsowym, weszliśmy wszyscy do bramy. Stamtąd, jak z tunelu, widać było błękitny łuk pogodnego, promiennego nieba.

Przed chwilą radio znów nadawało komunikat o sprzedaży „w nieograniczonej ilości maści przeciwiperytywnej nr 5”.

### *4 czerwca 1943 roku*

Dowiedziałam się od Eufrosinji Iwanowny, że Niemcy „narzucali ulotek”. Znowu strzelają. Teraz, w tej chwili, gdzieś blisko nie walnęło, ale jakoś zasyczało...

Trzeba będzie zabrać się do „puszkinowskiego” wiersza. W 144 rocznicę urodzin Puszkina będziemy przemawiać przez radio w jego mieszkaniu na Mojce.



## *7 czerwca 1943 roku*

Nowy piąty rozdział jest już gotowy, na razie jako „rozczyń”.

Trzeba tylko uważać, żeby nie skwaśniał: jeszcze staruszek Goethe przed tym przestrzegał.

Wczoraj przemawialiśmy w mieszkaniu Puszkina, w którym nie byłam dotychczas ani razu. Pokoje stoją pustką: wszystkie meble zostały wywiezione i schowane w początkach blokady. Na kominkach i w oknach bukiety bzu i czeremchy (bez mamy w tym roku niezwykły: ciężkie, cudowne kiście, jak model do wyrzeźbienia w marmurze). Delikatny zapach ledwo zaczynających więdnąć kwiatów podążał za nami z pokoju do pokoju. W gabinecie Puszkina, przed pustymi półkami na książki, ustawiono mikrofon. Dom zachował się dobrze, podłogi są wyfroterowane, ale na ścianach w wielu miejscach widać pęknięcia. Szczególnie mocno uszkodzona jest ściana w dawnej sypialni Puszkina.

Na podwórzu, pod samymi oknami gabinetu - lej od bomby.

Napisałam o tym wszystkim krótkie sprawozdanie do „Prawdy”. Trzeba będzie częściej zajmować się dziennikarką, żeby nie wyjść z wprawy. Niech sobie żyje we mnie cała trójka: poeta, prozaik i dziennikarz.

Mamy dziś piękny dzień. Jeden z trzydziestu pięciu bezchmurnych dni w Leningradzie. W ciągu roku jest zaledwie 35 takich dni. Wyczytałam to w Wielkiej Radzieckiej Encyklopedii, w artykule „Leningrad”.

## *8 czerwca 1943 roku*

Dzisiaj w Smolnym udekorowano mnie medalem „Za obronę Leningradu”. W gabinecie Popkova zebrała się nas garstka przedstawicieli świata sztuki i nauki. Nikt jednak nie powiedział ani słowa po wręczeniu medalów. Jeśli chodzi o mnie, to byłam tak zmieszana, że również nic nie powiedziałam.

Ten maleńki metalowy krążek zamknął w sobie wszystko, cały Leningrad i pamięć o nim do końca życia.

## *10 czerwca 1943 roku*

I. D. nie je, nie pije. Prawie wcale go nie widuję. Ma masę kłopotów.

Radio nadało oświadczenie Roosevelta na konferencji prasowej w sprawie ewentualnej wojny chemicznej. Czyżby i to nas jeszcze czekało? Okropność, w obliczu której błędnie wszystko, co się dotychczas wydarzyło na ziemi.

Patrzę na zielone drzewa i zdaje mi się, że już żegnam się z nimi.

Już widzę je - obrócone w popiół.

### *14 czerwca 1943 roku*

I. D, wrócił dziś z „torfu”: ciągle się coś tam nie klei. Praca jest ciężka i studenci z trudem dają sobie radę.

### *15 czerwca 1943 roku*

Sprawy „ogrodowe”.

Jurij Władimirowicz Bajmakow, doktor chemii, który zakończył właśnie drugi tom pracy „Elektroliza w metalurgii”, umieścił na wystawie warzyw w Domu Naukowców sześciokilogramową brukiew. W zeszłym roku Bajmakow wypielegnował na swych grządkach w pobliżu Politechniki kartofle, których jednak nie zjadł, lecz zostawił na nasiona. W tym roku posadził kartofle nasienne. Sam przynosił worki z nawozami i użyźniał ziemię superfosfatem i chlorkiem wapnia. Urodzaj ze stu metrów kwadratowych - sześćset kilogramów ogrodowizny.

Mimo trudności z przydziałem papieru książka Bajmakowa wkrótce się ukáže.

Wiera Rodionowna Strieszniewa, Zasłużona Artystka Republiki<sup>19</sup>, już trzydzieści dziewięć lat występuje na scenie. Ogródek jej znajduje się w podwórzu. Urodzaj zapowiada się dobrze.

Pole Marsowe pokryte jest wzdłuż i wszerz grządkami profesorów. Widziałam, jak stary profesor posypywał swoją kapustę naftaliną, broniąc ją w ten sposób przed jakimś żuczkiem-szkodnikiem.

### *18 czerwca 1943 roku*

Pojechałyśmy z Wasiliewną i fotografem na wyspę Kirowa, obecnie - „wyspę dziecięcą”. W siedemnastu budynkach i pawilonach, znajdujących się na wyspie, rozmieścił się pierwszy od początku blokady obóz pionierski. Mieszka tu 942 dzieci, a w najbliższej przyszłości będzie ich 1500.

---

<sup>19</sup> Zasłużony Artysta Republiki - oficjalny tytuł honorowy, nadawany szczególnie zasłużonym artystom przez Prezydium Rady Najwyższej poszczególnych Republik Radzieckich (przyp. tłum.).

Pierwsze pytanie, które zadają dzieci przyjezdnym z miasta, to: „Ostrzału nie ma?” lub: „Jaki rejon ostrzeliwują?” Pewien chłopczyk zapytał:

- Jaka dziś perspektywa?

Inny, lat czternastu, prosił przy nas, żeby go puszczono do miasta:

- Matka ma dwumiesięczne dziecko, chcę zobaczyć, jak sobie beze mnie daje radę.

Dzieci są świetnie odżywiane: dostają glukozę i mleko. W reportażu dla zagranicy napisałam:

„W najlepszej dzielnicy miasta, na „Wyspach”, gdzie przed rewolucją budowali swe wille bogacze, mieszkają teraz dzieci, których ojcowie znajdują się na froncie, a matki pracują w przemyśle zbrojeniowym. Dzieci umieszczono w najlepszych mieszkaniach. Personel zajmuje małe pokoiki, w których mieszkała niegdyś służba.

Tylko w jednej willi, która niegdyś należała do zamożnego kupca rybnego, zwróciłam uwagę na to, że w pięknym, olbrzymim pokoju, o wychodzących na rzekę Ochtę oknach, mieszkały nie dzieci, lecz ich młodzieńcza wychowawczynie.

Dziewczyna zrozumiała moje nieme pytanie i zarumieniła się po same uszy, niemal po wianuszek z rumianków, nałożony na grube warkocze. (W tym czasie właśnie dzieci zbierały „zioła lecznicze”, jednakże wychowawczynie nie zapomniała, jak widać, i o wymogach estetyki).

- Tak, tak, macie rację - powiedziała dziewczyna. - W tym pokoju mogłoby się zmieścić przynajmniej piętnaścioro dzieci. Ale... proszę spojrzeć na sufit.

Podniosłam oczy na pretensjonalne, półokrągłe sklepienie wymalowane w liliowo-zielonkawe kolory sławetnego „décadence”. Obraz przedstawiał piersistą Ewę w rajskim ogrodzie. Wąż, uśmiechając się dwuznacznie, ofiarowywał jej jabłko.

- Jako pedagog, nie mogłam pozwolić, by dzieci oglądały ten obraz - ciągnęła dziewczyna z rumiankami - a one to właśnie czyniły. Postacie na obrazie wzbudzały strach w małych dzieciach i doprowadzały je do łez. Nie mamy w tej chwili wapna, żeby pobielić sufit. Dopiero kiedy skończy się blokada... A na razie sama muszę tu spać. Dzieci przychodzą tylko wówczas, kiedy udzielam im nagany. Ale wtedy przecież nie podnoszą oczu.

Na zakończenie młoda wychowawczynie dodała z zadowoleniem, że ostatnio musi udzielać nagany coraz częściej, ponieważ dzieci nabrały już dość sił, by psocić.

„Przedtem były na to za słabe”.

*24 czerwca 1943 roku*  
*Jedenasta w nocy*

Silne ostrzeliwanie, ale trudno się zorientować, w jakim kierunku. Pociski przelatują z gwizdem i z gwizdem wybuchają.

Widocznie to nie nasza dzielnica, ponieważ radio nadaje recital Sofronickiego<sup>20</sup> (och, bliski wybuch...)

Referat o poezji powinienam wygłosić 3 lipca (ciągle wydaje mi się, że jednocześnie strzela nasza artyleria).

Bardzo się martwię o I. D.: ma coraz więcej kłopotów. Torf, szpitalne gospodarstwo pomocnicze, służba w MPWO. Wszystko to oprócz zasadniczej, bieżącej pracy.

(Radio dopiero teraz nadało komunikat o ostrzale).

### *25 czerwca 1943 roku*

Odrobinę lżej na sercu, troszeczkę mniej się obawiam o I. D. Ożywił się zobaczywszy narzędzia ogrodnicze, które nadeszły w dostatecznej ilości dla pomocniczego gospodarstwa szpitalnego, i drożdże białkowe dla pracujących przy torfie.

### *30 czerwca 1943 roku*

To ci dopiero walnęli! I jak blisko! Znowu zaczyna się ostrzał. Znowu gwizd i wybuch.

### *4 lipca 1943 roku*

Zaszły u nas pewne niewielkie zmiany: wzięliśmy do domu syna kotki Maszki z kuchni głównej. Nazwaliśmy go Kuzia. Jest chudziutki, płaski, podobny do komara. Na nóżkach trzyma się niezbyt pewnie: ciągnie go jakoś w bok.

Wszyscy przychodzą oglądać Kuzię. Stwierdzono, że kotek ma silną krzywicę tylnych łap.

Wszyscy dosłownie pasjonują się teraz kociętami: każdy chce mieć jakieś żywe zwierzątko. Wymyśliłam zagadkę: „Dwa tysiące z ogonkiem - co to takiego?” Odpowiedź: „Kociak”. Tyle właśnie kosztuje, jeśli go się kupi za pieniądze, A za dużego, mądrego kota proponowano w pewnym miejscu „letnisko na Lisim Nosie, ale w silnie ostrzeliwanym rejonie”. Nie wiem, czy znaleźli chętnych.

---

<sup>20</sup> W. Sofronicki - wybitny pianista radziecki, znakomity wykonawca Chopina i Skriabina (przyp. tłum.).

### *6 lipca 1943 roku*

Na Orłowskim, Kurskim i Biełgorodzkim odcinku frontu Niemcy przeszli do natarcia. Walki trwają. Unieszkodliwiliśmy kilkaset czołgów (powyżej pięciuset), i zestrzeliliśmy przeszło dwieście samolotów. Możliwe, że już się zaczęło!

### *7 lipca 1943 roku*

Na Orłowskim odcinku frontu Niemcy zostali odparci, a na Biełgorodzkim na razie nie. Sytuacja stała się tam jeszcze bardziej naprężona.

### *8 lipca 1943 roku*

Wczoraj ostrzeliwanie ciągnęło się z przerwami przez cały dzień. Słyszałam, jak I. D. kazał przez telefon wydać na całą noc przepustkę do szpitala jakiejś nieszczęśliwej matce chłopczyka ciężko rannego w brzuch.

Nocny komunikat radiowy - taki sobie. Pod Biełgorodem dość ciężko.

### *12 lipca 1943 roku*

Urodziny przeszły przyjemnie. Wypiłam odrobinę wódki i byłam - co rzadko mi się zdarza - naprawdę wesoła. I wszyscy byli weseli.

Od redakcji „Prawdy Leningradzkiej” otrzymałam prześliczne róże, nie widziałam takich od początku wojny. Stoją jeszcze teraz na moim biurku.

### *Czwarta po południu*

Strasznie blisko dwa wybuchy. Na wszelki wypadek schowałam maszynę do pisania.

## *15 lipca 1943 roku*

Wpadłam - jak to określam - do „leja”.

Jeśli wyobrazić sobie życie w postaci rzeki (przypominam sobie znakomite opowiadanie Kuprina<sup>21</sup> „Rzeka życia”) ... jeśli wyobrazić sobie życie w postaci rzeki, po której człowiek z wysiłkiem wprawdzie, ale płynie, to w rzece tej zdarzają się niekiedy bezdenne leje.

Czasami uda się utrzymać na powierzchni: człowiek goniąc resztką sił prześlizguje się po samym skraju leja, lecz wreszcie, hura! - udało się. A kiedy indziej znów człowiek wirując opada coraz głębiej i oto spoczywa już na samym dnie.

Gdzieś tam w górze szczęśliwie toczy się życie. Gdzieś tam stoi twe biurko z rozpoczętą pracą, zachodzą wydarzenia, przepływają spotkania. A tu - martwy punkt, wyczerpanie. Osłabienie... bezgraniczny wstręt do jakiegokolwiek działania.

A przecież jedyny sposób wydobycia się z leja - to zacząć działać. Podobnie jak wówczas, gdy człowiek zamarza: chce się spać, a trzeba wstać. Zimno, a trzeba nacierać się śniegiem. Pracować i jeszcze raz pracować: to jedyne, co ratuje. A tak chce się leżeć i nic nie robić! Jestem zmęczona, moi drodzy, śmiertelnie zmęczona....

## *17 lipca 1943 roku*

Już od czwartej nad ranem nie można było spać. Z początku zenitówki, a potem wyjątkowo silny ostrzał. Teraz jest dziewiąta i wszystko stopniowo ucicha. Wybuchy milkną jak oddalająca się burza.

Byłam wczoraj za miastem w gospodarstwie zakładowym Instytutu, u J. A. Miendielewej.

Z pewnym, powiedziałałabym, zdziwieniem zauważyłam, że życie przyrody toczy się w swoją kolejną. Twory jej- są piękne jak dawniej.

Do tak górnolotnych rozmyślań doprowadziły mnie przedmioty i zjawiska najbardziej zwykłe w czasach pokojowych, a teraz po prostu oszałamiające: cielak, truskawki, róże.

Cielak wygląda tak jak nasz Kuzia w powiększeniu. Takie same długie nóżki i chwiejny, „boczny” krok.

Truskawki, czarne porzeczeki, maliny - wszystko to idzie na przygotowanie witamin dla wychowanków Julii Aronowny.

---

<sup>21</sup> Aleksander Kuprin - znany pisarz rosyjski (1870-1938) (przyp. tłum.).

A mój biedny piąty rozdział przypomina mi kwaśne mleko, któremu nie pozwalają się zsiąść. Wstrząsam nim, zaledwie zaczyna pokrywać się śmietanką - i wszystko na nic.

### *18 lipca 1943 roku*

Dziś upływa pięćdziesiąta rocznica urodzin Majakowskiego. Mam odczyt i przemówienie przez radio. Ponieważ jednak artyleria niemiecka ostrzeliwuje wszystkie niemal dzielnice jednocześnie, nie wiem, jak to będzie. Tramwaje nie chodzą, szyny w wielu miejscach zostały uszkodzone. Telefon nie działa. Nie mogę połączyć się z salą odczytową i dowiedzieć, czy wieczór się odbędzie. I. D. powiada jednak, że należy koniecznie pójść, ponieważ jestem prelegentem. On oczywiście pójdzie ze mną.

Na wszelki wypadek weźmiemy z sobą wszystkie ważne papiery. Dobrze byłoby wziąć także maszynę do pisania.

Tego rodzaju rzeczy najlepiej jest mieć przy sobie. Może się zdarzyć, że człowiek wróci do domu, a domu już nie ma.

### *19 lipca 1943 roku*

Wieczór poświęcony Majakowskiemu udał się zgoła wyjątkowo. Ludzi było niewielu - około stu. Wszyscy przenieśli się do maleńkiej sali. To naprawdę wzruszające, że w takim dniu ludzie mimo wszystko przyszli na wieczór literacki.

Po moim zagajeniu przemawiali Tichonow, Rywina i artyści.

Potem przemawiałam przez radio. Do domu wracaliśmy spokojnymi ulicami (ostrzeliwanie ustało już całkowicie).

Wisi jeszcze nade mną referat o poezji.

### *24 lipca 1943 roku*

Groźny dzień! Widać wyraźnie, że Niemcy stosują teraz zupełnie nową taktykę: krótkie ostrzały. Osiąga się w ten sposób większą ilość ofiar: najgorszy jest przecież pierwszy, nieoczekiwany pocisk. Poza tym przy takich ostrzałach trudniej jest ustalić położenie baterii nieprzyjacielskich.

Wczoraj do naszego punktu opatrunkowego - akurat naprzeciwko mego okna - podjechała ciężarówka na gazogeneratorze (nie sanitarna, lecz zwykła) pełna rannych zebranych na ulicy. Między

nimi znajdowała się jakaś kobieta w mundurze wojskowym, jakiś czło... (ale walnęło! Pójdę lepiej do sztabu. Jestem sama w domu. I. D. wyszedł, a Marietta ma dyżur.)

Posiedziałam w sztabie i wróciłam. Teraz jest chyba koło dwunastej w nocy. I. D. jeszcze nie przyszedł. Telefonował z miasta, że czeka na odwołanie alarmu. Zupełnie niepotrzebnie. Pierwsze minuty po odwołaniu są właśnie najniebezpieczniejsze. Niemcy tylko na to czekają, żeby zacząć wszystko od początku.

Co za krwawy dzień! Znowu przyjechała ciężarówka wyładowana trupami.

Spod brezentu wystają obnażone kości nóg. W przejrzystym półmroku białej nocy wszystko widać doskonale.

Ciężarówka zatrzymała się z początku przed oddziałem chirurgii urazowej, jednak lekarz dyżurny, który wyszedł stamtąd, zajrzał pod brezent i machnął ręką. Wówczas szofer-dziewczyna skierowała samochód w stronę prosektorium. Nikt z przywiezionych nie potrzebował już pomocy lekarskiej.

Nie zapisałam jeszcze wszystkiego o ciężarówce, która przyjechała wczoraj w dzień. Znajdował się w niej czternasto-, może piętnastoletni chłopak, najprawdopodobniej - „rzemieślnik<sup>22</sup> obszarpany i ziemisto blade. Leżał we krwi: obie stopy były zmiążdżone i zwisały w czarno-czerwonych strzępach. Kiedy układano go na noszach, krzychał:

- Najważniejsze - jak na złość! Taki młody jestem, a co oni ze mną zrobili! Lepiej by już zabili, do diabła!

Uderzyły mnie słowa „jak na złość”. Myślałam początkowo, że się przestyszałam. Okazało się jednak, że nie. Chłopca wniesiono już do budynku, a wciąż jeszcze rozlegał się jęk:

- Jak na złość!...

Chłopak napił się wody z kubka, który podała mu Eufrosinja Iwanowna.

Reszta rannych na ciężarówce milczała. Zaczęto wnosić kobiety. Jedna z nich była ranna w pierś, inna - w nogi. Kolana poparzone, osmalone prochem i potwornie obrzmiałe.

Wyniesiono wszystkich i w ciężarówce pozostały jedynie jakieś krwawe łachmany.

## *26 lipca 1943 roku*

Wczoraj znów było wielu rannych i zabitych. Chłopak z oderwanymi stopami zmarł.

Ważna wiadomość radiowa: Mussolini podał się do dymisji.

---

<sup>22</sup> Uczeń szkoły rzemieślniczej (przyp. tłum.).



## *28 lipca 1943 roku*

Wczoraj chirurg B. opowiadał o tym, jak podczas jednej z operacji (przecięcie flegmony) zimą 1942 roku krew i ropa zamarzły na jego rękach i musiano je później ściągać, jak rękawiczki.

## *3 sierpnia 1943 roku*

### *Wieczór*

O mały włos dziś nie zginęłam.

Za kwadrans ósma, przed zachodem słońca poszłam do naszego ogrodu po koperek; chciałam przygotować kolację przed przyjściem domowników. Marietta miała wykład. I. D. poszedł do komitetu dzielnicowego. Dałam mu słowo, że nie wyjdę na ulicę, ponieważ ostrzeliwanie trwało bez przerwy od samego rana. Słowo słowem, ale ogród to przecież nie ulica. Znajduje się tuż koło szpitala, na brzegu Karpowki. Dawne pustkowie, jeszcze za mojej pamięci zawałone przeżartym rdzą żelastwem, resztkami protez i strzępami materaców - zieleni się teraz wspaniale, jak masyw leśny widziany z lotu ptaka.

Była godzina podlewania warzyw. W ogrodzie zebrały się sanitariuszki, siostra-intendentka, tapicer (ma najlepszą ze wszystkich kapustę). Spokojny, letni nastrój. Karpowka też była przesłiczna - odbijał się w niej Ogród Botaniczny.

Między grządkami spacerowała sobie tak zwana „akademik Farrault” (Anfisa Siemionowna, żona głównego księgowego, Iwana Zacharowicza Krutikowa). Krutikow jest niemłodym już mężczyzną, pracuje w szpitalu od czterdziestu lat. Ma wąską, bladą twarz i niemal zupełnie bezdźwięczny głos. To chyba jeden z najspokojniejszych ludzi; jakich spotkałam w życiu.

Anfisa Siemionowna jest chora umysłowo. Dawniej pracowała w tym samym szpitalu jako lekarz-pediatra i nagle dostała pomieszania zmysłów. Od tego czasu to zamykają ją w domu obłąkanych, kiedy stan się pogarsza - to znów wypuszczają na prośbę męża. Małżonkowie są bardzo czule, po staroświecku, przywiązani do siebie i rozmawiają ze sobą na „wy.”

Anfisa Siemionowna (w czepku pod kapeluszem, w binoklach i z walizeczką w ręku) - jest osobą energiczną, gadatliwą, nieco despotyczną, zawsze o wszystkim poinformowaną i w gruncie rzeczy nieszkodliwą. Wymaga jedynie, żeby tytułowano ją „akademik Farrault”, oraz nadzwyczaj zręcznie kradnie klucze od drzwi i szaf, chowając je następnie do swej walizeczki. Kluczy tych niesposób od niej odebrać. Trzeba uciekać się do najrozmaitszych forteli.

Gdy weszłam do ogrodu, „akademik Farrault” kończyła akurat coś w rodzaju odczytu o szczurach, które po zjedzeniu dyni stają się nosicielami zarazków tyfusu.

Narwałam koperku i nagle, w chwili gdy wyciągałam rękę po dojrzały kabaczek, rozległ się gwałtowny, wybuch. To przed „Drugą Chirurgią” upadł pocisk. Po nim drugi - już w naszym ogrodzie. Potem trzeci.

Ujrzałam (dotychczas widziałam to z bliska tylko w kinie) słup ognia, dymu i ziemi - od samej podstawy aż do rozpryskującego się wierzchołka. Owionęła mnie fala gorącego powietrza. Przysiadłam między grzędami, starając się schować głowę w dużych liściach... już nie pamiętam dokładnie, jak tam było. Potem, gdy ucichło, zerwałam mimo wszystko kabaczek i pobiegłam do domu na uginających się nogach.

Pędzę co sił i widzę biegnących mi na spotkanie ludzi z „Drugiej Chirurgii”, którzy krzyczą, że na jednej z dalszych grządek przy nasypie został ciężko ranny Krutikow. Księgowy szedł właśnie z polewaczką, by podlać swe ogórki. Odłamek pocisku oderwał mu dłoń u lewej ręki. Potem przywieźli jeszcze do nas rannych z ulicy.

Najgorsze z tego wszystkiego, że Niemcy, jak widać, wstrzelali się do naszego szpitala. W ostatnich dniach trafiali coraz bliżej i coraz dokładniej. Teraz już zupełnie nie pudłują.

Cicha, parna, pochmurna i niespokojna noc. Kanonada artyleryjska me milknie w oddali.

Początkowo zamierzaliśmy przenocować w jakimś innym budynku, potem machnęliśmy ręką.

Teraz już wszystko jedno.

### *4 sierpnia 1943 roku*

Krutikow umarł wczoraj w nocy. Okazało się, że nie tylko stracił dłoń, lecz także - chociaż nie zauważono tego od razu - został ranny w brzuch. Najwięcej odłamków ugodziło w polewaczkę: Iwan Zacharowicz był cały zachlapany wodą.

Kiedy opatrywano mu rękę, powiedział swym spokojnym głosem, że boli go „w brzuchu”. Rozebrano go i ustalono, że drobny odłamek przebił otrzewną. Po upływie trzech godzin Krutikow umarł.

Najstraszniejszy ze wszystkiego był widok Anfisy szukającej męża. Rzuciła się najpierw do mnie i spytała, czy go nie widziałam. Odpowiedziałam, że nie. W sztabie usiłowali zapewnić ją, że dyrektor wysłał go na kontrolę ksiąg w gospodarstwie zakładowym. Anfisa odpowiedziała (zresztą zupełnie logicznie), że dyrektora, który wydaje takie zarządzenie podczas ostrzału, należy natychmiast usunąć.

W końcu domyśliła się wszystkiego, odnalazła męża w „Drugiej Chirurgii” i nie odstępowała go. Mąż jednak nie odzyskał już przytomności.

### *5 sierpnia 1943 roku*

Niezwykle ważna wiadomość radiowa: wyzwoliliśmy Orzeł i Biełgorod. Na cześć tego wydarzenia Oddano w Moskwie salwę honorową ze 120 dział, której niestety nie słyszeliśmy. Spoglądaliśmy tylko na zegarki i mówiliśmy:

- Właśnie teraz!

## *6 sierpnia 1943 roku*

Mój referat wyszedł niezłe. Ludzi było dużo. Przyjechali nasi frontowcy.

Przygotowałam się starannie. Przeczytałam wszystko, co podczas wojny leningradzcy poeci napisali w mieście i na froncie. (Przypominałam sobie w tej chwili, jak zeszłej wiosny, z inicjatywy Kietlińskiej pojechaliśmy z nią na przesmyk Karelski, do oddziałów wojskowych, urządziłyśmy tam „sesję wyjazdową” i przyjęłyśmy do Związku Pisarzy Michała Dudina, pracującego w gazecie dywizyjnej).

W referacie mym mówiłam o tym, że każde nowe zjawisko społeczne ukazuje się nam, pisarzom, początkowo w ogólnych zarysach, bez szczegółów, niemal płasko. Jest to jak gdyby wyspa widziana z okrętu. Im bardziej jednak zbliżamy się do niej, tym wyraźniej dostrzegamy, że to cały kontynent. Oczom naszym zaczynają się ukazywać coraz to nowe szczegóły (w tym miejscu zacytowałam tych pisarzy, którzy - moim zdaniem - zatrzymali się w przedstawieniu wojny na tym właśnie pierwotnym, „płaskim” okresie i nie posunęli się dalej).

Mówiłam także o „fatalnej sile bezwładności”, która rozrasta się w nas czasami z szybkością chwastów i ciągnie do pisania o tym, co już sobie przyswoiliśmy. A tymczasem czytelnik zdążył już nas wyprzedzić i oczekuje innych rzeczy.

Przeszłam później do zagadnienia czystości języka, kompozycji, wyboru tematu, redagowania utworu i wreszcie do sztuki przerabiania tego, co należy przerobić. Słusznie przecież powiadają, że „Apollo jest bogiem poprawek”. Rzadko, stanowczo za rzadko wyczuwamy w wielu utworach obecność tego „boga”. (Już po referacie przypomniałam sobie piękne indyjskie przysłowie: „Tylko cierpliwość zmienia liść morwy w jedwab”).

Referat był duży i szczegółowy. Na zakończenie powiedziałam: „Przekonał się o sile naszych wierszy, potwierdzają to listy czytelników. Nasze książki ludzie zabierają na front, noszą ze sobą, czytają przed atakiem.

Uczyńmy wszystko, aby poezja dni wojny o wolność Ojczyzny - a zwłaszcza poezja leningradzka - była godna tego wielkiego celu, któremu służy: zniszczenia faszyzmu i zwycięstwa sprawiedliwości”.

Dyskusja nad referatem odbędzie się jutro.

Wracając do domu samochodem „Prawdy Leningradzkiej” wpadliśmy na Litiejnym w sam środek ostrzału. Pocisk: padały z prawej i z lewej strony. Znów ujrzałam słupy dymu od podstawy do wierzchołka. Nie były jednak czarne jak u nas w ogrodzie, lecz żółte i czerwone, zależnie od tego, czy trafiony dom zbudowany był z kamienia, czy z cegły.

Strasliwe uderzenia wstrząsały ulicą: wszyscy uciekali pochyleni. Na przystanku tramwajowym wielu ludzi położyło się na ziemi. Przypomniałam sobie opowiadanie Nataszy o tym, jak podczas ostrzału na ulicy jakiś wojskowy przycisnął jej głowę do ziemi i przykrył swoją teczką. Wahaliśmy się przez chwilę, czy wyskoczyć z samochodu i schować się w bramie, czy jak najszybciej jechać naprzód. Wybraliśmy to drugie.

Wśród łoskotu i deszczu odłamków minęliśmy błyskawicznie Litiejny (my, trzy kobiety, siedziałyśmy w samochodzie, przytulone do siebie). Wyjechaliśmy na Newski, a ogarnięci paniką ludzie biegą stamtąd prosto pod pociski.

Na domiar wszystkiego szofer omal nas nie zabił na skrzyżowaniu ulic. Wydało mu się, że z bocznej ulicy nadjeżdża na nas samochód. W rzeczywistości jednak samochód ten zauważył nas i zatrzymał się.

Wkrótce po powrocie do domu przybiegł z komitetu dzielnicowego przestraszony I. D., którego zawiadomiono, że Niemcy ostrzelują „Wołodarski kwadrat” - ten sam właśnie, w którym znajdowałam się w postaci kropki.

No, ale teraz dopiero Leningrad dostanie od Niemców za Orzeł i Biełgorod!...

### *7 sierpnia 1943 roku*

Nasze obrady literackie zakończyły się wczoraj późnym wieczorem wśród grzmotów i błyskawic (literackich).

Wiszniewski odwiózł mnie do domu swoim samochodem. Byłam pochłonięta obradami i nie od razu zauważyłam, że przechodząc przez nasze podwórze stąpam po masie odłamków, jak gdyby po szklanych liściach.

Przyjrzałam się uważniej i zobaczyłam, że murowana jednopiętrowa oficynka koło bramy jest doszczętnie zburzona: dwa bezpośrednie uderzenia. Nikt jednak nie ucierpiał. Wszyscy zawczasu wyszli.

Kiedy przyglądałam się oficynie, przypomniało mi się, że siedząc w prezydium i przygotowując się do podsumowania wyników dyskusji, usłyszałam daleką kanonadę i zdążyłam jeszcze pomyśleć: „Jaka to nieszczęsna dzielnica tak cierpi?”

Okazało się, że to nasza dzielnica, a nawet nasze podwórze.

### *8 sierpnia 1943 roku*

Jestem sama. I. D. i Marietta pojechali do miasta po żywność. Mamy dziś upalny, zupełnie letni dzień. Niedziela.

Obłąkana „akademik Farrault” schowała klucze od wszystkich ogniotrwałych szaf i kaset, w których schowane są pieniądze i księgi rachunkowe nieboszczyka Krutikowa. Chwytano się dziesiątków forteli i podstępów - na razie bez powodzenia. I. D. bardzo jest przygnębiony.

### *9 sierpnia 1943 roku*

Wczoraj był najstraszniejszy ze wszystkich leningradzkich ostrzałów. Pociski z diabelską dokładnością padały w śródmieście, przeważnie na skrzyżowaniu Newskiego i Sadowej, koło przystanku tramwajowego. W tym czasie było tam pełno ludzi, jak zwykle w dniu świątecznym. Ostrzał rozpoczął się w kilka minut po tym, jak I. D. i Marietta, obładowani sprawunkami, wsiedli do tramwaju nr 3 i pojechali. Pierwszy pocisk trafił w tramwaj nr 12, idący zaraz za nimi - było tam 28 zabitych i 62 rannych.

### *10 sierpnia 1943 roku*

Oto zbliża się już koniec lata. Już pierwsze żółte liście leżą na asfalcie. Codzienny groźny i jednostajny (w tej chwili również) gwizd pocisków. Mimowolny lęk przed ulicami. Chęć znajdowania się jak najbliżej wejścia frontowego lub bramy, żeby można było się schować przy- pierwszym uderzeniu. Nie tylko ja cierpię na to... Ciężko. Ponuro.

### *11 sierpnia 1943 roku*

Za oknem mży deszczyk. Jesień. Niech już sobie to lato mija! Jak powiedziała Eufrosinja Iwanowna - „Nie widzieliśmy krásnego lata. Widzieliśmy tylko, jak krew płynie”.

Gdy wróciłam dziś do domu, po upływie dziesięciu lub piętnastu minut rozpoczął się huraganowy ogień. Ogółem upadło sześć a może siedem pocisków. Jeden wybuchnął na ulicy Lwa Tołstoja, drugi - za ogrodem, naprzeciwko szkoły. Trzeci wreszcie - na terenie szpitala, w tym samym niemal miejscu, gdzie zginął Krutikow.

Ludzie mówią, że Niemcy celują w fabrykę „precyzyjnych mechanizmów” („Pirometr”), która niedawno znów zaczęła pracować.

Fotoreporter K. opowiedział mi wstrząsające szczegóły niedzielnego ostrzału na rogu Newskiego i Sadowej: krwawy przystanek tramwajowy. Na bruku leżały strzępy ludzkich ciał, bańki blaszane, torebki, łopaty, warzywa. Wielu ludzi jechało do swych zamiejskich działek ogrodowych, wielu powracało stamtąd. K. widział urwaną rękę z papierosem, który jeszcze dymił. Buraki i marchewki pływały we krwi. Strażacy zmywali później krew z jezdni i chodników.

Muszę się przyznać uczciwie, że bardzo boję się tego przystanku tramwajowego. Niemcy wstrzelali się w to miejsce jeszcze wówczas, gdy ostrzały były rzadkością.

### *12 sierpnia 1943 roku*

Rozpoczynają się już poszukiwania krewnych i znajomych, którzy nie przyszli do domu lub do pracy.

Doktor S., która sama jest chora, poszukuje córki. Biblioteka Publiczna poszukuje jednej z pracownic. Natasza - inżyniera K, swego sublokatora, kolegi jej syna. Już od trzech dni nie ma go w domu.

Piszę i myślę: za chwilę rozpoczną się wczorajsze przeżycia. Trzeba jechać do miasta - a mam porządnego stracha. Przychodzą mi na myśl słowa sanitariuszki Nasti: „Lepiej by już było - tak jak stoimy - całą siłą uderzyć. Albo by zginęli wszyscy, albo Niemca odparli. A tak - to nie życie”.

### *13 sierpnia 1943 roku*

Za oknem - deszczyk. Szare chmury. Lubię taką pogodę. Wybieram się do Moskwy.

### *18 sierpnia 1943 roku*

#### *Moskwa*

Już jesteśmy w Moskwie. Lecieliśmy wspaniale. Z wygodami i honorami. Widok miasta przy zbliżaniu się do lotniska był niezwykły - puste, zalane światłem księżycy, z reflektorami tonącymi w poświacie księżycowej, z „żyrandolami” rakiet na horyzoncie. Siedem nieruchomych kul, wiszących w niebie.

W Moskwie nastała już zimna jesień, ale ludzie są dla mnie czuli i pełni ciepła...

*24 sierpnia 1943 roku*

*Moskwa*

Wczoraj o dziewiątej wieczorem oddano na cześć wyzwolenia przez nas Charkowa dwadzieścia salw z 224 dział. Całe niebo iskrzyło się setkami rakiet i różnokolorowych świetlnych pocisków. Były to kropki, kreski, linie i małe kule. A wokół miasta grzmiały salwy. Stałyśmy z Żanną w oknie mego pokoju hotelowego na dziewiątym piętrze. Podwórce pod nami było jasne i niebieskie, w oknach wszystkich pięter migały różnokolorowe odbłaski. Oklaski z ulicy dobiegały nas na dziewiątym piętrze.

*5 września 1943 roku*

Nie, to naprawdę doskonale, że tu przyjechałam. Nareszcie skończył się ten stan duchowy, w którym znajdowałam się w ostatnim czasie. Stan, kiedy wszystko w duszy jest oświetlone i nieruchome, jak gdyby zapaliła się nad nią nieprzyjacielska rakietka.

*8 września 1943 roku*

Doniosła wiadomość: Włochy skapitulowały. Oficjalnego komunikatu jeszcze nie było, ale to na pewno prawda. W Donbasie wzięliśmy Stalino.

*9 września 1943 roku*

Dziś o szóstej rano radio nadało komunikat o kapitulacji Włoch.

*23 września 1943 roku*

Zbliża się dzień odjazdu. Kończę już załatwianie swoich spraw. Nie zdążyłam tylko nic napisać - tyle krzątania.

## *Ósma czterdzieści wieczorem*

Wyzwoliliśmy Połtawę. Ujrzymy dziś salwy honorowe przy deszczu: tego jeszcze nie było...

Salut bez deszczu, ale pod chmurami. Rozlega się jeszcze donośniej. Majestatycznie i groźnie.

Druga salwa za miasto Unieczę rozlega się już podczas deszczu. Purpurowe i zielone odbłaski odbijały się w mokrym asfalcie jak w lustrze.

## *24 września 1943 roku*

### *Moskwa*

Znakomity dzień pracy. Wszystko udało się, wszystko zdążyłam zrobić. Odlatuję prawdopodobnie we wtorek.

Dziś w Sowinformbiuro doznałam niemal zawrotu głowy. Okazało się, że cały świat stoi otworem przed moimi utworami - od Szwecji do Egiptu, wszędzie mnie czytają.

Trzeba więcej pisać, przede wszystkim prozę. Pragnę, by wszędzie czytali mnie i lubili przyjaciele mojej ojczyzny.

## *25 września 1943 roku*

### *Moskwa*

Niemcy uciekają szybciej niż Francuzi w roku 1812. Wyzwoliliśmy dzisiaj Smoleńsk i Rosławł. Salut był podwójny - z 224 dział.

Smoleńsk jest wolny!... Okazuje się, że Niemcom nie starcza sił na utrzymanie się na linii Dniepru.

A co będzie z Kijowem? A Leningrad - to przecież najważniejsze. A więc i to miasto będzie kiedyś wolne?

Jak pragnę tam się znaleźć! Jeśli cieszyć się - to w Leningradzie!

## *26 września 1943 roku*



Wróciłam z Pieriediełkino, gdzie spędziłam cały dzień.. Zniosłam to lżej, niż przypuszczałam. Być może dlatego, że była cudowna, jesienna, złota pogoda. Znalazłam dwa maślaki i jedną pieczarkę.

Stróżka powiedziała mi: „Nie szukaj, nie znajdziesz. Wojna się kończy i grzyby zginęły”.

Dziwne naprawdę są te ludowe wierzenia. Jesienią przed samą wojną grzybów było niesamowicie dużo. Zbieraliśmy je na naszej działce całymi koszami i nie wiedzieliśmy, co z nimi robić. Stróżka powiedziała wówczas: „To na wojnę”.

Nasz dom w Pieriediełkino świeci pustkami. Ani jednej teczki z papierami, ani jednej fotografii. Moje pamiętniki, wycinki z gazet, najrozmaitsze drobiazgi... wszystko znikło. Prawdopodobnie poszło na rozpałkę w piecu. To by jeszcze nie było najgorsze. Przykro pomyśleć, że porozrucane i osierocone moje papiery poniewierają się gdzieś w obcych rękach i że ktoś czyta je obojętnie, nic nie rozumiejąc. Stałam długo w pokoju, w którym mieszkał nasz Miszeńka. Pozostały gwoździe po listwie, o którą uderzył się w główkę, kiedy go wyjmowałam z łóżeczka.

Jedliśmy obiad u Afinogenowów. Brak gospodarza daje się wyraźnie i bardzo boleśnie odczuć. Wydaje mi się, że jeszcze widzę jego uśmiech, niebieską koszulę, słyszę jego głos.

*28 września 1943 roku*

*Moskwa*

Wszystko gotowe, wszystkie rzeczy zapakowane. Dobrze byłoby jutro odlecieć! Dzisiaj nie było samolotu. Chciałabym już znaleźć się w Leningradzie. Walki na witebskim odcinku frontu - to już dotyczy się bezpośrednio naszego miasta. Trzeba żyć i dożyć do jego wyzwolenia. Do rozgromienia Niemców pod Leningradem lub do ich ucieczki.

*29 września 1943 roku*

*Moskwa*

Zanosi się na piękną pogodę. Żeby tylko dziś odlecieć! Tyle energii straciłam na rozmowy telefoniczne, że starczyłoby jej z nawiązką na poruszenie małego motorka.

*3 października 1943 roku*

*Leningrad,*

Lecieliśmy dobrze.

Przez cały dzień ciągnęliśmy nad stojącymi w jesiennej szacie lasami, nad którymi błękitniało stygnące niebo. W Leningradzie wylądowaliśmy niemal o zmierzchu (dni robią się coraz krótsze), a z lotniska jechaliśmy autobusem w zupełnych ciemnościach.

W ciągu dwóch dni po naszym przyjeździe nie było jeszcze ani jednego bliskiego wybuchu.

Strzelają gdzieś daleko i z dużymi przerwami.

Z rozmów dziecięcych w 1942 roku. Chłopczyk pyta:

- Mamo, a co to takiego szynka?

Matka tłumaczy. Chłopczyk:

- A czy ktoś jej próbował?

Dziewczynka:

- Mamo, a ile waży olbrzym? A co dostaje na kartki?

Trzecie dziecko czytało wiersze Lermontowa: „Przysięgam na pierwszy dzień *konfityr*” ( zamiast „stworzenia”<sup>23</sup>).

Dzieci dużo myślały wtedy o jedzeniu... dorośli zresztą również.

## 7 października 1943 roku

Ewakuowana dziewczynka pisze do matki: „Zapoznaję się z karabinem i czytam »Martwe dusze«,„. Posyła matce w liście motyla i pisze: „To motyl stepowy. Takich w Leningradzie nie ma”, i dopisuje w końcu listu: „Proszę cenzurę wojskową, żeby przypadkiem tego motyla nie wyrzuciła i nie połamała”.

Są to wyjątki z listów córki Marii Nikołajewny F. Sama Maria Nikołajewna była w 41 roku kierowniczką kina „Ars” na placu Lwa Tołstoja. W listopadzie w dom, gdzie znajdowano się kino, trafiły trzy niemieckie bomby, niewielkie wprawdzie, o spóźnionym działaniu. Bomby wybuchły jedna po drugiej dopiero po trzech godzinach. Do tego czasu dom na żądanie MPWO był już pusty, w kinie również nie było nikogo. Została tylko Maria Nikołajewna. Wytłumaczyła mi dlaczego: uważała, że jest odpowiedzialna za szafę ogniотrwałą z całodziennym przychodem.

Kiedy Maria Nikołajewna została na straży szafy, przyszła do niej jedna z pracownic i powiedziała:

- Zostanę z wami.

Maria Nikołajewna odpowiedziała:

---

<sup>23</sup> Nieprzetłumaczalna gra słów: „Tworzenie” – stworzenie i „Warienije” – konfitury. Cytata ze znanego poematu Lermontowa „Demon” (przyp. tłum.).

- Nie, nie mogę się na to zgodzić. Macie dwoje dzieci i starą matkę.

- Sami też macie córeczkę i męża na froncie.

I została. Po pewnym czasie przyłączył się do nich kierownik techniczny, starszy mężczyzna, który powiedział:

- Wiecie co, i ja też zostanę z wami. Zawsze - mężczyzna. Siedzieli tak we trójkę, czekając na wybuch. Podrzuciło ich, osypało tynkiem, podrapało odłamkami szkła, ale pozostali przy życiu. Szafę ogniotrwałą, w której znajdowały się pieniądze, tak powyginało siłą wybuchu, że trzeba było potem przepalać drzwiczki palnikiem.

### *9 października 1943 roku*

I. D. opowiedział mi, że podczas mojej nieobecności w okresie szczególnie silnych nalotów zabierał ze sobą w teczce naszego Kuzię. Teraz kotek już tak wyrósł, że nie włazi do teczki.

Ze sprawozdania lekarskiego Zinaidy Wasiliewny;

„Dziecko ranione odłamkami leżało na poduszce, wskutek czego rany były nabite pierzem.

Ranna kobieta w ostatnim miesiącu ciąży. Płód również jest ranny”.

Dziecko, które prosi, żeby mu podarowano „maseczkę przeciwigazową” na urodziny.

Na pustym placu naprzeciwko szpitala dzieci bawią się w wojnę.. Jedno z nich dowodzi oddziałem. Z krzykiem: „wszystkie siły na Loszkę” - rzucają się na nieszczęsnego Loszkę, któremu nie zazdroszczę.

### *12 października 1943 roku*

Usłyszane przypadkowo zdanie: „W takich czasach humor trzeba trzymać na uwięzi”. Czyżby?

### *14 października 1943 roku*

Trzy dni temu pocisk trafił w jeden- naszych budynków i wybuchnął w pokoju znajdującym się obok sali Lenina (wystąpił on tam w kwietniu 17 roku z „Tezami kwietniowymi”).

Ostrzał rozpoczął się w kilka chwil po wyjściu studentów z sali. Poszliśmy tam, zanim opadł jeszcze kurz cegieł, który dziwnie zmienił charakter pokoju. W ścianie zionęła wyrwa. Jedyłą rzeczą, która

pozostała nietknięta, było popiersie Lenina na wysokim, gipsowym postumencie. Posąg stracił jedynie wskutek kurzu swój pierwotny kolor - z białego zrobił się ponuro-szary, jakby zmienił się na twarzy.

Wczoraj podczas zebrania partyjnego w tej samej sali Lenina znowu rozpoczął się ostrzał. I. D. przerwał zebranie i wszyscy rozeszliśmy się.

Sytuacja na froncie jest znakomita. Możemy dziś oczekiwać salwy honorowej, a nawet dwóch.

### *17 października 1943 roku*

Wczoraj, podczas silnego ostrzału, poszłam do ambulatorium, dokąd zaczęto już przywozić pierwsze ofiary.

Jako jedna z pierwszych przywieziona została urzędniczka ranna w prawą rękę i w prawą stopę. Błada i drżąca na całym ciele kobieta przyciskała kurczowo do piersi elegancki, piaskowożółty pantofel z prawej nogi, cały we krwi. Na twarzy koło ust, pod samą skórą, widać było odłamek. „Wystawał” - jak powiedział dyżurny lekarz. Ranną przewieziono natychmiast do gabinetu rentgenowskiego.

Później udałam się z Bułatowem i Alewтинą Wasiliewną do budki strażniczej na dachu jednego z budynków szpitalnych. Straszno było iść po pochyłym i mokrym od deszczu dachu i przełazić przez jakieś naciągnięte druty. Na jesiennym horyzoncie - ciężkie, ponure odbłaski wybuchów. Pod nami - czarne masywy domów. Kopuła soboru Issakowskiego oraz iglice na gmachu Admiralicji i twierdzy Pietropawłowskiej odziane są w szare pokrowce, osłaniające ich złoty blask.

Bułatów powiedział:

- Jeśli uderzy pocisk - natychmiast kłaść się.

Na szczęście nie doszło do tego. W przeciwnym razie z pewnością stoczyłabym się z mokrego i pochyłego dachu.

Wracając do domu weszliśmy przez inne, bliższe okienko w dachu. Jak przytulnie poczuliśmy się na strychu.

### *8 listopada 1943 roku*

Dawno nie pisałam, chociaż tyle mamy wydarzeń. Wyzwoliliśmy już Kijów. Czasami tak wyraźnie widać zbliżający się koniec wojny, że serce zaczyna bić jak szalone.

Święta spędziłam „burzliwie”. Wczoraj byłam na przesmyku Karelskim w gościnie u dowódcy armii, O. I. Czeriepanowa.

Czeriepanow dawno już przesłał mi zaproszenie przez Wasiliewą. Wczoraj przysłał po nas samochód i pomknęliśmy po Kirowskim w stronę wysp, obok Czarnej Rzeczeki - miejsca pojedynku Puszkina. Nieco dalej - Pargołowo, Toksowo, karelskie sosnowe lasy i wzgórza. Wszystko dookoła nastroszone, nieme, zaciągnięte jesienną mgiełką.

Armia nie prowadzi działań zaczepnych - stanowi osłonę przed Finami. Fakt, że armia nie walczy (nazywają ją „niewalczącą armią”), przysparza wszystkim jej żołnierzom, od dowódcy do szeregowca włącznie, wiele zgrzyot.

Już w pierwszych słowach rozmowy każdy z nich zaczyna wyjaśniać, dlaczego tak się dzieje. Nie należy jednak wątpić, że w odpowiednim czasie i oni ruszą do boju. Na razie panuje tu wzorowy porządek. Działa polowe i haubice ustawione są w groźnym i eleganckim szyku. Wybudowano dla nich specjalne schrony, z których wytacza się je w ciągu kilku sekund. Tłumaczono nam z dumą, że tutejsze „doświadczenia produkcyjne” zostały wykorzystane w innych armiach.

Odpoczęliśmy w sztabie i pojechaliśmy z dowódcą w kierunku pierwszej linii bojowej. W odległości trzech kilometrów od Finów wysiedliśmy z samochodów i poszliśmy piechotą. Choć zapewniałam wszystkich, że zimą 1942 roku w armii Fediunskiego znajdowałam się cztery razy bliżej od Niemców, dowódca nie pozwolił, by zaprowadzono nas dalej twierdząc, że odpowiada za mnie przed „literaturą”.

Później przy kolacji, generał, zawodowy wojskowy, zawstydził mnie, zawodowego pisarza, cytując nieznane mi wiersze poetów plejady puszkiniowskiej.

W pewnej chwili dowódca, wskazując na siniejące w wieczornej mgiełce lesiste wzgórze, powiedział:

- Tam jest nieprzyjaciel.

Pokojowy, zdawałoby się, pejzaż jesienny przeniknięty był wojną. Porośnięta mchem kępka, na wpół rozwalony szałas, przypadkowa sterta chrustu na skraju lasu - wszystko to w każdej chwili mogło otworzyć ogień. Cisza, milczenie, pustka. Na wszelki wypadek - wszędzie wykopano duże i małe doły, przebiegle omotane drutem kolczastym z pozawieszanymi na nim przedmiotami metalowymi: wystarczy dotknąć, by zaczęły dzwonić i brzęczeć. Rowy przeciwczołgowe ciągną się bez końca.

Po raz pierwszy w życiu obejrzałam dokładnie bunkier - metal i beton; ani kawałka drzewa. Jest to okrągła twierdza. Strzelnice skierowane są we wszystkie strony. Dla obsługi karabinów maszynowych zrobiono specjalne siedzenia, podobne do tych, jakie widzimy na maszynach rolniczych.

Głęboko pod ziemią znajdują się schrony dla załogi. Dowódcy dotów i baterii raportowali dowódcy armii o gotowości do wykonania zadania bojowego a także o tym, czym zajęci są w danej chwili żołnierze. Jeden z dowódców bardzo ładnie zraportował:

- Żołnierze zajęci są odpoczynkiem.

Pewna bateria dwukrotnie wystrzeliła na naszą część z ciężkich haubic. Po kilku minutach Finowie odpowiedzieli.

Na zagubionych skrzyżowaniach leśnych drózek z niedostrzegalnego szałasiku wyszedł patrol - dwaj żołnierze. Jeden z nich, niemłody, wąsaty i skupiony był Białorusinem lub Ukraińcem.

Orli nos, smągła cera i lekkość ruchów drugiego - zdradzały górala.

Dowódca poczęstował ich papierosami i obaj żołnierze, odwróciwszy się plecami do fińskiej strony, ukradkiem zapalili.

Późnym wieczorem, przy świetle wąskiego sierpa księżycy wróciliśmy samochodem do Leningradu.

Obecnie mogę już sobie ze wszystkich stron wyobrazić pierścień blokady.

### *26 listopada 1943 roku*

Znów przepisałam niemal od nowa końcowy rozdział i w gruncie rzeczy skończyłam poemat.

Wybieram się jutro do Ostroumowej-Lebiediewej, żeby omówić z nią stronę graficzną książki. Potem będzie można zabrać się do prozy.

Proza przyniesie ze sobą nowe trudności, ale nie będzie już tego szaleństwa, z jakim połączona jest zawsze praca nad wierszem.

Będę się starać, żeby w roku 1944 nie stracić rozpędu, którego nabrałam pod koniec tego roku. Żeby nie powtórzyło się to straszne uczucie „rozpoczynania na pustym miejscu”.

Wszystko powinno odbyć się powoli i płynnie.

### *12 grudnia 1943 roku*

Nareszcie przyjechali Oziereccy z Krasnojarska, dokąd ostatecznie dostała się wyewakuowana w 1942 r. do Kisłowodzka część Instytutu.

Obecnie, kiedy zasadnicze trudności związane z blokadą należą już do przeszłości, I. D. zdecydował się na złożenie prośby o zwolnienie go z obowiązków dyrektora Instytutu i wysunął kandydaturę profesora Oziereckiego. Pokrywało się to z chęcią samego Nikołaja Iwanowicza i w ten sposób wszystko ułożyło się jak najlepiej.

Teraz I. D. może znów powrócić do swej ulubionej historii medycyny. W naszym pokoju zjawily się już foliały, tomy najrozmaitszych dzieł i roczniki starych pism. Już nasz kot Kuzia śpi na szufladach z kartotekami.

I. D. jest szczęśliwy. Ja również. Nareszcie przestanę wysłuchiwać opowiadań o rozmaitych kanalizacyjnych i wodociągowych rurach. Stawiamy na tym wszystkim krzyżyk.

## *17 grudnia 1943 roku*

Wczoraj wieczorem poszliśmy jak zwykle na spacer. Noc była wilgotna, ciepła i śliska, chociaż Oziereccy twierdzili, że widzieli zorzę polarną.

Na placu Lwa Tołstoja chcieliśmy przyjrzeć się dokładniej piekarni, w którą trafił w dzień pocisk, ale przy świetle ręcznej latarki elektrycznej, rzecz prosta, nic nie zobaczyliśmy.

Zaledwie zdążyliśmy przyjść do domu - trzy czy cztery pociski upadły jeden po drugim na tym samym placu.

Wczoraj w dzień została tam śmiertelnie ranna dawna nasza studentka, obecnie aspirantka - Orszanska. Odłamki przebiły jelita, pulsu już nie ma: stan beznadziejny.

Podczas tego samego ostrzału zginęła na miejscu młodzieńca studentka II roku - Wieroczka Bieriezowska. I. D. widział ją dziesięć minut przed śmiercią: wychodziła z sali, gdzie odbywały się egzaminy.

I. D. zapytał ją:

- No co, trzęsiemy się?

Wieroczka odpowiedziała:

- Dziś trzęsą się inni. Ja - dopiero jutro.

Po upływie godziny leżała już w naszym prosektorium.

## *19 grudnia 1943 roku*

Dziś rano poszliśmy na eksportację zwłok Wieroczki Bieriezowskiej. Był jasny, różowy, suchy poranek. Poszliśmy do prosektorium akurat w chwili, gdy odjeżdżała stamtąd ciężarówka z trumną jakiegoś marynarza, który zginął podczas ostrzału. Pluton marynarzy poszedł za ciężarówką.

Z trudnością precyzyjnie się do maleńkiego pokoiku „pożegnań”. Stała tam jeszcze jedna trumna, w której leżała przykryta całunem kobieta, również ofiara ostrzału. Tuż obok - mała trumna Bieriezowskiej. Spod sztucznych lilii i róż widać było tylko żółtą jak wosk, dziecięcą niemal rękę. Wszyscy całowali tę rączkę, żegnając się ze zmarłą.

Wezgłowie obite było tiulem. Kiedy chciałam go odgarnąć, aby spojrzeć na twarz, szepnięto mi, że z całej głowy została tylko kość potyliczna. Matka trzymała się dzielnie, ale ojciec... doprawdy zupełnie złamany nieszczęściem.

I. D. i studentki wynieśli trumnę. Ciężarówka pojechała z początku ulicą Skorochodowa i zatrzymała się przed schludnym gmachem Kliniki Stomatologicznej, której kierownikiem jest Bieriezowski - ojciec

i gdzie Wieroczka, będąc studentką medycyny, pracowała jako pielęgniarka. Na tym samym miejscu odbyła się mała uroczystość żałobna.

Najpierw przemawiał I. D., potem pracownicy Kliniki, następnie - jedna ze studentek. Jednocześnie bez przerwy grzmiąły działa i na jednej z pobliskich ulic rozbrzmiewał marsz żałobny - przechodził pogrzeb wojskowy. Od dawna oczekiwany przymrozek, niezbędny do rozpoczęcia naszej ofensywy. Słyszając huk armat matka Wieroczki powiedziała: - Żeby tylko dojechać do cmentarza.

Nie wiadomo było - czy sama się boi, czy też pragnie pogrzebać córkę w spokoju.

## *Wieczór*

Ważna wiadomość radiowa: zrobiliśmy olbrzymi wyłom w niemieckich liniach obronnych pod Newlem. Jasne jest teraz, dlaczego Niemcy tak szaleją w ostatnim czasie.

## *25 grudnia 1943 roku*

Wczoraj odbyło się zebranie naszej egzekutywy i ogólne zebranie partyjne: przyjęto mnie do partii. W poniedziałek - egzekutywa komitetu dzielnicowego. Dziś rano poszliśmy z Mariettą do komitetu dzielnicowego, by uzupełnić nasze prośby o przyjęcie. Rok dobrze się kończy.

## *28 grudnia 1943 roku”*

Niespokojny dzień. Załedwie wybrałam się do komitetu dzielnicowego, by uzupełnić ankietę, gdy rozpoczął się huraganowy ostrzał naszej dzielnicy. I. D. wyszedł do miasta, aby załatwić różne sprawy, i wróci dopiero wieczorem. Bardzo się martwię z tego powodu. Posprzeczaliśmy się przed jego wyjściem i nie pożegnaliśmy się. A w Leningradzie nie można rozstawać się bez pożegnania.

Gdy tylko ucichnie ostrzał, pójdziemy do komitetu dzielnicowego.

## *29 grudnia 1943 roku*



Wyczerpująca, groźna noc. Niemcy trzy razy ostrzeliwali miasto z ciężkiej artylerii. Pociski padały bardzo blisko, koło Centrali Spółdzielczej. Nasz gmach chwiał się jak domek z kart, ale nigdzie nie poszliśmy, a nawet nie ubraliśmy się. Przeniosłam się tylko z poduszkami na tapczan, dalej od okna.

## Wieczór

Posiedzenie egzekutywy komitetu dzielnicowego odbywało się za owalnym stołem, w pięknym, dużym pokoju: podłoga usłana chodnikami, stół nakryty zielonym sukniem. Stawiano mi pytania; odpowiadałam stojąc.

*Pytanie.* Dlaczego nie weszliście do organizacji podstawowej Związku Pisarzy?

*Odpowiedź.* Oddział Związku Pisarzy w Leningradzie nie ma w danej chwili swojej organizacji podstawowej. Pisarze-frontowcy włączeni zostali do organizacji partyjnych w wojsku, a reszta w miejscu pracy.

*Pytanie.* Jakie prace społeczne wykonaliście w ostatnim czasie?

*Odpowiedź.* Miałam cykl wieczorów autorskich w zakładach przemysłowych, w klubach, oddziałach wojskowych, szpitalach i szkołach.

*Pytanie.* Jak wyobrażacie sobie waszą przyszłą pracę partyjną?

*Odpowiedź.* Będę, jak dotychczas, pisać i występować publicznie z moimi utworami. Będę się jednak starała, aby utwory te stały na znacznie wyższym poziomie. Poza tym będę robić wszystko, czego zażąda ode mnie partia.

*Pytanie.* Czy nie boicie się surowej dyscypliny-partyjnej?

*Odpowiedź.* Nie, nie boję się. Jestem z natury zdyscyplinowana.

W drodze powrotnej z komitetu dzielnicowego zadawałam sobie pytanie: jak naprawdę upłynął rok mego stażu kandydackiego? Jakie zmiany zaszły we mnie w ciągu tego okresu?

Przemawiałam i czytałam swoje utwory w fabrykach, zakładach przemysłowych i oddziałach wojskowych. Pisałam. To prawda. Ale przecież to samo robiłam przedtem. Na czym polega różnica?

Nie tak łatwo to sformułować, ale różnica jest. Przedtem było tak: napiszę, przypuśćmy, udatną rzecz - cieszę się z tego. Niepowodzenia przysparzały mi wiele goryczy. Były to jednak moje osobiste smutki i wyłącznie moje radości.

Obecnie natomiast zastanawiam się nad tym, w jakim stopniu to, co piszę, jest pożyteczne dla sprawy literatury radzieckiej, która z kolei jest częścią wielkiej sprawy - rozkwitu mego państwa, pierwszego socjalistycznego państwa na świecie.

Każdy utwór literacki - rozumując logicznie - powinien, a przynajmniej może przeistoczyć się w czyn.

Staram się badać rozumowo linię prowadzącą od utworu do czynu, odgadnąć, co się dzieje za skrajem urwiska na końcu stronicy, tam gdzie zaczyna się życie.

Jak oddziaływają teraz na czytelników moje wiersze? Jak pracowało moje pióro - mój oręż, w oblężonym Leningradzie? Czy potrafiłam w jakimkolwiek stopniu być potrzebna miastu? Odpowiadam za to.

Poruczyła mi to partia. To moje zadanie partyjne.

### *30 grudnia 1943 roku*

Spokojna noc. Jedynie późnym wieczorem słychać było daleką kanonadę. Być może zresztą, że to przemówiły nasze „katusze”. Wiadomości radiowe doskonałe.

...Dziś była pierwsza w tym roku zamieć śnieżna.

### *31 grudnia 1943 roku*

Tak więc stary rok się kończy. Nowy niesie nam zwycięstwo. Wczorajsze wiadomości radiowe były wprost znakomite. Z zachwytem słuchaliśmy także o „niszczycielskim” nalocie na Berlin. Jeśli istnieje piekło na ziemi, to należałoby je zwalić na głowy hitlerowców.

### *1 stycznia 1944 roku*

Nowy Rok witaliśmy u Kietlińskiej. Powrót do domu - przy dźwiękach nadawanych przez radio walców, przez spokojne i przyprószone śniegiem miasto - był wyjątkowo przyjemny. Wolno było chodzić po ulicach do drugiej w nocy - wróciliśmy akurat na czas.

Życzą sobie zdrowia! Będzie zdrowie - będzie książka.

### *2 stycznia 1944 roku*

Historia z milicjantem (z opowiadań Eufrosinji Iwanowny).

Jakaś kobieta w kolejce tak ordynarnie krzyczała i szarpała za rękę swoje, dziecko, że oburzeni ludzie wezwali milicjanta.

Milicjant przyszedł, dowiedział się, o co chodzi, po czym wziął dziecko za rękę i odszedł z nim razem. Matka bardzo się zmieszała:

- Dokąd je prowadzicie?

- Do mojej żony. Ona umie obchodzić się z dziećmi.

- Czy to wasza sprawa?

- Oczywiście, że moja. Państwo postawiło mnie na posterunku, żebym pilnował porządku, to go pilnuję.

Wczorajsza noworoczna zabawa studencka odbyła się w sali Lenina. Sala była nabita po brzegi studentami, studentkami i „podopiecznymi” Instytutu - wygalowanymi marynarzami, którzy wyraźnie mieli ochotę tańczyć aż do pierwszego alarmu na okrętach, gdyby nawet to pokojowe intermedium miało trwać nie wiadomo jak długo.

Na tle obcisłych mundurów marynarskich suknie dziewczęce wyglądały jeszcze delikatniej i barwniej. Skąd się wzięły te stroje? Jakim cudem się zachowały? W jakich schowkach, do których nie miały dostępu bomby ani pociski, przeleżały zwinięte w kokony przeszło dwa i pół roku, by wyfrunąć w tę noc noworoczną na światło elektrycznych girland? (Leningradzka straż pożarna kategorycznie zabroniła prawdziwych świec).

Dokoła choinki wirowało w tańcu kilka par w maskaradowych kostiumach. Jakaś dziewczyna miała nawet wachlarz, chociaż Bóg świadkiem, że panująca na sali temperatura w żadnym wypadku nie mogła być tego przyczyną.

Chłopczyk Jura przyszedł na zabawę w kostiumie Pierrota, który troskliwa mamusia naciągnęła na watowaną kurtkę. Pierwszą zimę blokady opuchnięty Jura spędził w pokoju. Następnej zimy widać go już było na naszym podwórzu na nartach. A teraz wiercił się między tańczącymi parami jak psotny i wesoły diabełek.

Właśnie od Jury dowiedzieliśmy się, że oprócz adaptera („wielka rzecz adapter?!”) będzie jeszcze „najprawdziwszy, żywy jazz”.

I naprawdę zjawily się waltornia, skrzypce i saksofon. Zgaszono elektryczne żyrandole, na sali jaśniała tylko choinka. Sami studenci przywieźli ją ciężarówką z lasu. Było to duże, strojne drzewo, osypane złotem i srebrem, z gwiazdą pod sufitem.

Zagrał jazz, posypały się konfetti, zawirowały pary.

Ostrzału nie było.

## *4 stycznia 1944 roku*

Odczyt radiowy o grypie przerwany został komunikatem o ostrzale. Nad ranem było kilka bardzo silnych wybuchów, ale nie usłyszałam ich wyraźnie. Wplotły się tylko w jakiś sposób do mego snu.

Jak bardzo jest człowiek tym wszystkim wyczerpany! Wszystko jest w nim napięte do ostatecznych granic. Kiedyż nareszcie skończy się straszliwe leningradzkie żniwo?

## *6 stycznia 1944 roku*

Radio wciąż jeszcze potrzebuje „pierwszego i drugiego trębacza oraz flecisty-piccolo”. Komunikaty tej treści nadawane są codziennie: rano i wieczorem. Trębaczy i flecistów nie można znaleźć - wymarli z głodu podczas blokady.

Słowa T. G.:

- Do swego Instytutu im. Hercena chodzę jak brzegiem okopu - tak silnie ostrzeliwują ulicę.

Profesor o studentach:

- Trzeba nosić drzewo na opał, a oni zajmują się analizą ilościową.

## *9 stycznia 1944 roku*

Wczoraj wyzwoliliśmy Kirowograd (dawny Jelizawietgrad), ten, gdzie niegdyś, posłuszna naleganiom ojca, szukałam wraz z matką i malutką Żanną schronienia również przed Niemcami, którzy ostrzeliwali Odessę z okrętów wojennych „Guben” i „Breslau”.

W Leningradzie trwają niezmiennie powszednie, krwawe dni wojny. Ostrzały, ofiary, bezpośrednie uderzenia pocisków w tramwaje, jak to było w środę z „dziesiątką”. Zginęło wówczas na miejscu 70 ludzi.

Na naszym froncie wciąż panuje spokój. Można jednak z godziny na godzinę oczekiwać zmian, chociaż Niemcy kurczowo starają się utrzymać w swoich rękach Połock i Witebsk - węzłowe punkty losów Leningradu.

Zabieram się do pisania ulotki frontowej w związku z pierwszą rocznicą przerwania blokady.

## *12 stycznia 1944 roku*

Alona Ozierecka przywiozła ze sobą z ewakuacji, z Krasnojarska, kołowrotek. Tamtejsze kobiety nauczyły ją prząść. Przesiaduje teraz wieczorami przy kołowrotku, odrywając się czasami od przędzenia, by odegrać sonatę Beethovena lub popracować nad swą „antyczną” rozprawą naukową.

## *14 stycznia 1944 roku*

Jakkolwiek monotonne, trawione płomieniem wojny życie w Leningradzie bywa czasami bardzo uciążliwe, to jednak za wszelką cenę trzeba przetrwać tu do wiosny. Do tego czasu losy miasta powinny ulec zmianie. Nastąpiły mrozy. Doniosłe wydarzenia wiszą w powietrzu. W naszym szpitalu zjawili się nowi ranni: ważny znak.

## *15 stycznia 1944 roku*

### *Południe*

Od wczesnego ranka powietrze drga od kanonady o niebywałej sile. To wali nasza artyleria morska. Jak powiadają gdzieś pod Oranienbaumem.

Kanonada nie cichnie. Bułatów powiedział, że to my „wzięliśmy w obroty ich pierwszą linię”.

Cóż to będzie? Czyżby i tym razem się nie udało? Wszyscy wierzą jednak, że będzie dobrze. Wszyscy mają dziś jakieś zupełnie inne twarze.

Dziś rano, jak zwykle w krytycznych chwilach, zjawił się u nas profesor Garszyn - „ot tak sobie” - z nadmiaru uczuć...

Trzeba usiąść do pisania!

Ale walą! Ale walą dopiero!... I. D. napomknął o tym, że będę musiała pojechać do Puszkina zaraz po jego wyzwoleniu. (Ale walą!)

## *19 stycznia 1944 roku*

Podano już oficjalnie do wiadomości, że „na Froncie Leningradzkim armia nasza przeszła do natarcia na południe od Oranienbaumu. Natarcie trwa”.

Podobnie dzieje się i na Wołchowskim Froncie? A więc naprawdę „zaczęło się” ... Iluż jednak rannych przywieziono do wszystkich szpitali w Leningradzie! Olbrzymie czarne autobusy Czerwonego Krzyża nie kończącym się sznurem jadą po nich na dworzec. Oby tylko ta krew nie była przelana na próżno.

### *20 stycznia 1944 roku*

Wyzwoliliśmy wczoraj Krasne Sieło, Ropszę, Peterhof i Duderhof. Nareszcie zagrział z Moskwy „salut leningradzki”.

### *21 stycznia 1944 roku*

Wyzwoliliśmy Urick, Ligowo, Strielnię i Nowogród. W wielu miejscach „trwa likwidacja otoczonych oddziałów niemieckich”, : Teraz przyjdzie kolej na Puszkina.

### *22 stycznia 1944 roku*

Wczoraj rano, w niedzielę, zatelefonowano do mnie najpierw ze Związku Pisarzy potem z Zarządu Politycznego Frontu Leningradzkiego, żebym przygotowała się do drogi: za godzinę jedziemy do wyzwolonych miejscowości.

Zaczęły się one tuż za zakładami przemysłowymi im. Kirowa. Wojna przeorała wszystko gruntownie. Wszędzie ciągną się druty kolczaste, zwoje przewodów, słupy przeciwczołgowe, rowy strzeleckie, rumowiska cegieł. Od lejów po bombach rozłazą się po śniegu długie języki kopci, które pozwalają określić siłę ognia. To nasi lotnicy „wzięli w obroty ich pierwszą linię”.

Ze starego szpitala Forela pozostały tylko ściany. Na tle zimowego nieba - tragiczne ruiny „Piszmaszu”, fabryki maszyn do pisania. Niemcy zamienili ją w potężny fort, z którego ostrzeliwali miasto.

Na skrzyżowaniach stoją jeszcze wszędzie znaki drogowe z niebieskimi napisami, strzałkami i rysunkami słoń - czyżby na szczęście? Nawet najbardziej niepozorne mostki zostały wysadzone w powietrze. Nasze dwa samochody ostrożnie przeprawiają się po świeżo zbudowanych, prowizorycznych mostach. Obok każdego przedmościa leżą na drewnianych podkładach unieszkodliwione już, okrągłe miny. Inne - wydłużone, maleńkie, z lotkami na końcach - zwalono na kupę, jak śnięte ryby.

Po obu stronach drogi idą gęsiego saperzy prowadząc na smyczach psy. Dowiedzieliśmy się, że jeden z tych psów wykrył wczoraj czterdzieści pięć min. Mimo wszystko szosa w dalszym ciągu jest niebezpieczna. Jadąca przed nami ciężarówka wpada na minę, zahaczając o nią na szczęście tylko brzegiem koła. Szofer jednak jest lekko ranny, krew spływa mu po twarzy. Krzyczy do nas:

- Dokąd was diabli niosą? Nie widzicie, co się dzieje?

Pojechaliśmy jednak szczęśliwie dalej.

W Strielni pod najwyższym łukiem pałacu dymiła już kuchnia polowa, nasi żołnierze nosili wodę w zdobycznych wiadrach postukiwały siekiery. Echo było tak dźwięczne, jak gdyby cieszyło się z tego, że znów może powtarzać pokojowe odgłosy.

Park w Strielni - okrutnie poraniony. Nie spotyka się niemal nie uszkodzonych drzew. Jedno z nich - rozwichrzona, straszna, o wzniesionych w górę nagich gałęziach - niemal ludzkim ruchem chwyciło się sękami za głowę.

Trzeba się tu poruszać ostrożnie, nie wolno schodzić z wydeptanych ścieżek: wszędzie są miny.

Zabrałam z sobą ze Strielni do domu duży kawał niemieckiego papieru przeciwiwiperytowego.

Pałac w Peterhofie jest zniszczony do tego stopnia, że żadna siła ludzka nie zdoła już go wskrzesić. Wdrapaliśmy się po gruzach na szczątki dużego tarasu i długo patrzyliśmy stamtąd na martwą „aleję fontann”, biegnącą ku morzu-

W niżej położonej części parku, na półokrągłym pagórku koło samej balustrady, wyraźnie zarysowywało się w zimowym powietrzu niemieckie działo, zwrócone lufą w stronę Kronsztadtu, leżącego na przeciwległym brzegu zatoki. Do działa tego nie wolno się jeszcze zbliżyć, tak gęsto zostało zaminowane. Przypomniałam sobie, jak staliśmy na przystani w Kronsztacie, spoglądając w stronę odległego Peterhofu. Dowódca powiedział wówczas. „Nadejdzie czas...”

Krasne Sieło udało się nam obejrzeć dopiero pod wieczór. Na przedmieściu, tam gdzie wisi tabliczka z napisem: „Kingisepp” ujrzyliśmy w świetle płonącego domu brudnych i zarośniętych jeńców niemieckich w płaszczach ochronnych. Prowadzono ich w kierunku, który wskazywała strzałka i napisy na znakach drogowych: do Leningradu.

Byli to pierwsi Niemcy od początku wojny, których widziałam na własne oczy.

*24 stycznia 1944 roku*

*Dwunasta w nocy*

Wyzwoliliśmy Puszkin i Pawłowsk.

## *27 stycznia 1944 roku*

Jedno z największych wydarzeń w życiu Leningradu: całkowite przerwanie blokady. Na wyrażenie tego, mimo iż jestem zawodowym pisarzem, brak mi słów. Mówię po prostu: Leningrad jest wolny. I w tym zawiera się wszystko.

## *28 stycznia 1944 roku*

Wczoraj o ósmej wieczorem na rozkaz generała Goworowa odbył się wielki salut, taki, jaki bywa jedynie w dniu największych zwycięstw: 24 salwy z 324 dział. Miasto Lenina oddawało honory oddziałom Leningradzkiego Frontu. Rakiety jednak puszczano u nas inaczej, ładniej nawet niż w Moskwie, gdzie miesza się od razu wszystkie kolory. Tutaj wlatywały ku górze same zielone rakiety i wówczas całe niebo rozświetlało się fosforycznym blaskiem, jakby przed chwilą przeleciał meteor; to znów były potoki malinowych ogni, to wreszcie złote gwiazdy opadały ku ziemi jak kłosa z niewidocznego kosza. Wszystko to dopalało się na lodzie Newy.

W gruncie rzeczy były to zwykłe wojskowe rakiety, które już nieraz widywaliśmy przedtem. Dawały one znak do ataków, wskazywały samolotom miejsce lądowania, korygowały ogień artylerii, kierowały ruchami oddziałów piechoty, uprzedzały czołgistów. Były to jednak pojedyncze rakiety. A teraz - tysiące ataków, setki walk wręcz, wypadów, bitew morskich uderzyło na raz w niebo. Nadzwyczajne wrażenie sprawiały reflektory morskie (tego nie było w Moskwie). Zwłaszcza blask jednego z nich, skierowanego z dołu na igłę Pietropawłowskiej wieży, wprost na anioła, był tak silny, że stawał się niemal namacalny. Upodobił się on do pochyłej, białej baszty czy też do mostu zwodzonego, na którym można było stanąć i dojść aż do samej figury anioła.

Inny reflektor oświetlał z dala gmach giełdy, nadając mu niezwykle efektowny wygląd; to przesuwając go ku nam na ostrzach promieni, to przecinał kolumny lub fronton, to znów gasnąc pogrążał wszystko w ciemnościach. Całe niebo było poprzekreślane smugami światła.

Działa stały na okrętach i po obu stronach nabrzeżnych ulic. Zanim rozległa się salwa, z luf wyskakiwały języczki płomieni: na starych obrazach malowano tak czasami ognie piekielne.

W chwili gdy radio nadawało komunikat o mającym się odbyć salucie, przemawiałam w naszym Komitecie dzielnicowym na zebraniu inteligencji. Skończyłam w chwili, gdy do salutu zostało zaledwie dziesięć minut.

Ubraliśmy się szybko i wskoczyliśmy do przepelnionego tramwaju: wszyscy śpieszyli na Most Kirowski. Dotarliśmy tam akurat przed pierwszą salwą.

Most Kirowski i Pole Marsowe zalewał tłum ludzi. Przed pomnikiem Suworowa stał samochód-ciężarówka kroniki filmowej, z którego robiono zdjęcia. Samochody, rowery, ludzie - wszystko się tutaj mieszało. Wśród samochodów widać było gdzieś posuwające się wolno tankietki, a czasami nawet czołg. Salwy były potężne: prawdziwe „grzmoty zwycięstwa”. Oszalałające morze



światel. Głowy wszystkich były zadarte do góry i oświetlone tak, że widać było najdrobniejsze zmarszczki.

### *30 stycznia 1944 roku*

Na naszym oddziale położniczym, na trzeci dzień po salucie K. urodziła dziecko, chłopczyka. Jest to już dziecię wolnego Leningradu.

### *1 lutego 1944 roku*

Jeździłam wczoraj wraz z artystami malarzami i pracownikami muzeów do Duderhofu, Gatczyny, Pawłowska i Puszkina. W drodze powrotnej przejeżdżaliśmy obok Pułkowa.

Ostatni raz widziałam obserwatorium pułkowskie w maleńkim, dziecinnym stereoskopie. Na tle zieleni widać było wzruszająco dokładnie zarysy białych budynków: gmach główny obserwatorium - - dzieło Briullowa<sup>24</sup>, wysoka wieża, w której mieścił się główny teleskop, i biblioteka, gdzie spoczywały biografie wszystkich gwiazd.

Teraz wszystko to jest spalone, pokaleczone przez pociski, rozwalone przez bomby i rozbite. Ze starego parku ocalało zaledwie kilka zwęglonych drzew. Budynki leżą w ruinach. Całe wzgórze pułkowskie jest zryte schronami i okopami: to nasze linie. Tuż obok jednak po drugiej stronie wzgórza byli Niemcy. Ich schrony i okopy dosłownie docierały do naszych oddziałów. I mimo wszystko Niemcy nie dali nam rady.

Zburzone Pułkowo jak ponure widmo przesunęło się przed nami w szybko zapadającym zimowym zmroku.

Duderhof (Wronia Góra) z daleka przypomina nieco żelazko. Niemcy korygowali z Duderhofu ogień artylerii ostrzeliwując Leningrad. Można sobie wyobrazić, jak ciężko przyszło naszym żołnierzom zdobycie tych oblodzonych zboczy. Wydaje się, że czołgi niewiele mogły tu zdziałać. Najprawdopodobniej Duderhof zdobywała piechota.

W naszym autobusie jechały pracownice trzech byłych muzeów: Pawłowskiego, Gatczyńskiego i Puszkińskiego. Trzeba było widzieć spotkania tych pracownic - każdej ze swoim muzeum - i słyszeć ich okrzyki: „Holandia ocalała!”, „Mostek zachował się!”, „Pawilon Wenery nietknięty!”. Częściej jednak milczały, ponieważ nie znajdowały nic, co by się dało rozpoznać.

---

<sup>24</sup> Aleksander Briullow (1798-1877) - znany malarz i architekt rosyjski, pochodzący ze słynnej rodziny artystycznej Briullowów.

Do Pałacu Pawłowskiego nie dostałam się, oglądałam go tylko z daleka. Most przez rzekę Sławiankę (jak zresztą wszystkie mosty) został wysadzony przez Niemców w powietrze. Trzeba było zejść stromym zboczem i przedostać się na drugi brzeg po oblodzonych klocach - byłam na to za słaba.

Jednakże dziewczyna z muzeum Pawłowskiego zbiegła na dół i wdrapała się na przeciwległy brzeg z taką szybkością, że mężczyźni ledwo mogli za nią nadążyć. Z powrotem szła powoli, taka błada, że było to widać nawet na mrozie. Dowiedzieliśmy się od niej, że z pałacu zostało tylko „pułko”, tzn.- zewnętrzna sylwetka. Wewnątrz - gruzy.

W Gątczynie, na wysokim obelisku przed wejściem do parku, spoczywała niegdyś granitowa kula. Niemcy zwalili ją i ustawili na tym miejscu olbrzymią swastykę. Gdy zbliżyliśmy się do parku, swastyka ta, jak na urągowisko oblepiona przez wrony, leżała już u stóp obelisku. Zrzucili ją nasi żołnierze.

W pałacu gątczyńskim, mówiąc słowami pracowników muzeów, zachował się przynajmniej -”zespół architektoniczny” - ogólny wygląd budynku, jego koncepcja, proporcje poszczególnych części. Niemcy nie mieli zamiaru oddawać Gątczyny bez walki. Przeciwnie, przygnali nawet do miasta mieszkańców Peterhofu i Strielni. W ostatniej chwili, kiedy nasze oddziały wkraczały do miasta, Niemcy oblali pałac płynem termitowym i podpalili. Z każdego okna buchał snop ognia, zostawiając po sobie ślad w postaci czarnego ogona kopciucha na zewnętrznych ścianach. Cały budynek jest teraz jak gdyby przybrany w żałobne pióropusze. Niektóre belki dopalały się jeszcze przy nas.

Wewnątrz - chaos, gruzy, zwalone sufity. W komnacie Pawła - zwisający z góry kominek. Nad kominkiem - antyczna płaskorzeźba z I wieku przed narodzeniem Chrystusa, przedstawiająca składanie ofiary przez cesarza Tytusa, W innej komnacie wisi nad drzwiami marmurowy homar. Wszystko to trzeba oglądać z dołu, zadzierając głowę do góry, ale tak ostrożnie, żeby człowiek sam gdzieś nie zleciał.

Fronton przed głównym wejściem do pałacu zdobyły dwa alegoryczne posągi włoskiej roboty: Wojna i Pokój. Oba posągi znakomicie się przechowały w drewnianych futerałach. Gdy je zobaczyła pracownica Gątczyńskiego muzeum, ucieszyła się tak, jak gdyby spotkała żywych ludzi. Okazało się, że to ona właśnie opakowała je w futerały.

Na frontonie pałacu widnieje napis: „Fundamenty położono w dniu 30 maja 1766 roku. Budowę zakończono w 1871”. Teraz można by dodać: „Zburzony przez Niemców w styczniu 1944 roku”.

Na jednej z gątczyńskich ścian - niemiecki napis, zrobiony ołówkiem chemicznym: „Byliśmy tu...” i dalej dosłownie: „Kiedy Iwan przyjdzie - będzie tu puste miejsce”. Nazwisko: Richard Wurf, adres, a nawet numer telefonu.

Gdzie się teraz znajduje ów „Wurf” (słowo to po niemiecku znaczy „rzut”)? Czy to nie jego przypadkiem „wyrzuciło” do śniegu na drodze między Gątczyną a Pawłowskiem? Leżał bosy, z na wpół zmiażdżoną głową, z grudkami krwawego lodu zamiast oczu, martwy i pokurczony. Spod śniegu wyglądała naszywka na rękawie: „SS”. Widzieliśmy wiele takich trupów.

W samej Gątczynie - ohydne i straszne ślady po Niemcach: więzienie otoczone podwójnymi zasiekami drutu kolczastego, „klub oficerski”, szyldy w dwóch językach - niemieckim i rosyjskim: „Sklep komisowy”, „Piekarnia” i nazwiska „właścicieli”: Eisen, Masliannikow.

Gdy nasze oddziały wyzwoliły Gatchynę, znalazły tam około czterech tysięcy ludzi. Oto jeden z nich - obdarty, wysoki, blady mężczyzna z ręką na temblaku. Patrzy i nie może się napatrzeć na nas - przyjezdnych z Leningradu.

Na wyludnionych drogach, w pobliżu mostów, zaczęło się już życie, co prawda jeszcze wojenne i koczownicze. Płoną małe ogniska, w kociołkach kipi woda ze śniegu. W pewnym miejscu leży, widocznie przed chwilą dorżnięty, koń. Wypuszczone całkiem wnętrzości, granatowo-niebieskie, malinowe, purpurowe leżą kupą na śniegu. Na innym skrzyżowaniu dróg - kancelaria polowa Biurko i krzesło, wyniesione z dawnego niemieckiego schronu, stoją dosłownie pod gołym niebem. Człowiek w papasze dmucha w skupieniu na buteleczkę z atramentem starając się ogrzać go swym oddechem.

Rzeka Iżora; stoją w niej dwa nasze, na wpół zamrożone czołgi: „Za Leningrad” i „Suworow”. Oba są podziurawione przez pociski, lodowata woda bez przerwy omywa ich rany, zabarwiając je krwawą rdzą.

Wjeżdżając do puszczyńskiego parku Jewgienija Leonidowna, która niegdyś pracowała tu jako przewodniczka, zawołała z zachwytem:

- Ruiny ocalały!

Istotnie, sztuczne, romantyczne ruiny, zbudowane jeszcze za czasów Katarzyny, pozostały nietknięte.

W pałacu, nie zważając na przestrogi sapera z psem, przebiegła pędem przez wszystkie pokoje, duże i małe sale, galerie i korytarze. Tam, gdzie nie można było się przedostać od wewnątrz, zaglądała z podwórza. W miarę swych sił staraliśmy się za nią nadążyć.

Do podziemi Galerii Kameronowskiej weszłam pierwsza szybkim i pewnym krokiem, ale natychmiast wybiegłam stamtąd na palcach.

Na podłodze, olbrzymie jak beczki, leżały trzy bomby lotnicze. Były już rozbrojone, o czym jednak nie wiedziałam. Ogółem takich bomb - każda z nich ważyła tonę - było jedenaście. Niemcy poustawiali je w pałacu i parku, połączyli przewodami elektrycznymi, mając zamiar w ostatniej chwili wysadzić wszystko w powietrze. Nie zdążyli jednak tego zrobić.

W bocznej piwniczce - stos podartych butów: pracownia szewska. Koszary niemieckie mieściły się również na dole. Żołnierze pościągali tam z wyższych pięter obite drogocennymi tkaninami kanapy, kryte aksamitem fotele, wazy, dywany. Wszystko pokrywa teraz gruba warstwa kopcium i brudu.

Niemcy nie zdążyli także wywieźć drogocennej posadzki z wielkiej sali, oderwali ją tylko dużymi płytami i przygotowali do wysyłki. Cała sala lustrzana została zupełnie zdemolowana i na wpół spalona, a sufit podziurawiony. Resztki rozbitych plafonów zwisają ku dołowi, a zamiast namalowanego olejnymi farbami granatowego nieboskłonu, przezierną w wyrwach od pocisków blade zimowe niebo. Podłoga usiana jest odłamkami zwierciadeł i pozłacanymi drewnianymi rzeźbami - dziełem cierpliwych rąk bezimiennych, pańszczyźnianych artystów.

Pałac Aleksandrowski, wprawdzie całkowicie spustoszony, zachował się jednak lepiej. Kwaterował tu oddział hiszpański; świadczą o tym Carmencity narysowane węglem na marmurowych ścianach: kapelusze ozdobione różami, wachlarze i wysokie grzebienie we włosach.

W okrągłej sali Hiszpanie urządzili coś w rodzaju kaplicy czy też kościoła. Zachował się jeszcze dziwaczny „ottarz”, sklecony z najprzeróżniejszych mebli, wśród których Jewgienija Leonidowna rozpoznała natychmiast jakąś chińską etażerkę z pokoju byłej carycy Marii Fiodorowny.

Mieliśmy już wracać do Leningradu. Obeszliśmy jeszcze raz dokoła pałace i puszkiewskie liceum. Niektóre aleje w parku prawie zupełnie nie ucierpiały; cienie drzew kładły się błękitnymi plamami na śniegu.

W drodze powrotnej, już w samym mieście, widzieliśmy dużą partię niemieckich jeńców - około 300 ludzi.

## *2 lutego 1944 roku*

Nieoczekiwane wydarzenie: wyjeżdżam jutro do Moskwy na plenum Związku Pisarzy.

## *5 lutego 1944 roku*

### *Moskwa*

Plenum rozpoczęło się wczoraj. Tym razem przyjechaliśmy do Moskwy już bez przesiadek, wprost z Dworca Październikowego. To wprawdzie jeszcze nie „Strzała”<sup>25</sup>, ale już bądź co bądź bezpośredni pociąg.

## *17 lutego 1944 roku*

### *Moskwa*

Życie w Moskwie jak zwykle płynie wartkim nurtem. Masa rozmów, spotkań, przemówień. Moja przyszłość zapowiada się wspaniale, ale teraźniejszość zatruwają choroby. Czuję się fatalnie. Do szczęścia potrzebne jest żelazne zdrowie.

## *20 lutego 1944 roku*

### *Moskwa*

---

<sup>25</sup> Pełna nazwa: „Czerwona Strzała”. - Ekspres Moskwa-Leningrad.

Powstał projekt, według którego miałabym pojechać do Leningradu, doczekać się pierwszej „Strzały”, która lada dzień powinna zacząć kursować, wrócić do Moskwy i opisać podróż w „Prawdzie”. Tak chyba będzie. Zarezerwuję pokój w hotelu na czas wyjazdu, pojedę i wrócę.

Pojadę do Leningradu i wrócę... jakie to teraz proste! Trudno się do tego przyzwyczać.

*25 lutego 1944 roku*

*Leningrad*

Jestem w Leningradzie, a „Strzały” wciąż nie ma. Maszyna do pisania została w Moskwie; bez niej jestem jak bez rąk. Tyle już razy mówiłam sobie, że nie mogę się z nią rozstawać.

*26 lutego 1944 roku*

Zdaje się, że mimo wszystko „Strzała” zacznie kursować 1-2 marca i jakoś się jej doczekam.

*27 lutego 1944 roku*

Byłam wczoraj na uroczystościach jubileuszowych z okazji 230 rocznicy założenia Instytutu Botanicznego.

Uroczystości odbywały się w Ogrodzie Botanicznym, w małym, zbudowanym z kłoców i dobrze opalonym domku. Przyjemnie było wejść z trzaskającego mrozu i zobaczyć, na stole przydialnym konwalie i kwitnący biały bez, móc wdychać aromat kwiatów.

Miejsca na sali zajmowali pracownicy naukowcy i personel techniczny Instytutu. Było dużo dzieci, ślicznie wyglądało jakieś maleństwo w drugim rzędzie - w białej, podobnej do kwiatu konwalii czapeczce i zielonej szubce.

Wysłuchaliśmy referatów o pracy Instytutu, który przed wojną utrzymywał łączność ze wszystkimi państwami na świecie. Hodowano tu rośliny z Pamiru, Kaszgarii, Egiptu i Brazylii, no i oczywiście - całą florę ZSRR. Leningradzki Ogród Botaniczny, który powstał jeszcze za czasów Piotra I, zajmował pod względem ilości zwiedzających drugie miejsce po moskiewskim „Muzeum Rewolucji”. Herbaria samego Piotra spłonęły w Moskwie podczas pożaru 1812 roku. Zachowała się jednak kolekcja lekarza nadwornego cesarzowej Elżbiety. Pokazano nam grube arkusze niebieskawego papieru, do których niezwykle starannie były przyklejone poszczególne roślinki. Pod każdą z nich staroświeckim

charakterem pisma napisane było po łacinie: „Znaleziono w pobliżu Połtawy”, „Znaleziono w Holandii, w pobliżu miasta Leyden”, „Gwinejski pieprz”.

Dowiedzieliśmy się, że rośliny, nawet martwe, mogą żyć niemal wiecznie. Na płatkach bławatków i maków, znalezionych w grobowcach faraonów, zachowały się jeszcze ślady prawdziwych kolorów tych kwiatów.

Herbariom grożą tylko dwa niebezpieczeństwa: wilgoć i niedbała opieka nad nimi.

Zasadnicza praca Instytutu podczas wojny - „Wykorzystanie zasobów roślinnych dla potrzeb Armii Czerwonej”.

Instytut sporządził „mapy roślin”.

Przeprowadzono badania nad, rosnącymi na północy gatunkami głógów oraz nad otrzymywaniem witamin z igliwia.

Instytut przygotowywał i nadal przygotowuje balsamy roślinne dla szpitali.

Określono zawartość witamin w naci roślin.

Wynaleziono surogaty nawozu.

Instytut zajmował się na szeroką skalę uprawą tytoniu i pieczarek. Przeprowadzono wielką akcję mającą na celu wykorzystanie roślin dziko rosnących do przygotowania potraw.

Po raz pierwszy tak daleko na północy - a ponadto w warunkach blokady - wyhodowano we własnym zakresie niezwykle cenne zioło lecznicze, stosowane przy chorobach serca - naparstnicę (*digitalis*).

Szpitalom dostarczano stale kwiatów, które w pewnym sensie zastępowały niekiedy pokarm. Były to swego rodzaju witaminy, które trafiały do organizmu za pośrednictwem wzroku i węchu. Nikołaj Iwanowicz Kumaków, przyrodnik specjalizujący się w ogrodnictwie, otrzymał pewnego razu od żołnierza-rekonwalescenta podziękowanie za kwiaty i zapewnienie, że teraz „jeszcze mocniej będzie bić wroga”.

Podczas blokady Ogród Botaniczny dostarczył miastu dwadzieścia milionów sztuk rozsady najrozmaitszych warzyw. Przy tej pracy zatrudnionych było stu pięćdziesięciu ogrodników.

Pracownicy Instytutu złożyli dziewięć rozpraw doktorskich i osiem - kandydackich.

Pod koniec swego referatu S. W. Sokołow powiedział, że „wyzwolony Leningrad powinien stać się jeszcze piękniejszy niż przed wojną” i że „wobec tego miastu potrzebne są drzewa i kwiaty”. Poza tym „musimy znowu zgromadzić pod szklanym dachem naszego Ogrodu Botanicznego cenne rośliny z całego świata...”

Potem nastąpiły przemówienia i gratulacje, między innymi „sąsiada i bliskiego krewnego” - Instytutu Szczepionek i Surowic. Bakterie to też rośliny, tylko w miniaturze.

Wyszliśmy po rozdaniu dyplomów honorowych Rady Miejskiej, przed koncertem.

W szatni było pełno dzieci. Szatniarka oświadczyła:

- Będę wpuszczać tylko te, które są z matką.

Jakaś dziewczynka odpowiedziała z dumą:

- Moja mama jest już tam i dostała dyplom.

## *29 lutego 1944 roku*

„Strzały” wciąż nie ma. Podobno Październikowa Linia Kolejowa nie jest zupełnie bezpieczna; zdarzają się jeszcze naloty niemieckie, a poza tym - masa min. Jak tam jest naprawdę, nie wiem, ale „Strzały” nie ma.

## *Wieczór*

Zapadła decyzja, że pojedę do Moskwy zwykłym pociągiem.

## *12 marca 1944 roku*

### *Moskwa*

Wszystkie sprawy posuwają się znakomicie naprzód, ale tylko sprawy, ponieważ zupełnie nie ma czasu na pisanie. A tak bym chciała zabrać się do pamiętników.

Przed chwilą nadawano komunikat wojskowy: po raz pierwszy wymieniona została miejscowość leżąca w obwodzie odeskim.

## *14 marca 1944 roku*

Pewna dziewczynka opowiada, jak rodzice wieźli ją potajemnie do Leningradu - oficjalnie podróżowanie z dziećmi jest jeszcze surowo wzbronione.

- Wsadzili mnie do worka z pościelą. Przyszła kontrola - i do worka. A ja zrobiłam się taka miękka jak poduszka. I nie znaleźli mnie.

*20 marca 1944 roku*

*Leningrad*

Pojechałam do Moskwy zwyczajnym pociągiem, ale za to wróciłam do Leningradu pierwszą „Strzałą”.

Nasz wagon pierwszej klasy był zajęty prawie wyłącznie przez pisarzy, dziennikarzy i fotoreporterów wszystkich gazet moskiewskich. Pociąg wyglądał uroczyście i elegancko. Maszynista - Bohater Pracy Socjalistycznej, konduktorzy - leningradczycy, którzy wyróżnili się w pracy podczas blokady.

Począwszy od chodników na podłodze, a kończąc na błyszczących guzikach przy niebieskich mundurach konduktorów - wszystko było nowe i lśniło czystością. Podróż trwała około dwudziestu godzin.

Nie odstępowałyśmy od okien, dopóki się nie ściemniło. Z samego rana znów przylgnęliśmy twarzami do szyb.

Bołogoję, Lubań, Hosno - wszystkie „Radyszczewskie”<sup>26</sup> miejscowości leżą w gruzach. Pociąg nasz wolno przejeżdża po niedawno zbudowanych prowizorycznych mostach. Dokoła pełno rosyjskich i niemieckich napisów: „Miny”, „Ostrożnie”. Wyjątkowo straszne wrażenie robi dawny most na rzece Tosno; wysadzone w powietrze przęsła i wiązania, które runęły z wysokości do wody.

Nowe słupy telegraficzne, ustawione na miejscu starych, spalonych lub podpalowanych przez Niemców - bieleją jak świece.

Czasami pociąg przejeżdża jak gdyby korytarzem z niemieckich schronów i bunkrów - tak blisko dochodziły one do linii kolejowej. Jeden z dołów, rozwalony bezpośrednim uderzeniem pocisku, ukazuje swe rozprute trzewia: płyty betonowe, kawały żelaza, karabin maszynowy, resztki kanapy, rozbitą skrzynkę z nabojami. Przed wejściem martwo zieleńią pod śniegiem: zbutwiały niemiecki płaszcz wojskowy i zgięte ręce.

Ile bohaterskiej pracy wymagała odbudowa tej linii! Szczególnie wstrząsające wrażenie robi Kołpino, rozbite, spalone i pokaleczone hale fabryczne Iżorskich Zakładów Przemysłowych, złowieszczo pomalowane na kolor ochronny.

Minęliśmy „Fabrykę Porcelany” - i oto jesteśmy już pod sklepieniem Dworca Moskiewskiego w Leningradzie. Leningradczycy tłumnie wylegli na nasze spotkanie. Przez całą drogę myślałam o tym, jak przed trzema prawie laty przyjechałam z Moskwy na ten sam dworzec. Kawał życia, ujęty w żelazny nawias przez dwa pociągi.

---

<sup>26</sup> Aleksander Nikołajewicz Radiszczew (1749-1802) – wybitny rosyjski pisarz, rewolucjonista i krzewiciel oświaty. Autor słynnej „Podróży z Petersburga do Moskwy” (1790). Poszczególne rozdziały „Podróży” noszą nazwy miejscowości leżących na drodze z Petersburga do Moskwy, jak np. „Lubań”, „Czudowo”, „Pieszki” itp. (przyp. tłum.).



## *24 marca 1944 roku*

Cisza, spokój, brak alarmów i ostrzałów - wszystko to jakoś, dziwnie na mnie działa. Widocznie nawet do poczucia bezpieczeństwa nie od razu się człowiek przyzwyczaja.

Praca źle mi idzie w tej ciszy- Tylko moje choroby są ożywione i różnorodne. Można by pomyśleć, że najrozmaitsze niedomagania, które nabrały się podczas blokady, dopiero teraz rzuciły się „na całego” na człowieka. Ciekawe, że nie tylko ja się na to uskarżam.

## *25 marca 1944 roku*

Artykuł w „Prawdzie Leningradzkiej” o mapach znalezionych u wziętych do niewoli artylerzystów niemieckich. Całe miasto było podzielone nie tylko na kwadraty, ale nawet na poszczególne obiekty, zaopatrzone w numery porządkowe. W liczbie „obiektów”, które miały zostać całkowicie zburzone, znajdują się szkoły, muzea, szpitale, Ermitaż, teatr im. Kirowa, nasz Instytut Medyczny (obiekt nr 89).

## *28 marca 1944 roku*

Byłam dwukrotnie na „Wystawie Służby Zdrowia”. Przygotowania do niej rozpoczęły się jeszcze w okresie blokady, podczas silnych ostrzałów. Organizatorzy obawiali się bardzo, żeby jakiś pocisk nie rozbił w kawałki eksponatów.

Na uroczystym otwarciu Wystawy komitet honorowy, w którego skład wchodziłam, udał się dużą grupą z widowni w stronę amfilady sal wystawowych. U wejścia do nich przeciągnięta była tradycyjna atłasowa wstęga. Komendant garnizonu leningradzkiego, któremu wręczono nożyce, uprzejmie przekazał je mnie... Przecięłam wstęgę.

Szczególnie udanym eksponatem jest plastyczna panorama drogi zimowej przez Ładogę - „drogi życia”; bez niej Leningrad chyba nie ocalał.

Zapalają się małe sygnały świetlne i ciężarówki wielkości pudełka od zapalek, posrebrzone mrozem, znów jadą w zadymce, lawirując wśród lejów od bomb, w kierunku miasta, dokąd wiozą żywność i skąd ewakuują ludzi. W najbardziej niebezpiecznych miejscach, w najcięższych warunkach - wszędzie czuwają punkty Czerwonego Krzyża, wszędzie czuwa leningradzki lekarz, pielęgniarka, sanitariusz.

Przypomniałam sobie wspianą dewizę Van Tulpa<sup>27</sup>, lekarza holenderskiego z XVII wieku: wypalona do połowy świeca woskowa, osadzona w staroświeckim świeczniku (wysoki, jasny płomień) i napis: „Służąc innym - spalam się sama”.

W długim, wąskim pokoju, również przy pomocy panoramy plastycznej, zobrazowano ewakuację rannych żołnierzy z oddziałów stojących na pułkowskich wzgórzach. Znowu stają mi przed oczyma!... Toczy się walka. Ranny, schylając się w okopie, sam stara się przedostać do punktu opatrunkowego batalionu. Ciężko rannych niosą tam na noszach. Zaprzężony w psy wózek odwozi ich następnie do pułkowego punktu pomocy lekarskiej. Potem ranny dostaje się wozem sanitarnym do lazaretu polowego znajdującego się na linii ognia, w piwnicy na wpułk rozwalonego domku. I dopiero stamtąd - samochodem do szpitala w Leningradzie.

Podobno wystawa ta ma zostać przekształcona w muzeum. Bardzo mądry pomysł, ponieważ daje ona pełny obraz ciężkiej pracy służby zdrowia w dniach oblężenia. Jak odbywała się operacja, kiedy to stół operacyjny stał przy ścianie, na której widniał od strony ulicy napis: „Ta strona jest najbezpieczniejsza podczas ostrzału”. Zdarzały się też wypadki, że ludzi operowano przy akompaniamencie wyjących syren, gęstego ognia artylerii przeciwlotniczej i dalekich (a czasami nawet bliskich) wybuchów bomb, jak to miało miejsce jesienią 1941 roku podczas operacji dokonanej przez profesora Dżanelidze, przy której byłam obecna wraz z mężem.

W audytorium, na ławkach za balustradą, siedzieli studenci, studentki i młodzi lekarze z sąsiedniego szpitala marynarki wojennej.

Wniesiono dziewczynę ze zgruchotanym biodrem i dano jej narkozę. Dżanelidze przeciął mięśnie i przezwyciężając opór krawędzi kości w miejscu złamania, podłożył pod nie osadzoną na rękojeści metalową rynienkę, w której uszkodzona kość spoczęła nieruchomo, ułatwiając w ten sposób chirurgowi dalszą pracę. Nawet ja - kompletna profanka w tej dziedzinie - nie mogłam się dość nadziwić gracji i sile, z jaką wykonywana była ta praca, swobodzie i pewności rąk. Drobne odłamki kości, wyciągnięte na początku operacji i niedbale, jak mi się wydawało, wrzucone do zwyczajnego słoiczka (w naiwności swej sądziłam, że już na nic są nieprzydatne) znowu zostały ułożone w miejscu złamania.

Na dwóch rzeczach jednak znałam się dobrze i od razu oceniałam je w całej pełni. Były to - czystość i porządek. Ani jednej plamki na podłodze, ani jednego zakrwawionego tamponu. Nawet pokryte zwykle parą pokrywki sterylizatorów przecierano tak starannie, że błyszcząły jak lustro. Salę operacyjną doprowadzano do porządku w miarę tego, jak operacja zbliżała się ku końcowi. Ani śladu zdenerwowania. Od czasu do czasu jedynie dawał się słyszeć zgrzyt metalu o szkło lub jakieś krótkie zdanie: uwaga czy polecenie.

Nagle w skupioną ciszę wtargnęła syrena. Łoskot zenitówek zaczął szybko narastać, łącząc się z warkotem motorów. Ziemia drgnęła, zadźwięczały szyby. Siedzący na ławkach mimo woli odwrócili się w kierunku wyjścia.

- Operacja jeszcze się nie skończyła - rzekł oschle Dżanelidze swoim gardłowym głosem.

---

<sup>27</sup> Nicolas Van Tulp (Dirx) - lekarz amsterdamski, ur. 1593, zm. 1674. Jeden z organizatorów i przywódców powstania holenderskiego (1672), skierowanego przeciwko Francuzom (przyp. tłum.).

I dopiero gdy walnęło gdzieś zupełnie blisko, stół operacyjny przesunięto do innej sali, gdzie nie było szyb.

### *10 kwietnia 1944 roku*

Wyzwolenie Odessy! Odbły się dziś dwa saluty. Jeden dla uczczenia wojsk lądowych, drugi - floty czarnomorskiej.

### *24 kwietnia 1944 roku*

Zdrowie mi nie dopisuje. Czuję się pod psem. Najlepiej będzie, jeśli przyjmę „większą dawkę” maszyny do pisania: napiszę dla „Izwestii” reportaż „Nadszedł czas”.

### *NADSZEDŁ CZAS*

Na Kirowskim Prospekcie ustawiono w początkach zimy modele pokojowych pieców z cegły - malutkie, ale ciepłe i oszczędne.

Przysypane śniegiem cegiełki, wietrzniki, drzwiczki i blaszane rury robiły zimą niesamowite wrażenie. Mali leningradzcy chłopcy bardzo lubili, przycupnąwszy na piętach, zaglądać do piecyków, jak gdyby widzieli tam płomień. Był to płomień wyobraźni.

Teraz mamy już wiosnę. Ptaszki wesoło szczebiocąc siadają na rurach od pieców, wiosenne słońce czule ogrzewa doświadczalno-wzorcowe cegły, a wiosenne deszcze często je omywają. Możliwe, że piece te wkrótce zostaną usunięte. Wydaje mi się jednak, że wielu ludzi długo jeszcze będzie o nich pamiętać jako o ogniskach ciepła, symbolu zorganizowanej, prawdziwie leningradzkiej troski miasta o potrzeby ludności.

Podobnym symbolem stały się nasze zegary miejskie. One to były jednymi z pierwszych ofiar ostrzałów i nalotów. Niektóre wprost runęły na ziemię, wraz ze ścianą, do której były przymocowane, inne na wpół zerwane, chwiały się i kołysały w swej żelaznej oprawie jak kurek na dachu, inne wreszcie były tak pogruchotane i tyle miały w sobie szklanych okruchów, że na sam ich widok kłuło w oczach. Pozostałe miały wygląd nieuszkodzonych, były jednak martwe.

W każdej dzielnicy miasta zegary wskazywały inną godzinę; wpół do trzeciej, za pięć dwunasta, kwadrans po piątej. Była to godzina, o której uderzył w nie podmuch, ustał dopływ prądu lub zepsuł się mechanizm. Była to godzina ich zagłady.

Niegdyś zegary uliczne pulsowały życiem. Wyznaczały czas pracy i odpoczynku, pożądanych spotkań, zajęć, świąt, urodzin. Świeciły wieczorami jak dojrzałe, bursztynowe owoce z czarnymi pestkami: to były cyfry. W pierwszych dniach blokady zegary zamarły, stanęły, oniemiały. Wyczerpały się życiodajne soki; czas odszedł, rozpułnął się.

Nie zapomnę nigdy, jak pewnego zimowego wieczoru spojrzełam na taki zegar. Był trzaskający mróz, wyła syrena; zamiast tarczy zegara ujrzałam czarny krąg nocnego nieba, usiany zatrważająco jaskrawymi gwiazdami. Były to ciężkie czasy: zima 1942 roku.

Jak przyjemnie teraz, wiosną 1944 roku, przyglądać się przystawionej do miejskiego zegara drabinie i stojącemu na niej człowiekowi! Człowiek powoli i z namaszczeniem naprawia zegar. Wskazówki niezdecydowanie, jakby uczyły się na nowo chodzić, ruszają z miejsca. I idą, idą, idą... Czas powraca. Już powrócić.

Natychmiast po zegarach - a często równocześnie z doprowadzaniem ich do porządku - przychodzi kolej na wstawianie szyb.

Szyba okienna jest najbardziej wrażliwym i łalnym elementem budynku, jego „źrenicą oka”. Poza tym szyby są nie tylko oczyma budynku, lecz także stanowią o pięknie miasta.

Powiadamy: „słońce gra w szkło”. Tak jest w istocie. Bez tej „gry” światła miasto od razu zatracą wyrazistość rysów. Szyby są chłonne i wrażliwe. Mieniają się purpurą o zachodzie słońca, nabierają koloru atramentu podczas burzy, srebrzą się przy księżycu.

Gatczyńska huta szklana „Drużnaja Górka”, którą zburzyli Niemcy, znów zaczęła pracować. Na Pierwszego Maja huta dostarczy Leningradowi pierwszych partii szkła okiennego. Przechodząc ulicą, cieszymy się z każdej nowej szyby - widomego znaku odbudowy.

Jednakże oczy - to jeszcze nie człowiek, a szyby - nie budynek. W budynku, jak w ludzkim organizmie, duże znaczenie ma tułów. Domy, podobnie jak ludzie, przechodzą remont „kosmetyczny” (autentyczna nazwa) i kapitalny. Do wszystkich tych remontów niezbędne są materiały budowlane, a przede wszystkim - ludzie i jeszcze raz ludzie.

Mieszkańcy Leningradu zabierają się do jego odbudowy z taką samą energią, z jaką niegdyś bronili swego miasta, przy czym dają sobie radę bez pomocy Wielkiej Ziemi. Są to owe niewyczerpane, jak widać, „zasoby wewnętrzne”.

Czytamy dziś gazety leningradzkie jak komunikaty o stanie rannego, który szybko powraca do zdrowia. Arterie rekonwalescenta krzepną z dnia na dzień, puls staje się coraz bardziej regularny.

Po długiej przerwie zaczęła pracować fabryka mydła. Fabryka pianin i fortepianów, „Czerwony Październik”, wyprodukowała w ciągu lutego i marca dwadzieścia pięć pierwszych instrumentów. Co najciekawsze - „pierwsze z pierwszych” pianin wysłała się do teatrów białoruskich i do Nowosybirsk. Miasto Lenina nie tylko zaopatruje się samo we wszystkie niezbędne rzeczy, ale pomaga także innym miastom.

Wydział architektoniczny Szkoły Sztuk Pięknych przygotowuje specjalistów w dziedzinie rzeźby i modelowania oraz malarstwa plafonowego. Absolwenci studiują historię stylów i architektury,

geometrię wykreślną - jednym słowem, wszystkie przedmioty, które przydadzą im się przy restauracji zabytkowych budynków.

Jednym ze świadków faszystowskiego barbarzyństwa jest wspaniały gmach Senatu, zbudowany przez Rossiego<sup>28</sup> przed stu laty.

Bomby uszkodziły dach i wnętrze budynku, jednak pod opalonym sklepieniem przetrwał w swej niszy, w sąsiedztwie okaleczonych alegorycznych rzeźb, zupełnie nietknięty posąg bogini sprawiedliwości Temidy. W najgroźniejszych chwilach trzymała ona niewzruszenie swą wagę, jakby potwierdzając tym samym, że nadejdzie jeszcze dzień sądu nad hitleryzmem. Gmach Senatu zostanie obecnie odbudowany, podobnie jak teatr im. Kirowa. Pociski artyleryjskie uszkodziły jedną ze ścian.

W leningradzkich ogrodach i parkach maluje się ławki i odnawia sztachety. W najbliższym czasie zasadzi się dwa tysiące drzew i dwanaście tysięcy krzewów. Już wkrótce słońce znów oświeci pnie drzew tam, gdzie niedawno, podobne do pni, czerniały lufy dział. Ptaki znów zaczną wic gniazda tam, gdzie niedawno były tylko gniazda karabinów maszynowych.

Któż z nas nie pamięta małego ogródka u stóp pomnika Suworowa, w pobliżu Mostu Kirowskiego? Rozsada kapusty tuliła się trwożnie do odlanej z brązu postaci Marsa i bóg wojny ochraniał wzniesionym mieczem skromne roślinki.

Tak było dwa lata temu. Zeszłego lata wokół pomnika kwitły już niepozorne nagietki. Kto wie, może w tym roku ujrzymy róże.

To - wojenna historia Leningradu, napisana nie na białych kartkach papieru, lecz na zielonych liściach roślin.

Jeśli chodzi o ogrody, które zajmowały przez dwa lata wszystkie gazony i klomby, to rozszerzą one znacznie swoją powierzchnię, ale już na przedmieściach i w miejscowościach letniskowych, gdzie niedawno był wróg.

Łopata ogrodnika będzie jednak długo jeszcze natrafiać na odłamek pocisku lub zwój drutu kolczastego. I ogrodnik, schyliwszy ze czcią czoło, zamyśli się nad losami leningradzkiej ziemi, która wszystko zniosła i wszystko zwyciężyła.

## *29 kwietnia 1944 roku*

Siadam do pracy. To najpewniejszy i najbardziej kojący środek, który nigdy nie zawodzi. Nigdy nie zawiedzie... Szare niebo... mży deszczyk. Całe szczęście.

---

<sup>28</sup> Karł Iwanowicz Rossi (1775-1849) – słynny architekt rosyjski (przyp. tłum.).

### *3 maja 1944 roku*

Dziś w naszym Związku Pisarzy odbędzie się otwarcie wystawy; generalicja, przyjęcie itd. A ja znowu leżę w łóżku. Moje „pierwszomajowe” wyjście na świat drogo mnie kosztowało, a zwłaszcza wdrapanie się na wieżyczkę na dachu naszego zakładu anatomii, skąd oglądaliśmy salut i gdzie owiały mnie wszystkie newskie wiatry.

Czyżbym miała tak przesiedzieć resztę mego życia?

A ja myślałam, że uda mi się odbyć podróż wzdłuż Południka Pułkowo nie tylko na globusie.

### *6 maja 1944 roku*

Zima wróciła. Przemawiałam dziś w szpitalu w Inżynierskim Zamku. Zaczynam po trochu wychodzić.

### *8 maja 1944 roku*

Na czym polega tak zwana mądrość życiowa? Na umiejętności podporządkowania sobie okoliczności, jeśli jest to możliwe, oraz na rozumnym podporządkowaniu się okolicznościom, jeśli nie ma innego wyjścia. Wyjaśnię to na przykładzie.

Przypuszczałam, że wiosna przyniesie mi dużo radości, ruchu i triumfów. Nic podobnego. Zamiast tego wszystkiego - poważna choroba, która przypuszczalnie na długo zmusi mnie do zmiany trybu życia- Nie ma mowy o żadnych wyjazdach. Trzeba będzie siedzieć w domu.

Pojechałam wczoraj do miasta i wróciłam stamtąd dosłownie ledwo żywa.

Nareszcie zaczęło działać, zresztą nienadzwyczajnie, nasze radio. Wczoraj, po tak długiej przerwie, od razu usłyszałam komunikat o sukcesach pod Sewastopolem.

### *9 maja 1944 roku*

Wyzwoliliśmy Sewastopol. Cały Krym został oczyszczony z Niemców.

### *13 maja 1944 roku*

Wczoraj, kiedy jechałam z moimi wierszami do Bałtyckich Zakładów Przemysłowych, Leningrad ukazał mi się na pożegnanie w całej krasie i uroku pierwszych białych nocy. A ponadto - w pełnym blasku zachodu.

W Bałtyckich Zakładach Przemysłowych niebo między dźwigami i żelaznymi belkami miało kolor gołębic skrzydeł.

Chociaż tak pięknie wokół - żegnaj, Leningradzie! To nasze ostatnie spotkania.

### *14 maja 1944 roku*

Zrobiłam porządki i pochowałam na lato ciepłe rzeczy. Porządek, jak zwykle, uspokoił mnie, ale noc była bardzo ciężka.

Jak to często bywa, wiosna nastąpiła nagle i nieoczekiwanie. Jeździliśmy wczoraj do miasta. Leningrad - ciepły i otwarty na oścież - był zaciągnięty mgiełką podobną do gorącego oddechu. Na ulicach kłębił się już kurz; pierwszym listkom, które nie zdążyły się jeszcze całkowicie rozwinąć, brakowało już powietrza. Bolały mnie nogi, szłam z dużym wysiłkiem, byłam bardzo przygnębiona... Czyżbym naprawdę została skazana na unieruchomienie? A co będzie z podróżami, których nie zdążyłam odbyć?

### *19 maja 1944 roku*

Przeprowadziłam w Związku Pisarzy dyskusję z „początkującymi” na temat „Czym jest natchnienie?”.

### *21 maja 1944 roku*

Mój występ w Primorskim Komitecie Dzielnicowym wypadł bardzo przeciętnie: byłam zmęczona. A tak bym chciała, żeby na pożegnanie wszystko wychodziło bardzo dobrze.

### *25 maja 1944 roku*

Żegnałam się z Ogrodem Botanicznym. Dużo czasu spędziliśmy w oranżerii nr 22 - „Arce Noego”, jak ją tu nazywają. W oranżerii rosną pod jednym dachem rośliny z trzech sąsiadujących ze sobą klimatów: palmy, paprocie, orchidee, kaktusy, ryż i begonie. Są to rośliny młode, wyhodowane w czasie blokady. „Blokadowy” zagajnik bananowy wyrósł tak wysoko, że dosięga liśćmi szklanego dachu oranżerii. W „arce” panuje stale przepisowa temperatura: 16 do 18 stopni ciepła. Termometr wisi na widocznym miejscu.

W przezroczystym akwariu rośnie fantastyczna roślina, pochodząca z Madagaskaru, Uvirandra fenestralis - „okienna”.

Widocznie nawet w Madagaskarze, w tym gorącym raju, „Uvirandra” uważana jest za roślinę pokojową, w co łatwo uwierzyć, gdy się spojrzy na jej liście, najdelikatniejsze chyba w całym królestwie flory. Składają się one wyłącznie z ciemnowych żyłek. Ani śladu pospolitej zielonej tkanki. Jest to najsubtelniejsza, jaką sobie można wyobrazić, kanwa roślinna, przetykana pęcherzykami z powietrza.

„Uvirandrze” brak kijanek, które, wpuszczone do akwarium, oczyszczają liście z pęcherzyków powietrza. Powierzchnia liści staje się po takim zabiegu atłasowa. Kijanki zniknęły jednak jeszcze podczas wojny z Finlandią, kiedy to wszystkie rzeczki i błota zostały zaminowane.

Na półkach stoją rzędami młode kaktusy, pupile niedawno zmarłego Nikołaja Iwanowicza Kurnakowa. W czasie pierwszej, surowej zimy blokady Kumaków zabrał kaktusy do swego mieszkania, ogrzewał je przy własnym maleńkim piecyku i uratował w ten sposób od zagłady. Żona Kumakowa czyściła je pędzelkiem, wodząc nim ostrożnie między kolcami: jeśli kurz zatka pory kaktusa - roślina rozpada się na kawałki i ginie.

W zbudowanym z kłoców domku, znanym nam z zeszłorocznej wystawy i uroczystej akademii z okazji 230 rocznicy założenia Instytutu Botanicznego, ujrzeliśmy przed wejściem popiersie Engelsa na wysokim postumencie. W szklanej gablotce leżało jedno z pierwszych wydań „Dialektyki przyrody”.

W zeszłym roku cała wystawa poświęcona była roślinom „dziko rosnącym” - skromnym nosicielom witamin. W spisie dań zamieszczonym w wydanej w tym czasie broszurze można było znaleźć „zrazy z łopianu”, „ruladę z lebiody”, „ragout z trybuli”, „kawior z dmuchawca” - nazwy, które mogłyby wywołać uśmiech, gdyby nie były tak tragiczne.

Obecnie rośliny dziko rosnące służą jedynie jako dodatek do prawdziwych ziemiopłodów.

W następnym pokoju, oprócz ogrodowych ziół leczniczych, belladony, waleriany, ślazu, naparstnicy, umieszczono także na ścianach, rosnące dziko: konwalię, szalej, rumianek, piołun, kruszynę. Liczne z nich są jednocześnie trujące i pożyteczne (dialektyka przyrody).

Zobaczyłam cykutę w formalinie i dowiedziałam się przy okazji, że wbrew powszechnemu mniemaniu nie ona była przyczyną śmierci Sokratesa, lecz inna trująca roślina - tzw. szczwół plamisty. Jakkolwiek by było, widok cykuty wzbudza strach. Są to grube, okrągłe kłęczki z jadowitymi gruczołami, jak u żmii. Utleniając się na powietrzu, przybierają pomarańczową barwę. Od kłęczki rozchodzą się na wszystkie strony nitkowate korzenie.



Wiosną 1942 roku, kiedy wygłodzeni ludzie rzucali się łapczywie na każdy zielony listek i na każdy korzonek, umiejętność rozpoznawania trujących roślin była dla leningradczyków rzeczą niezwyklej wagi.

Okrągła oranżeria nr 28, z basenem, w którym rosła Victoria Regia, ucierpiała trzykrotnie: raz trafiła w nią bomba, dwa razy - pocisk. Już po naszych zeszłorocznych odwiedzinach uległa ponownemu zniszczeniu.

Zrodzona w ciepłych lagunach Amazonki, Victoria Regia stanowi zagadkę. Nie wiadomo dotychczas, czy jest ona rośliną jednoletnią również w swojej ojczyźnie, czy tylko u nas, gdzie brakuje jej światła i ciepła. Niemieckie pociski i bomby rozwiązały to zagadnienie po swojemu, zabijając roślinę i niszcząc oranżerię.

Kiedy opuściliśmy już wystawę i szliśmy aleją, ktoś krzyknął do nas:

- Nie siadajcie na ławkach - świeżo malowane!

Ogród zaczynał powracać do dawnego stanu.

## *27 maja 1944 roku*

Żegnaliśmy się z doktorem Messelem. Po raz ostatni chyba byliśmy w jego królestwie - Centralnej Stacji „Pogotowia Ratunkowego”, która w najcięższych czasach pracowała jak dobry zegarek - bez przerwy i niezawodnie.

Przeglądałam ich dzienniki. Dokładnie opisany jest dzień 19 września 1941 roku (jeździliśmy wtedy na Rozjazdową). Ucierpiał wóczas podczas pracy dwie pielęgniarki: „Aleksiejewa Zinaida - rany klatki piersiowej i obu goleni i Markowa Walentyna - rana prawego oka”.

W czasie tego nalotu na zaułek Dmitrowski, który ma zaledwie 245 metrów długości, spadły cztery ciężkie bomby kruszące. Prawie cały zaułek został zburzony.

Tak, wszystko to było. Wszystko to przeżyliśmy.

## *29 maja 1944 roku*

Dowiedziałam się już teraz wszystkiego o hodowli naparstnicy, którą prowadził Monteverde.

Digitalis rośnie dziko tylko w górach Harcu i w Turyngii. Żeby nie marnować nań dewiz, zaczęto hodować go na Północnym Kaukazie i na Białorusi.

Wojna położyła kres tym pracom.

Tragedia naparstnicy polegała na tym, że nie wytrzymała ona długiego przechowywania. Wiosną 1942 roku stare zapasy naparstnicy w Leningradzie straciły całkowicie swoje właściwości lecznicze, wobec czego wycofano je z aptek.

Trzeba było koniecznie znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Mięsień sercowy w normalnych warunkach nie ma chwili spokoju, a podczas blokady często gonił resztkami sił i gwałtownie potrzebował lekarstwa. I wówczas władze miejskie poleciły Instytutowi Botanicznemu przystąpić własnymi siłami do hodowli naparstnicy i przygotować do jesieni odpowiedni preparat.

Sam Monteverde leżał w tym czasie w naszym szpitalu, w klinice profesora Tuszyńskiego; cierpiał na ostrą dystrofię. Nie czekając na całkowity powrót do zdrowia, uczony natychmiast przystąpił do pracy.

W „archiwach” Ogrodu Botanicznego znaleziono niewielką ilość potrzebnych nasion, nie wiadomo było jednak, jaka jest ich siła kiełkowania. Co najważniejsze - nie było czasu na hodowlę rośliny wieloletniej (dotychczas panowało powszechne przekonanie, że tylko taka naparstnica posiada właściwości lecznicze). Trzeba było siłą przekształcić jednoletnią naparstnicę w wieloletnią. Ziarna wysiano najpierw w oranżerii, potem w inspektach i wreszcie - w ogrodzie. Rozpoczęła się walka o „powierzchnię mieszkaniową” dla roślin: przydatnej ziemi było niewiele, a liście naparstnicy są bardzo duże - średnica ich dochodzi do 60 cm.

Celem przyspieszenia zbioru liści i zaoszczędzenia miejsca, Monteverde wraz ze swoimi współpracownikami wprowadził innowację: zbiór liści w miarę ich dojrzewania. Z początku obrywano liście z brzegów, dzięki czemu szybciej rozwijały się liście środkowe.

Liście były bardzo soczyste, a do przygotowania preparatu potrzebne były suche. Zaczęto je suszyć w pustym, rozwalonym domu, rozwieszając na sznurach jak bieliznę. Dopiero później Instytut Farmaceutyczny przydzielił specjalne suszarki, które opalano drzewem z rozwalonego w tym celu do reszty domu.

Jesienią, zgodnie z dyrektywami władz miejskich, digitalis był nareszcie gotów. Trzeba było sprawdzić aktywność lekarstwa. Na kim? Zazwyczaj używa się do tego żab, skoro jednak nawet kijanki zniknęły, to o żabach nie mogło być mowy. Lekarze postanowili wypróbować lekarstwo na sobie. Okazało się, że jest tak silne, iż musiano zmniejszyć zwykłą dawkę.

Leningrad otrzymał cenne lekarstwo, a nawet zaczął wywozić je poza „pierścień”, na Wielką Ziemię.

Gdy Monteverde zakończył swoje opowiadanie, zapytałam go, czy doświadczył osobiście właściwości leczniczych wyhodowanego przez siebie lekarstwa? Ożywił się i odpowiedział, że tak, że digitalis bardzo mu „pomógł”, ponieważ natychmiast po otrzymaniu polecenia w sprawie hodowli naparstnicy odczuł duży przyływ sił i mógł wcześniej opuścić szpital.

Szyczyński opowiedział mi, że znacznie trudniej jest założyć ogród botaniczny niż zoologiczny. Zwierzęta krzykiem wyrażają swoje pragnienia, rośliny natomiast milczą i umierają, jeśli ludzie nie potrafią odgadnąć ich potrzeb. Ciekawe, że ogrodnicy pod wpływem wilgotnego powietrza całkowicie zatracają zmysł węchu. Nie czują oni aromatu kwiatów, podobnie jak głuchy Beethoven nie słyszał muzyki.

Przed wojną na ogrzewanie oranżerii używano 2 000 ton węgla rocznie. Podczas blokady dziewięć dziesiątych wszystkich roślin wymarzło. Uratowały się tylko te, które były w oranżerii i w domach pracowników Ogrodu, jak na przykład - kaktusy u Kurnakowa. Najbardziej wytrzymałe okazały się rododendrony o grubych mięsistych liściach.

Dowiedziawszy się, że straty, które poniósł podczas wojny Ogród Botaniczny, wynoszą 1 200 000 rubli w złocie, spytałam, skąd się wzięła ta suma? Czyżby obliczono wartość każdego drzewa? A praca włożona weń na miejscu?

Okazało się, że obliczeń dokonano na całkiem innej podstawie. 1 200 000 rubli w złocie to koszty pięciu podróży dookoła świata, które należy bezwzględnie przedsięwziąć, chcąc doprowadzić Ogród Botaniczny do stanu przedwojennego.

Są to wyprawy:

1. Do Ameryki Południowej (strefa tropikalna).
2. Do Afryki Zachodniej (Kongo Belgijskie).
3. Na Ocean Indyjski: Madagaskar, Cejlon, Indie (Colombo), Singapur, ogród botaniczny w Buitenzorg na Jawie.
4. Do Wschodniej Australii, łącznie z Nową Zelandią i Tasmanią.
5. Do Południowo-Wschodnich Chin.

Są to zasadnicze ośrodki roślinne, kolebki roślin. Nasz własny kraj jest wprawdzie ogromny, lecz rozpościera się raczej wzdłuż, podczas gdy botanika wymaga szerokości.

Przesiedlenie starszych drzew do innych klimatów nie jest bynajmniej proste. Drzewa przesadza się najpierw z rodzimego gruntu do skrzyń, w których rosną dwa lata, przyzwyczajając się do innej ziemi. Dopiero później wysyła się je w daleką podróż do różnych krajów.

Monteverde i Szypczyński podarowali mi na pożegnanie trzy małe paprocie i begonię. Odeszli, a ja długo jeszcze rozmyślałam o Ogródku Botanicznym, który „zieloną nicią” przeszedł przez moje leningradzkie życie. Powitał mnie w sierpniu 1941 roku i żegna w maju 1944 roku. Południk Pułkowo, przecinający w kilku punktach Leningrad, przebiega również wzdłuż trawników Ogrodu Botanicznego.

Patrzałam na swój podniszczony globus, na wszystkie morza i kontynenty, zalane obecnie krwią, i myślałam, że nadejdzie kiedyś koniec wojny i wszystkie podróże dookoła świata staną się możliwe. „Ogród Botaniczny w Buitenzorg na Jawie...”

Ile jest warta sama nazwa!

Zdawało się, że widzę całą kulę ziemską pokrytą ogrodami. „Rośliny wystawiają na działanie promieni słonecznych niezmiernie wielką powierzchnię liści...” I na tej ziemi - promienne, spokojne pokolenia, dla których szczęścia tak wiele zdołała moja ojczyzna, a w szczególności - Leningrad.

## 5 czerwca 1944 roku

Mój wieczór pożegnalny w Związku Pisarzy był tak przyjemny i ciepły jak dzisiejszy dzień.

## 6 czerwca 1944 roku

Chociaż trudno mi jeszcze chodzić, postanowiłam dziś mimo wszystko pójść na wystawę: „Bohaterska obrona Leningradu”. Musiałam ją zobaczyć przed odjazdem.

Dojechaliśmy z I. D. tramwajem, do Łabędziego Kanału, a stamtąd spacerkiem po słonecznej stronie do Solnego Miasteczka, gdzie mieści się wystawa. Dzień był prześliczny, pierwszy naprawdę ciepły dzień. Trudno było się oderwać od ogrzanej słońcem zieleni i wejść do chłodnego, olbrzymiego gmachu. Przed wejściem, na każdej ze zdobycznych armat siedział żywy leningradzki chłopczyk.

Wystawa jest bardzo obszerna, nie zdążyłam jej całej zwiedzić. Sal znajdujących się w podziemiach nie zeszliśmy w ogóle, natomiast główne sale zwiedziliśmy dokładnie.

Rozmawialiśmy z I. D. bardzo mało: kiwnięcie głową, ruch ręką, krótkie zdanie - to wystarczało, by się wzajemnie zrozumieć. Niemal trzy lata życia przesunęły się przed nami.

Zgromadzono tu wszystko, co zagrażało Leningradowi, i wszystko, co go uratowało. W sali głównej, pod ścianą - trójgraniasty stos niemieckich hełmów, sięgający wierzchołkiem pod sam sufit. Na środku sali - niemiecka ciężka artyleria, która ostrzeliwała „obiekty wojskowe” w Leningradzie, a wśród nich - nasz szpital (obiekt nr 89). 154-milimetrowe działa o otworach szerokich jak paleniska w parowozach. Sześciolufowe miotacze min. „Pantery”, „tygrysy” i „ferdynandy” pomalowane na kolor granitu, zieleni i śniegu. Zestrzelony samolot z czarnymi krzyżami na skrzydłach. Pociski i bomby wszystkich rodzajów i odmian. Morska mina magnetyczna, rzucona przez Niemców w pobliżu Dworca Bałtyckiego, która na szczęście nie wybuchła. Odnaleźliśmy także „naszą” bombę, która spadła na teren naszego szpitala pewnego złotego, jesienno-go dnia w 1941 roku. Pod bombą napis: „Waga 1000 kg, średnica - 600 milimetrów, długość - 990 milimetrów. Rozbrojona 10 października 1941 roku przez inżyniera kapitana N. G. Łopatina i oficera pospolitego ruszenia A. P. Ilinskiego.

Bomba była nietknięta; brakowało tylko kawałka statecznika, który leżał w moim domu, w szufladzie biurka.

Malowidło ścienne: pierwszy w historii lotnictwa „taran” nocny, którego dokonał młody lotnik Sawostianow. Nieprzyjacielski samolot runął w płomieniach. Sawostianow wylądował na spadochronie. W innej sali stoi olbrzymie działo z pancernika „Rewolucja Październikowa”; tuż obok znajduje się umieszczony na pewnej wysokości nad podłogą, mknący jak gdyby po falach, podziurawiony na wylot ścigacz, który dokonał cudów męstwa.

19 września 1941 roku (tego dnia przyjechaliśmy właśnie na Rozjazzdową w kilka minut po wybuchu bomby) był jednym z najkrwawszych dni blokady. Leningrad przeżył wówczas 6 alarmów lotniczych, trwających łącznie 7 godzin 34 minuty.

Na miasto spadło:

Bomb kruszących - 528

Zapalających - 1435

Pocisków artyleryjskich - 97

Zarejestrowano 89 ośrodków zniszczeń.

W ciągu dnia pracowało 3912 drużyn miejskich MPWO, 52 drużyny lokalne MPWO, 17 drużyn ROKK<sup>29</sup> i 21 grup samoobrony domów mieszkalnych.

Oddział wystawy poświęcony przemysłowi leningradzkiemu, który ofiarnie pracował dla frontu. Turbogeneratory, produkowane w tutejszych zakładach przemysłowych, wysyłano pod koniec blokady do Komsomolska, Rubcowska, Brianska, Stalinogorska oraz Zagłębia Donbaskiego - do Makiejewki, Gorłowki, Kadijewki.

Fabryka tytoniowa, która wypuszczała przed wojną papierosy „Festiwal”, „Zefir” i „Palmirę Północy”, fabryka perfum i fabryka kefiru pracowały podczas wojny dla celów obronnych. A teraz mów widzimy w oknach wystawowych perfumy „Biała „noc”, w nieco mnie] wytwornym opakowaniu, i buteleczki z kefirem, nie mlecznym co prawda, lecz sojowym.

Oddział odżywiania społecznego. Artykuły żywnościowe i spis potraw w jadłodajniach leningradzkich w czasie blokady:

Mąka drzewna, zmiotki (tzw. pozmiatane zewsząd resztki) szły na placki.

Drożdże białkowe - na pierwsze dania.

Dekstryna (odpadki techniczne) - na ołatki, zapiekanki, bitki, kotlety.

Mąka z makuchów lnianych - na drugie dania.

Albumina - na pierwsze dania.

Celuloza - na ołatki, zapiekanki, bitki, kotlety.

Zużyte pasy transmisyjne ze świńskiej skóry - na zupy, galarety i kotlety.

Klej stolarski i miadza - również na galarety.

W jednej z gablotek - „przybory oświetleniowe”: łuczywo, „nietoperze”, kaganki, probówki, puszki, świece.

---

<sup>29</sup> ROKK – Rosyjski Czerwony Krzyż (przyp. tłum.).

Wymieniliśmy z I. D. porozumiewawcze spojrzenie, przypominając sobie owe podejrzenie lekkie świece, sporządzone z nieznanych składników. Knot wychodził z nich przeważnie bokiem, po zapaleniu trząskał i szybko gasł.

Szczególnie długo staliśmy jednak przed witryną z makietą piekarni. Było to pokryte grubą warstwą lodu okno. Jedynie pośrodku lód nierówno odtajał w skąpym ciepłe dwóch kaganków.

Za szybą - waga: na jednej szali leżą cztery maleńkie odważniki. Na drugiej - 125 gramów chleba. Tyle otrzymywała większość leningradczyków od 20 listopada do 23 grudnia 1941 roku. Nad wagą w szklanej kolbie - mąka z tego okresu.

Oto jej skład:

Zepsuta mąka żytnia - 50%

Sól - 10%

Makuchy - 10%

Celuloza - 15%

Mąka sojowa, zmiotki, otręby - po 5%.

Po zwiedzeniu wystawy I. D., który miał w mieście do załatwienia jakieś sprawy, poszedł, a ja zostałam w Letnim Ogrodzie. Chciałam posiedzieć trochę na ławce. Pokryty delikatną zielenią, pachnący ogród był piękny. Po drózkach biegały dzieci w wiankach uplecionych z dmuchawców. Blaski słoneczne padały na pomnik Kryłowa, z którego zaczęto właśnie zdejmować drewniany futerał.

Słońce, ciepło, cisza, ledwo dosłyszalny szelest liści... Siedziałam jak zaczarowana.

Obok mnie usiadła kobieta o żółtawobladej twarzy. Widać było, że choruje na astmę. Był to jeszcze „blokadowy” kolor twarzy. Przypomniałam sobie: 50% zepsutej mąki żytniej...

Odsapnąwszy, kobieta powiedziała, że czuje się teraz znacznie lepiej, że chodzi już o własnych siłach, i zapytała, czy to prawda, że „otworzył się drugi front”. Sama usłyszała o tym przed chwilą w tramwaju.

Nic o tym nie wiedziałam. Wyszłam z domu wcześniej, a zresztą nasze radio jeszcze nie działa.

## *7 czerwca 1944 roku*

Jedziemy do Moskwy, przypuszczalnie dwunastego, w poniedziałek.

Żegnaj, Leningradzie! Nic nie zdoła cię zatrzeć w pamięci tych, którzy przeżyli tu ostatnie trzy lata.

*KONIEC*

## DO CZYTELNIKA TEJ KSIĄŻKI

Wydawnictwo prosi o nadesłanie uwag o przeczytanej książce, dotyczących jej tematu, treści, języka, wyglądu zewnętrznego, popełnionych w niej błędów i omyłek, oraz o wyrażenie życzeń, do których wydawnictwo mogłoby się zastosować w swej dalszej pracy.

Adres: „Czytelnik” Biuro Studiów, Warszawa, Skr. poczt Nr 344

Wydanie czwarte

1953

NA ZLECENIE RS W „PRASA” SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK”

TYTUŁ ORYGINAŁU: POCZTI TRI GODA

TŁUMACZYŁ Z ROSYJSKIEGO ZIEMOWIT FEDECKI

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ KAZIMIERZ WĄS

Redaktor techniczny: W. Rober

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” 1953 r. Warszawa Wydanie IV. Nakład 25 315 egzempli. Objętość: ark. wyd. 12; ark. druk. 13,5 Papier gazetowy 63 cm, 50 g. Oddano do składu 5. 12. 1952 r. Podpisano do druku 27. 3. 1953 r. Druk ukończono- w kwietniu 1953 r. Stalinozrodzka Drukarnia Dziełowa - Stalinozród, 3 Maja 12 Zamówienie Nr 136810.12.52. R-4-12662 Cena zł 2.40

